

Andre Norton

Twierdza na moczarach

Przekład Jarosław Kolarski

Tytuł oryginału Quag Keep

Autorka chciałaby podziękować panu E. Gary'emu Gygaxowi z TSR za nieocenioną wręcz pomoc. Jest on doświadczonym graczem i twórcą systemu Dungeons and Dragons, w którego realiach osadzona jest niniejsza powieść. Podziękowania należą się także panu Donaldowi Wollheimowi, autorytetowi i kolekcjonerowi figurek wojskowych, którego pomoc była niezastąpiona.

1. Greyhawk

Eckstern zdjął wieczko z pudełka delikatnie i z taką rewerencją, jakby wewnątrz były co najmniej klejnoty koronne dawno zapomnianego królestwa. Osiągnął zamierzony efekt - pozostali gracze nie spuszczaali zeń wzroku, a ponieważ został wybrany na Mistrza Gry w tej przygodzie, sprawiało mu to tym większą satysfakcję. Wyjął z pudełka niewielki kłębek waty, rozwinął go i postawił na stole metalową figurkę wysoką na sześćdziesiąt pięć milimetrów, znacznie większą niż zwyczajowo używane do gry. Nie był to co prawda klejnot koronny, ale jednak swoistego rodzaju skarb i to bez dwóch zdań. Była to doskonała, barwna figurka przedstawiająca wojownika zamarłego za wysuniętą tarczą z wzniesionym do ciosu mieczem. Na tarczy widniał heraldyczny symbol, a całość sprawiała wrażenie prawdziwej postaci zbrojnego.

Martin widział wiele doskonałych figurek (grając w role playing i war games, trudno zresztą było ich nie zauważyć), ale tak świetnej jeszcze nie spotkał.

- Gdzieś... gdzieś to znalazł? - Harry Conden zaciął się z wrażenia bardziej niż zwykle.

- Ładny, nie? - uśmiechnął się Eckstern zadowolony z efektu. - Nowa firma „OK Products” wchodzi na rynek. Przysłali mi ją za śmieszne pieniądze wraz z listem twierdzącym, iż chcą, by ich wyroby przetestowali znani gracze. Po naszej wygranej na dwóch ostatnich konwentach chyba jesteśmy na szczycie ich listy...

Martin nie słuchał dalszych wyjaśnień - ręka sama wyciągnęła się ku figurce. Opuszkami palców dotknął tarczy, by przekonać się, że to nie jest złudzenie. Nie było: figurka była jak najbardziej materialna. Dotknięcie uświadomiło mu wyraziście to, co kołatało mu w głowie, odkąd ujrzał miniaturkę - musi ją mieć. Nigdy dotąd nie odczuwał takiej potrzeby, mimo iż producenci prześcigali się w pomysłowości i wykonywaniu coraz to nowych postaci, które mogły brać udział w grach: od potworów, przez rycerzy, kapłanów, na krasnoludkach kończąc. Dotąd żadna nie wzbudziła w nim tylu i takich emocji.

Eckstern odwijął kolejne postacie, mówiąc przy tym bez przerwy, lecz uwaga Martina w całości skupiona była na tej pierwszej. Delikatnie i z uczuciem ujął wojownika.

Dziwna mieszanina zapachów walczyła o lepsze - miłe aromaty i stare

smrody. Salę oświetlały jedynie kosze pełne ognistych os; na szczęście jeden wisiał tak blisko, że mógł dostrzec wszystkie stare zacieki na blacie stołu, przy którym siedział z okutym metalem rogiem w prawej dłoni. Odstawił naczynie i przyjrzał się uważnie obu pięściom. Czegoś nie pamiętał.

Naturalnie, był w oberży Harvel's Axe, spelunce wątpliwej reputacji, leżącej na granicy Dzielnicy Złodziei w mieście Greyhawk. To nie ulegało wątpliwości, ale coś... coś ważnego, nie mógł sobie przypomnieć. Myśl przeminęła tak szybko, że nie mógł na niej skupić uwagi...

Nazywał się Milo Jagon, doświadczony wojownik biegle władający mieczem, obecnie bez zajęcia. To też nie ulegało wątpliwości. Dłonie wystające z rękawów delikatnej, ciemno szmelcowanej kolczugi były opalone i niewątpliwie jego własne, choć nie sądził, że są aż tak opalone. Na każdym kciuku miał szeroki pierścień - na prawym z owalnym, zielonym kamieniem poznaczonym czerwonymi żyłkami i plamkami, na lewym z takimż owalnym szarym kryształem. Kryształ był jednak matowy, jakby pochłaniał światło, zamiast je odbijać.

Na prawym przegubie było jeszcze coś (znów ten trudny do rozpoznania błysk w pamięci); pod rękawem połyskiwała świeżą barwą miedzi szeroka bransoleta: dwie szerokie obręcze, pomiędzy którymi osadzono cztery różne kości: trójścienną, czworościenną, ośmiościenną i sześćościenną. Każda zamocowana była w ledwie widocznym gnieździe i zamiast oczek miała mikroskopijne klejnoty. Zadziwiająca dokładność jak na wyrób z miedzi. Dotknął bransolety - metal był ciepły. Nie ulegało wątpliwości, że była ważna, ale dlaczego...?

Zmarszczył brwi, usiłując to sobie przypomnieć, ale bezskutecznie. W dodatku nie pamiętał też, jak tu trafił. Nadto był pewien, że ktoś go obserwuje, a mimo wprawy nie potrafił dostrzec natręta. Najbliższy stół zajmował także tylko jeden klient i to, sądząc po rozmiarach barów i karku, nie byle jaki. Wysłuzona, acz nie uszkodzona kolczuga wskazywała na doświadczonego wojownika, a leżący na ławie obok płaszcz podbity był skórą z dzika. Podobnie jak Milo obcy był w hełmie, zdobionym podobizną szarżującego dzika. I podobnie jak Milo wpatrywał się we własne leżące na blacie stołu dłonie, pomiędzy którymi przykucnął turkusowy niby-smok, od czasu do czasu poruszający skrzydłami i wysuwający ostro zakończony języczek, by zbadać otoczenie. Tak, doświadczenie uczyło, że w kimś takim zdecydowanie lepiej mieć sprzymierzeńca niż wroga...

Siedzący poruszył się nagle i uwagę Milo przykuł rozbłysk światła na jego

prawym nadgarstku - obcy nosił dokładnie taką samą bransoletę jak on, przynajmniej tak się zdawało z tej odległości. Hełm, płaszcz... niespodziewanie ujawniły się wspomnienia i wiedza: ten, którego obserwował, był berserkerem i to z rodzaju *were* - w razie potrzeby mógł zmienić się w dzika. Tacy jak on zawsze byli z natury gwałtowni i groźni, nic więc dziwnego, że inni klienci oberży woleli się trzymać z dala i obsiedli stoły położone w przeciwległym końcu sali. Nic też dziwnego, że berserker miał jako maskotkę czy współtowarzysza niby-smoka. Podobnie jak elfy mógł się bez problemów porozumiewać ze zwierzętami.

Milo uważnie rozejrzał się po sali, dokładnie przypatrując się pozostałym gościom karczmy. Było wśród nich kilku złodziei, paru obcokrajowców - zbyt pewnych siebie lub zbyt głupich, by obawiać się, co ich może spotkać w takim przybytku jak ten - i otulony w płaszcz z kapturem druid, pałaszujący polewkę, aż mu się uszy trzęsły, a łyżka migąła. Żaden nie nosił takiej bransolety (albo też nie można było się przyjrzeć ich nadgarstkom). Zarazem wrażenie Milo, że jest obserwowany, stawało się coraz intensywniejsze i coraz mniej przyjemne.

Wolno opuścił dłoń na rękojeść miecza i dopiero wówczas zauważył opartą o stół tarczę, która, choć pogięta, ozdobiona była wcale zręcznie wymalowanym herbem, dziwnie mu skądś znajomym...

Zmarszczył czoło i uśmiechnął się posepnie - pewnie, że znajomym: to przecież była jego własna tarcza.

Na szczęście odruchowo siadł przy stole pod ścianą i plecami do niej - w razie potrzeby wystarczy przewrócić kopniakiem stół, a stworzy on barierę wystarczającą do powstrzymania impetu pierwszego ataku. Zaraz, a gdzie tu są drzwi!? Były, nawet dwoje: jedne prowadziły do wewnętrznej części karczmy, drugie przesłaniała ciężka, skórzana zasłona i w dodatku znajdowały się po przeciwnej stronie sali. By dostać się do nich, musiałby minąć grupę pięciu siedzących blisko siebie i co chwila coś szepczących mężczyzn, których od dłuższej chwili ukradkiem obserwował. Zdawali się nie zwracać na niego żadnej uwagi, ale Milo Jagon nie dożył swoich lat dzięki zaufaniu do bliźnich. Raczej przeciwnie...

Odwieczna wojna między Prawem i Chaosem wybuchała okresowo, także w mieście zwanym „wolnym”, ponieważ nie należało ono do niczyich posiadłości. Z tego też powodu było miejscem doskonałym do rekrutowania najemników lub rozpoczynania różnorodnych prywatnych przedsięwzięć, jak wyprawa po starożytny skarb albo zapomnianą wiedzę. Z jednej z nich Milo właśnie wrócił (prawdopodobnie

tak samo siedzący obok berserker). Tyle że w Greyhawk ochotników szukali nie tylko opowiadający się po stronie Prawa. Robili to także zwolennicy Chaosu oraz neutralni, przyłączający się do którejś ze stron, w zależności od zapłaty. Milo wolał nie mieć ich za towarzyszy, gdyż nierzadko zmieniali sprzymierzeńców zwabieni lepszą zapłatą.

Jako wojownik Milo związany był z Prawem przysięgą. Berserkerzy mieli jednak możliwość wyboru. Przeważnie także opowiadali się za Prawem, ale ta karczma cuchnęła Chaosem i to było najbardziej niepokojące (naturalnie nie licząc drobiazgu: jak się tu znalazł?). Czyżby ktoś rzucił na niego czar? Nie była to miła perspektywa - jedynie adepci wyższego rzędu mogli tego dokonać. A adept posiadający taką wiedzę nie był już w pełni człowiekiem... Wiedział jedynie, że na kogoś lub na coś czeka i na wszelki wypadek sprawdził, czy miecz gładko wychodzi z pochwy. Drugą rękę trzymał w pobliżu blatu, by w razie potrzeby użyć go jako osłony. Dzięki temu też dostrzegł nagły ruch w bransolecie - kości wirowały. Coś w pamięci, do której nie mógł dotrzeć, ostrzegło go, że to oznacza niebezpieczeństwo.

Podejrzane towarzystwo w kącie pozostało na miejscu, za to berserker wstał. Niby-smok wylądował mu na ramieniu, dotykając języczkiem osłony hełmu. Mężczyzna wziął płaszcz, lecz zamiast skierować się ku drzwiom, zrobił dwa długie kroki i stanął przy stole Milo. Przypatrując mu się uważnie oczyma, w których jarzyły się czerwone ogniki niczym u szarżującego dzika, wysunął ozdobioną bransoletą z wirującymi kośćmi prawicę i przedstawił się niskim, przypominającym warkot głosem:

- Jestem Naile Fangtooth. - Ruch warg odsłonił dwa zęby w dolnej szczęce, przypominające szable odyńca.

Milo wiedział, że musi odpowiedzieć, bo inaczej wyczuwane niebezpieczeństwo stanie się jeszcze groźniejsze; ale to nie stojący przed nim był źródłem tego niebezpieczeństwa.

- Milo Jagon. Siadź, wojowniku - odparł, odsuwając tarczę, by zrobić miejsce obok siebie.

- Nie wiem dlaczego, ale muszę do ciebie dołączyć. - Spróbował bezskutecznie zdjąć bransoletę. - Takie zachowanie nakazuje mi ta rzecz, z jakichś sobie tylko znanych powodów.

- Ktoś musiał rzucić na nas czar. - Milo odpłacił szczerością za szczerość.

Berserkerzy rzadko sprzymierzali się z innymi, za to ich braterstwo broni trwało aż do śmierci, a czasem i dłużej, bo ten, który przeżył, miał tylko jeden cel w

życiu: zemstę za zabitego kompana.

- Czary - parsknął Naile - zawsze śmierdzą... czuję czasami smród, a Afreeta już go tu wyczuła. I nie jest to smród Chaosu.

Afreeta czyli niby-smok poruszyła się, słysząc swoje imię, ale nie opuściła ramienia towarzysza, który ani na moment nie przestał nieznacznie rozglądać się po karczmie. Podobnie jak Milo główną uwagę poświęcił szepczącej kompanii.

Druid wskrobał miszkę, oblizał łyżkę i czknął z zadowoleniem. Siedzący opodal niego dwaj zbrojni ze znakami kupieckiej eskorty na ramionach nadal spokojnie i miarowo pili, jakby nade wszystko chcieli sprawdzić, który pierwszy zwali się na wysypaną trocinami i zaśmieconą posadzkę.

- Żaden z nich nie ma tego. - Milo wskazał na bransoletę. Kości znieruchomiały, a gdy spróbował obrócić jedną z nich paznokciem, omal go nie złamał, zaś kostka ani drgnęła.

- Nie - przyznał Naile, starając się mówić cicho, co przychodziło mu z widocznym wysiłkiem. - Coś mi nie daje spokoju... Coś powinienem wiedzieć i nie wiem... A ty?

Spojrzał oskarżycielsko na siedzącego, jakby był przekonany, że on zna sekret kryjący się za tym dziwnym spotkaniem i specjalnie nie chce go zdradzić.

- Ze mną jest tak samo. Czuję, że powinienem coś pamiętać, a za nic w świecie nie mogę sobie tego przypomnieć.

- Jestem Naile Fangtooth - zabrzmiało to, jakby mówiący sam siebie upewnił, kim jest. - Byłem z Brethern, gdy zdobyli Zwierciadło Loice i Sztandar Króla Everona. Wtedy padalce zabiły mego kamrata Engula Widehanda i wtedy uwolniłem Afreetę, która się do mnie przyłączyła. Pamiętam to doskonale, ale resztę...

Zadziwiająco delikatnie pogładził niby-smoka pomiędzy bezustannie drgającymi skrzydłami.

- Zwierciadło Loice... - Milo przycisnął pięści do skroni: znał te słowa... tylko skąd?

- To była piękna walka - w głosie Naile'a zabrzmiała duma. - Orki, nawet Upiór Loice byli przeciwko nam, ale mieliśmy za sobą tej nocy szczęście rzutu. Szczęście rzutu...!

Przerwał, wpatrując się w bransoletę.

- Rzutu...! To znaczy, że...! - Rąbnął pięścią w stół, aż deski jęknęły. - Jakiego rzutu?

- Pojęcia nie mam! - przyznał Milo, zastanawiając się, czy tamten przypadkiem nie próbuje wprawić się w bitewny szał, dzięki któremu berserkerzy byli tak groźni w walce i odporni na niektóre czary.

Ponownie spróbował poruszyć kości, ale wciąż bez rezultatu. Najdziwniejsze było to, że znał je, wiedział, że do czegoś służą, tylko nie miał pojęcia do czego. Czuł się jak ktoś, kto ma odczytać napis w nieznanym mu języku i wie, że od treści tego napisu zależy jego życie.

- Obracały się, zanim ty podszedłeś - powiedział wolno. - To kości do gry, ale nie do normalnej tylko jakiejś takiej... innej...

- Prawda. I nie raz nimi rzucałem, ale po co, tego nie wiem. Myślę, że ktoś chce sobie z nami zagrać, a jeśli tak, to chcę spotkać tego, który używa ludzi jak rzeczy: ręczę ci, że dla niego nie będzie to miłe spotkanie!

- Jeżeli ktoś rzucił na nas czar... - Milo nie miał zamiaru dopuścić, by tamtego ogarnęła furia, bardzo użyteczna podczas bitwy, ale niedorzeczna tu i teraz, zwłaszcza że nie znali przeciwnika.

- To prędzej czy później powinniśmy spotkać tego, kto go na nas rzucił. - Naile najwidoczniej umiał kontrolować bitewny obłęd i wywołaną nim przemianę. - Chyba zresztą na to czekamy.

Druid wstał, rzucił na stół monetę i wziął spod ławy torbę zdobioną runami. Milo zauważył, że zamiast miejskich sandałów miał na nogach znoszone, ale jeszcze dobre skórzane buty. Nie rozglądając się, ruszył ku drzwiom, co obu wojownikom znacznie poprawiło humory - druidzi skłaniali się ku Chaosowi i choć ten był niskiej rangi, lepiej było nie znajdować się w jego pobliżu.

- Kurhan uroków! - Naile wyglądał jakby miał ochotę splunąć za odchodzącym.

- Ale nie tego, który nas trzyma.

- Prawda. Słuchaj no, czy przypadkiem nie masz gęziej skórki albo włosy nie stają ci dęba? Cokolwiek nas trzyma, zbliża się, a przecież nie sposób walczyć z czymś, czego się nie widzi ani nie słyszy... Nie wiadomo, czy w ogóle jest żywe... - wyznanie było zaskakujące, gdyż berserkerzy uchodzili za doskonałe maszyny do zabijania, łatwo wpadające w szał, ale nieskłonne do wyczerpania umysłów. Łatwo zapomnieć, że mieli własne moce i kierowali się rozumem, a nie instynktem, nawet gdy przyjmowali zwierzęcą postać. Poza tym Fangtooth miał rację: to, na co czekali, było już bardzo blisko.

Pięciu szepczących wstało i kolejno wyszło. Wyglądało to tak, jakby ktoś lub coś oczyszczało miejsce starcia, a Milo nadal nie mógł wyczuć żadnych oznak zbliżania się Chaosu. Afreeta zagwizdała coś, ale również nie wyglądała na zaniepokojoną. Milo spojrzął na bransoletę - dwie z kostek zaczynały powoli się obracać.

- Teraz!

Naile błyskawicznie się zerwał, dzierżąc w lewej dłoni topór, który Milo, mimo wprawy w posługiwaniu się różnorodną bronią, ledwie by uniósł. Byli sami, bo nawet służba zniknęła, jakby wiedząc, że lepiej znaleźć się jak najdalej od długiej i pustej sali. Milo wstał, nie spuszczać wzroku z kostek, które zamaryły właśnie w tej chwili, gdy ktoś odsunął skórzaną zasłonę, wpuszczając do środka jesienny chłód. W drzwiach stał mężczyzna tak starannie spowity w ciemny płaszcz, że przy swej szczupłej posturze przypominał cień oderwany od najbliższej ściany.

2. Pragnienia magów

Gość wszedł i skierował się prosto do ich stołu. Błada cera i szczelnie zapięty płaszcz wskazywały, iż nieczęsto przebywa na świeżym powietrzu. Rysy miał ludzkie, ale kształt nosa, warg i nieruchome mięśnie twarzy sprawiały niesamowite wrażenie. Oczy miał do połowy przymknięte - otworzył je szeroko dopiero, stając przy stole; wtedy Milo upewnił się, iż ma do czynienia z adeptem: na wpół człowiekiem, na wpół nie wiadomo czym. Oczy przybysza płonęły bowiem głęboką, przytłumioną czerwienią węgla w dogasającym ognisku.

Nie licząc oczu, jedyną barwną rzeczą w całej postaci była znajdująca się na ramieniu naszywka o tak skomplikowanym wzorze z wplecionymi węń magicznymi runami, iż nie sposób było odczytać jej znaczenia.

- Jesteście wezwani... - Głos był niski i monotony, jakby powtarzał wyuczoną formułkę, nie przejawiając absolutnie żadnych uczuć.

- Przez kogo i po co? - warknął Naile, czerwieniejąc ze złości. - Nie najałem się u nikogo...

- Ja też nie - przerwał mu Milo, czując, iż oczekiwanie przekształciło się w nakaz, nad którym nie był w stanie zapanować. - Ale zdaje mi się, że właśnie na to czekaliśmy.

Przez moment wydawało się, że berserker nie zgodzi się z nim, lecz wnet bez słowa zarzucił na ramiona płaszcz i spiął go pod szyją klamrą w kształcie łba dzika.

- Więc chodźmy - warknął głucho. - I skończmy te zabawy z urokami.

Niby-smok zaćwierkał coś i wymownie pokazał nowo przybyłemu języczek, dając wyraźnie do zrozumienia, co o nim sądzi. Milo poczuł mrowienie w nadgarstku, zwiastujące, że kości ponownie się obracają. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, co to znaczy... Pozostało mu jedynie wpatrywać się bezsilnie w wirujące kształty.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, otoczył ich mrok. Górna część miasta była nieźle oświetlona pochodniami, tu jednak rzadko się one pojawiały. Okoliczni uważali mrok i cień za sprzymierzeńców i doskonałą osłonę, toteż pochodnie znikwały tak błyskawicznie, iż dawno temu strażę przestały je umieszczać w uchwytach ściennych. Mimo to Milo miał nieodparte wrażenie, że śledzą ich czujne, choć niewidzialne oczy, gdy w ślad za przewodnikiem pogrążyli się w labiryncie wąskich uliczek, wiodących między starannie zabarykadowanymi na noc i z zasady ciemnymi

domostwami.

Zanim dotarli do końca Dzielnicy Złodziei, z bramy wysunęła się otulona płaszczem postać i dołączyła do pochodu. Milo ścisnął rękojeść miecza, gdy w blasku księżyca dostrzegł, że to elf, a elfy i Chaos wyjątkowo nie zgadzały się z sobą. Sądząc z zielono-brązowego stroju, był to w dodatku Ranger, a takiego zawsze dobrze mieć koło siebie. Jego uzbrojenie stanowił kołczan pełen strzał, nie naciągnięty łuk, myśliwski kordelas i miecz, a co ważniejsze: na prawym nadgarstku połyskiwała znajoma bransoleta.

Przewodnik najmniejszym gestem nie zdradził, że zauważył powiększenie się grupy, a maszerował tak żywo, że Milo musiał dobrze wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Elf także się nie odezwał i tylko Alfreeta pisnęła jakby na powitanie. Jeżeli elf jej odpowiedział, to w myślach, gdyż robił tyle hałasu co otaczające ich cienie. Elfy prócz wspólnej mowy i własnego języka, którego nie używają przy obcych, znają też sposoby porozumiewania się ze zwierzętami, tak głosem, jak i w myślach.

Weszli w szersze i mniej kręte ulice, mijając siedziby kupców oznaczone wiszącymi nad wejściami tarczami, na których wymalowano znaki takie same jak na wozach i tunikach zbrojnych. Gdy minęli siedzibę Blackmera z Urnst, reprezentującego Świętych Lordów z Faraz, znaleźli się w naprawdę szanowanej dzielnicy. Wąska alejka między dwoma murami doprowadziła ich do niezbyt imponującej wieży. Wyższych i szerszych budowli było w mieście więcej, a nie obrobiona powierzchnia ściany poźłobiona była znakami powtarzającymi się na drzwiach oraz - jak zauważył Milo - na płaszczu przewodnika, choć na nim wzór widoczny był jedynie w pewnym zestawieniu światła i cienia. Kamienie, z których zbudowano wieżę, nie były tutejsze, brązowoszare, lecz ciemnozielone z żółtymi, wijącymi się żyłkami, które skutecznie uniemożliwiały dokładniejsze przyjrzenie się reliefom.

Przewodnik dotknął dłonią drzwi, które otworzyły się bez najmniejszego choćby szczęku zamka czy stukotu antaby, jakby gospodarz w ogóle nie używał takich środków ostrożności. Z wnętrza wypłynęło ciepłe i jasne światło, jakiego Milo dotąd nie widział, a gdy weszli do wnętrza, przekonał się, że same ściany wydzielają żółtawy blask, w którym twarze wyglądają nieco upiornie niczym u widm służących Chaosowi. Nie podobało mu się to miejsce, lecz czar był zbyt silny - zmuszał mięśnie do dalszego marszu pomimo protestów umysłu.

Wąskim korytarzem doszli do krętych schodów, na które przewodnik w

milczeniu zaczął się wspinać. Kątem oka Milo dostrzegł, jak kropelka potu spływa z nosa Naile'a na zarośnięty podbródek. Jego własne dłonie zwilgotniały nagle, toteż czym prędzej wytarł je w poję płaszcz.

Minęli dwa piętra i dopiero na trzecim przewodnik skierował się ku drzwiom. Znaleźli się w dużej sali ze sporym paleniskiem pośrodku. Płonął na nim ogień, a dym wydostawał się przez otwór w dachu, ale i tak w pomieszczeniu było nieznośnie gorąco. W sali stało sporo stołów, a na nich piętrzyły się księgi i zwoje pergaminów w metalowych pojemnikach pokrytych patyną. Niektóre woluminy były tak zniszczone, że z drewnianych, obciążanych skórą okładek pozostały jedynie metalowe klamry. Połowę posadzki zajmował pentagram opatrzony runicznymi napisami, a oświetlenie, dzięki płonącemu ognisku, było mniej upiorne. Pośrodku stał gruby mężczyzna średniego wzrostu i z zadowoleniem grzał się przy ogniu pomimo panującego upału. Był kompletnie łysy i nieco przygarbiony. Jego łysinę pokrywał wytatuowany czy też wymalowany ten sam wzór, jaki ozdabiał zewnętrzne ściany wieży i płaszcz przewodnika. Szarą tunikę przewiązywał żółtym sznurem i nie nosił żadnych ozdób. Nie sposób było odgadnąć jego wieku, jako że adepci potrafili kontrolować wpływ czasu na własne ciała. Jednak nie ulegało wątpliwości, że po raz pierwszy Milo przestał się czuć bacznie obserwowany, chociaż gospodarz oglądał ich krytycznie niczym niewolników na targu. Raptem dym z ogniska zaleciał go prosto w nos, toteż rozkaszał się i przestał się gapić.

- Naile Fangtooth, Milo Jagon i Ingrge - oznajmił, gdy się uspokoił, i skinął im dłonią.

Brzmiało to, jakby przypominał ich sobie, a nie witał nowo przybyłych, zaś na jego znak z przeciwległego krańca sali wystąpiły cztery postacie i podeszły do ogniska.

- Ja jestem Hystaspes, a dlaczego Wielkie Moce uznały za stosowne wciągnąć mnie w to spotkanie... - przerwał, skrzywił się z niesmakiem i dodał: - Jak się ma do czynienia z Mocami, to jest to zawsze dwustronny interes, za który w końcu się płaci. Poznajcie swych towarzyszy! Batlemaid: Amazonka Yevele, Deav Dyne wierzący w bogów stworzonych przez ludzi, bard Wymarc i naturalnie Gulth.

Dziewczyna zsunęła z czoła hełm, odsłaniając kosmyk kasztanowych włosów. Jej twarz i postawa pozostały nieruchome, podobnie jak szaro odzianego kapłana trzeciego stopnia Landrona - od Wewnętrznego-Światła. Rudy bard z harfą w podróżnej torbie na plecach uśmiechnął się lekko, jakby całe przedsięwzięcie bawiło

go i jako uczestnika, i jako widza. Ostatnim był Jaszczur - przedstawiciel inteligentnych gadów. Wszyscy nosili identyczne, miedziane bransolety zdobione kośćmi do gry.

- Co tu robi ten padalec? - burknął Naile. - Zmiataj stąd jaszczurko albo zrobię buty z twojej skóry.

Gulth nie odezwał się, choć znał wspólną mowę, za to bez zmrużenia powiek zmierzył uważnie berserkera, tak jakby brał miarę na jego trumnę. Jego rasa uznawana była za neutralną w konflikcie Prawa i Chaosu, co naturalnie nie zwiększało do niej ludzkiego zaufania: neutralni zawsze mogli zmienić się we wrogów czy zdrajców, zwłaszcza że motywy kierujące ich postępowaniem rzadko były dla ludzi zrozumiałe. Gulth dorównywał wzrostem berserkerowi i poza obosiecznym kościanym mieczem, którego ostrza zdobione były zębami jakiegoś potwora, miał naturalną broń, to znaczy kły i pazury, które czyniły zeń wyjątkowo groźnego przeciwnika.

Gospodarz odwrócił się twarzą do paleniska, wyciągnął dłoń i wypowiedział zaklęcie w języku, od którego aż zazgrzytało pozostałym w uszach. Ze środka ogniska wypłynął słup białego dymu, przesunął się na podobieństwo węża wokół ognia, rozdzielił i - nim ktoś choćby drgnął - objął jednym ramieniem Milona, Naile'a i elfa, a drugim pozostałą czwórkę.

Milo zakrztusił się dymem przesłaniającym pomieszczenie i pozostałych...

- Dobra, zagrasz tę postać. Teraz słuchajcie: naszym zadaniem jest...

Pokój... niewyraźny, jakby spowity mgłą... Kartki papieru... Był...był...

- Kim jesteś? - z siłą spiżowego dzwonu rozległo się we mgle.

Co za kretyńskie pytanie - był naturalnie sobą, Martinem Jeffersonem, a kim miałby być?

- Kim jesteś? - powtórzył natarczywie głos.

- Nazywam się Martin Jefferson.

- Co robisz?

Kolejne głupie pytanie. Zgodnie z sugestią Ecksterna grał nowymi figurkami tej, jak jej tam, firmy... „OK” zdaje się.

- Nie ma żadnej gry! - sprzeciwił się niespodziewanie głos. - Kim jesteś?

Zanim Martin zdążył otworzyć usta, zamierzając tym razem zadać kilka pytań zamiast udzielać głupawych odpowiedzi, opar zgęstniał, przesłaniając stół; usłyszał inny głos:

- Nelson Langley.

To faktycznie był Nels, ale on dziś nie przyszedł... Nie było go w mieście, a ostatni raz słyszeli się w sobotę...

- Co robisz?

- Gram w grę... - głos był dziwnie stłumiony.

- To nie jest żadna gra! - tajemniczy głos ponownie był stanowczy.

Martin spróbował się poruszyć, ale niczym w sennym koszmarze nie mógł drgnąć. A koszmar ciągnął się dalej.

- Kim jesteś?

- James Ritchie.

Nigdy o takim nie słyszał. Co tu się, do diabła, wyprawiało?! Martin stwierdził ze zdumieniem, że nawet nie może wykrztusić słowa i zaczął się bać: jeśli to był senny koszmar, to najwyższa pora się obudzić.

- Co robisz?

- Gram...

- Nie grasz! - chwila przerwy. - Kim jesteś?

- Susan Spencer... - i tak w kółko, tyle że padły jeszcze trzy nazwiska: Lloyd Collins, Bill Ford i Max Stein.

Dym zaczął rzednąć i Martin poczuł, że boli go głowa. Co za kretyński sen! Rozejrzał się i zdębiał - nie był to pokój, w którym mieli grać - był w wieży tego tam Hystaspesa. Był wojownikiem i nazywał się Milo Jagon... ale był też Martinem Jeffersonem... przez chwilę natłok wirujących pod czaszką myśli groził szaleństwem.

- Rozumiecie teraz? - spytał gospodarz, przyglądając im się po kolei. - Czar prawie doskonały, zupełnie jak Dziewięćdziesiąt Dziewięć Grzechów Salzaka Mordercy Duchów.

Mag też wydawał się niezbyt pewny siebie - jakby nienawidził i bał się tego, czego mógłby się dzięki nim dowiedzieć, a zarazem nie mógł się oprzeć okazji wykorzystania Mocy, jaka dzięki nim wpadła mu w ręce.

- Jestem... Susan. - Dziewczyna zrobiła niepewny krok. - Wiem, że jestem... ale także jestem Yevele. Jak to możliwe?

- Nie tylko ty to czujesz - w głosie maga nie było ciepła, nie było w nim żadnych uczuć, a sądząc z tonu, skoro dowiedział się tego, co najważniejsze, miał ochotę jak najszybciej zająć się czymś innym.

Milo zdjął hełm i zrzucił na plecy kaptur, żeby móc spokojnie podrapać się w

czoło.

- Grałem w grę... - powiedział powoli, próbując przekonać sam siebie, że tamto było prawdą, a to jest iluzją.

- Gry! - warknął mag ze złością. - Te wasze gry, durnie, dały szansę wrogowi. A gdyby nie to, że znam Wyższe i Niższe Czary Ulik i Dom i szukałem pewnej archaicznej formuły, to całkowicie bylibyście już jego sługami. I pogralibyście sobie, a jakże! W jego gry, jako jego pionki. Tutaj wasze Prawo i Chaos walczą ze sobą, lecz prawa Losu nie pozwalają żadnej ze stron na decydujące zwycięstwo. Teraz pojawiło się nowe niebezpieczeństwo, gdyż ani Prawo, ani Chaos, ani Los nie są ograniczeniami dla niego czy też dla nich... nawet, żeby to szlag, nie wiadomo, jakiego rodzaju i ilości jest to zagrożenie.

- To jest gra? - Milo potarł czoło. - To chcesz powiedzieć?

- Kim jesteś? - warknął mag bez ostrzeżenia.

- Martin... Milo Jagon. - Milo zdecydowanie wygrywał, wpychając to drugie ja w zakamarki pamięci i zamykając mu drogę do wolności.

- A widzisz? - Hystaspes wzruszył ramionami i wskazał bransoletę. - A to są twoje więzy, które zresztą dobrowolnie założyłeś we własnym świecie, wykazując zaiste nieprzeciętną głupotę.

Naile szarpnął miedzianą obręcz, ale nawet jego siła nie zdołała jej ruszyć choćby o włos.

- Wygląda na to, że nasz gospodarz wie o tym znacznie więcej niż my wszyscy - odezwał się elf. - Wydaje mi się także, że ma w tym swój udział, gdyż inaczej nie zebralibyśmy się tutaj i nie byli świadkami tego małego pokazu magicznego. Jeżeli zostaliśmy sprowadzeni do tego świata, by służyć temu zaproszeniu, o którym mówiłeś, to musisz mieć jakiś plan.

- Plan! - rozsierdził się adept. - Jak człowiek może układać plany przeciwko czemuś nie z tego świata i nie z tego czasu?! Przypadkiem dowiedziałem się, co może się zdarzyć, i to dość wcześnie, żeby pokrzyżować im całkowite zwycięstwo. Tak, zebrałem was, ale tylko dzięki temu, że on (czy oni, niech to szlag) był tak pewien siebie, że nikt na was nie czekał i nie dostaliście od ręki żadnego zadania. Z drugiej strony, być może dopomogłem mu, zbierając was razem... za mało wiem, żeby mieć pewność...

- Powiedz nam w takim razie, co wiesz i czego się spodziewasz - odezwał się kapłan. - Być może...

- Deav, wiem tyle, co słudzy twego boga bez oblicza - roześmiał się ponuro mag. - Jeśli bogowie istnieją, w co zresztą wątpię, dlaczego mieliby sobie zawracać głowę losem jednostek czy nawet narodów? Ale nie o tym mowa... dobrze, powiem wam, co wiem i czego się spodziewam.

A powiem wam, gdyż teraz jesteście moimi narzędziami! I to narzędziami chcącymi zrobić to, co ja chcę osiągnąć, choćby po to, by się zemścić, jako że ściągnięto was tutaj wbrew waszej woli, a żaden człowiek nie lubi przymusu. Karl! Podaj stołki i posiłek! Noc długa, a wiele jest do omówienia.

Przewodnik wyszedł z kąta i w milczeniu zabrał się do wypełniania poleceń mistrza.

Jedynie Gulth zrezygnował ze stołka, zwijając się na podłodze i opierając długi, podobny do krokodylowego pysk na splecionych rękach. Pozostali odłożyli broń i siedli półkolem, zwrócenii do maga na podobieństwo nowicjuszy mających poznać pierwsze w życiu zakłęcie. Hystaspes usadowił się na krześle i w milczeniu obserwował, jak goście popijają z kielichów w kształcie mitycznych bestii i posilają się chlebem z silnie pachnącym, lecz całkiem smacznym serem.

Milo nadal odczuwał ćmienie przemęczonej głowy, ale nie czuł już konfliktu dwóch osobowości - pamiętał wszystko jak szczególnie wyrazisty sen z innego świata, niezbyt ważny, skoro był teraz z powrotem we własnym świecie.

- Sny niektórych ludzi potrafią być wyjątkowo silne - odezwał się mag. - Wiemy o tym my, którzy poszukujemy wiedzy zagubionej, odnalezionej i ponownie utraconej. Człowiek zawsze śnił i marzył, a dążenie do realizowania tych marzeń jest bezwzględnie jego największym darem. Odkryliśmy, że to, o czym śni czy marzy ktoś w jednym świecie, może powstać lub też istnieć już w innym. Gdy jest to wspólne marzenie kilku ludzi, tym łatwiej jest to osiągnąć i tym łatwiej jest podróżować pomiędzy takimi światami, choć nie są to podróże materialne. Wszyscy graliście w coś, co nazywacie grą role playing i tworzyliście świat wypraw i przygód. Wiedzieliście, że to gra i że takiego świata nie ma; gdy skończyliście jedną rozgrywkę, wracaliście do życia w waszym świecie. Żadne nawet nie pomyślało, że ten kto pierwszy wymyślił ten wymarzony świat, przypadkiem opisał inny, faktycznie istniejący. Przyszło to któremuś do głowy? Nie, tak też myślałem... Coraz bardziej wciągał was ten świat. Coraz bardziej się wam podobał. Nic dziwnego, im więcej graczy w waszym świecie o nim myślało, tym silniejsza więź powstawała pomiędzy obu światami i tym barwniejszy stawał się ten wymyślony.

- Czy to ma znaczyć, że to, co wymarzymy, stanie się realne? - spytała Yevele.

- A czy gra nie była realna, gdy braliście w niej udział?

Wszyscy przytaknęli.

- Właśnie. Zresztą, sama wasza gra jest niewielkim zagrożeniem, gdyż jej przebieg nie ma wpływu ani na losy tego świata, ani na losy istot w nim żyjących. Natomiast wyobraźmy sobie, że ktoś lub coś spoza czasu i przestrzeni, w których leżą oba nasze światy, będzie miał możliwość wtrącić się w tę sytuację. Co wtedy?

- Słuchamy! - mruknął Naile. - Powiedz nam i wyjaśnij, dlaczego tu jesteśmy, i co ty i ten drugi, o którym niewiele wiesz, naprawdę od nas chcecie!

3. Złączeni

- Na ile zdołałem się dowiedzieć, sprawa jest względnie prosta. - Mag zrobił jakiś znak i ujął wysmukły kielich, który pojawił się przed nim znikąd. -

Sprowadzono tu was, to jest wasze osobowości i umysły, i wcielono w postacię występujące w tych waszych ukochanych grach. Powody, dla których was sprowadzono, nie są dla mnie do końca jasne. Wydaje mi się, że ten ktoś chce trwale złączyć nasze światy, a bez dwóch zdań, wasz pobyt tutaj znacznie wzmacnia już istniejącą więź.

- Nic nie rozumiem! - powiedział Naile. - To co, mamy tu siedzieć i czekać...

- Kim jesteś! - głos maga rozbrzmiał równo donośnie i władczo jak we mgle. - Podaj mi swe imię!

- Jestem... - berserker przerwał i zaczerwienił się, po czym dokończył ciszej: - Jestem Naile Fangtooth.

- To miasto to Greyhawk, prawda? - Mag był bardzo pewny siebie.

- Tak. - Naile poprawił się na stołku, który stał się wielce niewygodny.

- Nie jesteś przypadkiem kimś jeszcze? Nie masz wspomnień z innego świata i innego czasu?

- Mam... - przyznał z niechęcią berserker.

- Wobec tego istnieją dwa sprzeczne ze sobą fakty: jeżeli jesteś Naile'm Fangtoothem w mieście Greyhawk, to jak możesz być kimś innym w innym mieście? - spytał mag i nie czekając na odpowiedź, wskazał miedzianą bransoletę. - Jest tak, ponieważ jesteś niewolnikiem tego! Ty, berserker i *were* musisz być posłuszny miedzianej bransoletce!

- Dlaczego i w jaki sposób jesteśmy niewolnikami? - wtrącił Milo, słysząc pomruk berserkera daremnie próbującego zdjąć bransoletę.

- W granicach gry, w którą zdecydowaliście się grać. Kostki umieszczone w tych ozdóbkach mogą się obracać tak, jakby ktoś nimi rzucił. Liczba oczek decyduje o waszym dalszym postępowaniu. Życie, sukces czy śmierć zależą od nich.

- W grze my rzucamy kośćmi. - Kapłan pochylił się, skupiając powszechną uwagę. - Czy na te rzuty mamy jakiś wpływ?

- Pierwsze rozsądne pytanie! - ucieszył się Hystaspes. - Uczą was logicznego myślenia w tych waszych grach, nie? Prawda, że nie możecie zdjąć bransolet ani zerwać czaru. Powinniście jednak wyczuwać, kiedy kostki zaczną się obracać. Potem

pozostaje tylko tak wyteżać umysł, by wypadł jak najlepszy wynik, choć ile to pomoże, zwłaszcza niektórym, tego nikt nie wie. Sądzę, że jeśli skupicie się na obracającej się kostce, możecie choć nieznacznie wpłynąć na wynik.

Milo popatrzył, jak towarzysze przyjęli te rewelacje. Elf spoglądał bez wyrazu w dół, na bransoletę widoczną na nadgarstku opartej o kolano ręki. Naile wciąż daremnie próbował zdjąć swoją, zaś Gulth nawet nie drgnął, a wyrazu jego pyska Milo nawet nie próbował odgadnąć. Yevele wpatrywała się w maga, gładząc w zamyśleniu dolną wargę, najprawdopodobniej nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Po raz pierwszy widział ją bez hełmu i stwierdził, że jest całkiem ładna, a rozwichrzona nad opalonym czołem włosy dodawały jej twarzy świeżości... Cóż, nie czas i nie miejsce, żeby się tym zajmować! Kapłan potrząsnął zdecydowanie głową, marszcząc czoło - najwyraźniej nie przypadły mu do gustu jakieś wnioski wysnute ze słów gospodarza. Jedynie bard się uśmiechał, a gdy dostrzegł wzrok Milo, uśmiechnął się naprawdę szeroko - jakby w rzeczy samej doskonale się bawił.

- Nauczono nas wielu rzeczy - kapłan odezwał się z wahaniem, jak ktoś, kto nie bardzo chce mówić, ale nie ma innego wyjścia. - Nauczono nas, że umysł potrafi kontrolować materię. Magowie osiągają to przez czary, my przez modły.

Wyjął z ukrytej w szacie kieszeni stalowy łańcuszek z nawleczonymi zielonymi paciorkami zgrupowanymi po dwa lub po trzy.

- Nie mówiłem o czarach ani modłach, lecz o takiej mocy umysłu, jaką ma każdy, choć uśpioną. Wy musicie ją w sobie obudzić dla waszego własnego dobra - odparł mag.

- Kiedy i jak mamy jej użyć? - bard odezwał się po raz pierwszy. - Nie zebrałbyś nas tu, adepcie Mocy, gdybyś nas nie potrzebował ani nie mógł użyć.

Tytuł zabrzmiał niemal ironicznie; mag nie odpowiedział natychmiast, wpatrzony w resztki płynu w kielichu, który trzymał niczym przepowiadające przyszłość zwierciadło.

- Jest tylko jedna możliwość wykorzystania was - powiedział wolno.

- To znaczy? - Wymarc nie ustępował.

- Musicie odzyskać źródło mocy, która was tu sprowadziła, i zniszczyć je... jeśli zdołacie.

- A niby dlaczego? Jedynym powodem jest to, że ono cię niepokoi? - spytał grzecznie bard.

- Niepokoi? - głos maga stał się gniewny. - Powiedziałem wam, że on chce

złączyć nasze światy. Dlaczego, tego nie wiem, ale jeśli mu się to uda...

- Właśnie, co wtedy? - wtrącił elf, unosząc głowę i przeszywając maga spojrzeniem.

- Nie wiem... - przyznał Hystaspes.

- Nie wiesz? - zdziwiła się Yevele. - Mając moc i wiedzę, nie wiesz?

- O ile wiem, coś takiego nigdy się nie zdarzyło - przyznał niechętnie mag, widząc, że dziewczyna nie ustąpi. - Jedno jest pewne: stwarza to okazję do powstania zła, przy którym zło Chaosu prawie się nie liczy. Tego jestem pewien.

Tym razem w jego głosie brzmiała szczerłość.

- Może to prawda, ale nie cała - wtrącił Deav Dyne. - Sądzę, że zanim nas tu sprowadziłeś, zadbałeś, byśmy musieli postępować zgodnie z twoją wolą, więc nie mamy wyboru.

Choć nie spuszczał wzroku z maga, jego palce ani na chwilę nie przestały przesuwac paciorków.

- Urok - powiedział powoli Ingrge lodowatym tonem. - Czar posłuszeństwa.

- Zgadza się. - Hystaspes nawet nie próbował zaprzeczać.

- Wątpiliście, że zrobię co w mojej mocy, by mieć pewność, że odszukacie źródło zarazy i zniszczycie je?

- Zniszczycie? - zdziwił się Wymarc. - Przyjrzyj się nam, tej zbieraninie mającej nieco umiejętności i znającej kilka prostych zaklęć. Nie jesteśmy adeptami...

- Jesteście nie z tego świata - przerwał mu mag. - Jesteście tu obcy, więc zgodnie z logiką należy wysłać właśnie was przeciwko czemuś także obcemu. I pamiętajcie jeszcze o jednym: tylko ten czy to, co was tu ściągnęło, zna sposób odesłania was z powrotem. Poza tym nie tylko ten świat jest zagrożony; macie wyobraźnię, z której jesteście tak dumni, użyjcie jej wreszcie! Jak będzie wyglądał wasz świat na stałe złączony z naszym?

- Racja - przyznał bard. - Poza drobnostką, że możemy nie mieć skłonności samobójczych ani chęci zbawiania światów. Świat, który pamiętam jako „mój”, nie zanadto budzi we mnie chęć, by go ratować czy bronić.

- Walczcie więc o siebie i dla siebie - parsknął mag. - W końcu wszystko sprowadza się do przetrwania. Jak słusznie zauważyliście, nie macie w tej chwili wolnej woli.

- Kto jest naszym wrogiem, poza tajemniczym zagrożeniem? - Miło odruchowo porzucił rolę widza: znajomość siły przeciwnika była jedną z

podstawowych zasad i gry, i walki. - Co ze sługami Chaosu?

- Nie wiem - przyznał Hystaspes. - Przypuszczam, że wiedzą o tym, co się dzieje, ale trudno mi powiedzieć, po której stronie opowie się Chaos.

- Czy Chaos także ma graczy podobnych do nas? - spytała Yevele.

- Nie mogłem tego stwierdzić. Nie odkryłem nikogo takiego...

- Co nie znaczy, że ich nie ma - skwitował Wymarc. - Coraz lepiej.

Dowiedzieliśmy się jedynie, że może nam się uda wpłynąć na wynik rzutu tych tu...

Potrząsnął bransoletą.

- Coś tu się nie zgadza! - zagrział Naile. - Rzuciłeś na nas czar posłuszeństwa, więc pomóż nam tyle, ile możesz, zgodnie z zasadami Prawa, którego przestrzegasz. Naszym prawem jest tego żądać i robimy to!

Hystaspes opanował się z widocznym trudem - najwyraźniej słowa berserkera rozdrażniły go.

- Niewiele mogę wam pomóc, ale masz rację: to, czego się dowiedziałem, stawiam do waszej dyspozycji. - Podszedł do jednego z zawalonych księgami i manuskryptami stołów i po chwili poszukiwań wyciągnął prawie metrowy kawał pergaminu i rozpostarł go na podłodze przed półkolem graczy.

Była to odręczna mapa, na północy której leżało Wielkie Księstwo Urnst z miastem Greyhawk zaznaczonym prawie na samej krawędzi. Ku zachodowi, to znaczy na lewo, ciągnęły się góry wraz z rzekami tworzącymi naturalną granicę wielu małych księstewek, za którymi rozciągały się Suche Stepy; jedynie nomadzi znani jako Jeźdźcy Gibbona odważali się po nich podróżować. Nieliczne źródła wody na tym terenie były dziedziczną własnością klanów i obcy rzadko mogli z nich korzystać. Na południu widać było owiane złą sławą Morze Pyłu, z którego jak dotąd nie wróciła żadna wyprawa, nieważne jak liczna i dobrze wyposażona. Legendy głosiły, że skarby i floty dawno wymarłej rasy, niegdyś władającej tymi terenami, nadal czekają na szczęśliwego śmiałka.

Wszyscy pochylili się nad mapą, próbując sobie przypomnieć miejsca, w których byli lub to co wiedzieli o innych, w których dotąd się jeszcze nie znaleźli.

- Gdzie, do wszystkich demonów, mamy zacząć? - wybuchnął Naile. - Mamy przeleźć pół świata, żeby dowiedzieć się, gdzie to twoje zagrożenie się usadowiło i obwarowało, poszukiwaczu Starej Wiedzy?!

W odpowiedzi mag wziął ze stołu zżółkłą ze starości różdżkę z kości słoniowej, pokrytą ledwo czytelnymi ornamentami, wygładzonymi przez czas i palce

niezliczonych użytkowników.

- Mam różne sposoby zdobywania informacji, nie zawsze magiczne. To tu. - Wskazał różdżką na południowo-zachodnią część mapy, gdzie leżało Wielkie Księstwo Geofe.

Miejsce to od przeszło roku było starannie omijane, gdyż toczyła się tam wojna domowa, a obaj pretendenci do tronu oddali się pod panowanie Chaosu. Był to również kraniec cywilizowanego świata, jeżeli można tak określić ziemię rządzoną przez Chaos, gdyż za Księstwem były góry, przez które - czy poszło się na pomoc czy na południe - dostać się było można tak na Suche Stepy, jak i na Morze Pyłu.

- Geofe? - Dyne wymówił nazwę z odrazą.

- Rządzi tam Chaos, ale nie jest on sprzymierzony z tym... czymś. Jeszcze nie... Mam swoje umiejętności i wiedzę, a nie udało mi się nic odkryć.

- Nic? - Ingrge uniósł głowę - masz na myśli pustkę.

- Właśnie. Idealną i pustą pustkę. Bariery, jakie założono, są tak silne, że nie potrafił ich pokonać demon czwartego poziomu.

Deav Dyne przesunął szybciej paciorki, mamrocząc coś pod nosem - gospodarz niby stał po stronie Prawa, ale użycie demonów stawiało go w mniej kryształowym świetle. Hystaspes zauważył to i wzruszył ramionami.

- W przypadku zagrożenia używa się każdej broni, jaką można znaleźć, a szuka się najlepszej - oznajmił. - Wezwałem demony, bo się bałem. Nadal się boję. Rozumiecie? Nie boję się tego, co rozumiem, choć byłoby nie wiem jak groźne. Tego nie rozumiem i dlatego czuję strach. To, czego szukacie, z początku było trochę nieostrożne, a moce, których użyło, naruszyły strukturę Wielkiej Wiedzy, dzięki czemu dowiedziałem się tego, co wam przekazałem. Natomiast gdy zacząłem tego czegoś szukać, blokady i ekrany już były na miejscu. Sądzę, że to coś nie spodziewało się, iż ktokolwiek z tego świata potrafi wykryć choćby jego obecność. Niedawno wpadły mi w ręce manuskrypty, które - jak wieść niesie - należały niegdyś do Han-gra-dan...

Przerwała mu żywiołowa reakcja elfa i kapłana.

- Zniknął tysiąc lat temu! - w głosie Dyne'a brzmiało z wątpienie.

- Mniej więcej - zgodził się mag. - Nie wiem, czy trafiły do mnie bezpośrednio z kryjówki pozostawionej przez najpotężniejszych adeptów północy, ale, bez dwóch zdań, mają wielką moc. Z całą ostrożnością użyłem jednego z zaklęć i dowiedziałem się tego, co już wiecie. Mogę tylko dodać, że albo na Morzu Pyłu, albo tuż za nim

położone są te właśnie magiczne bariery.

- Pustynia to śmierć - Gulth po raz pierwszy zabrał głos i sądząc z jego tonu, przypominającego krakanie, nie miał najmniejszej ochoty na zapuszczanie się w pobliże tego rejonu.

- Pewność, czy to naprawdę jest w tej okolicy, ma tylko jedna istota, bo te góry to jej królestwo. - Mag wskazał na mapie łańcuch graniczący z Morzem Pyłu. Czy wam pomoże, to zależeć będzie od waszej sztuki perswazji. Mam na myśli Złotego Lichisa: jedyne żyjącego złotego smoka.

Świeżo dostępną pamięć poinformowała Milona, że smoki mogą być sługami Chaosu i wówczas polują na ludzi, gdzie się da i jak się da. Lichis jednakże przez tysiące lat wspierał Prawo - tysiące, gdyż smoki są najdłużej żyjącymi istotami. Żył w czasach, które dla ludzi stały się legendą i był najważniejszy ze wszystkich smoków na świecie, co zgodnie przyznawali jego pobratymcy. Od dawna nie brał czynnego udziału w toczących się bez przerwy zmaganiach i widywano go z rzadka - być może poczynania istot niższych, a do takich smoki zaliczały ludzi, po prostu go znudziły.

Wymarc zanucił cicho pierwsze takty „Przegranej Ironnose”, sagi czy legendy, która niegdyś mogła być prawdą. Opowiadała o tym, jak pierwsi adepci Chaosu po wielu trudach przywołali wielkiego demona imieniem Ironnose, który raz na zawsze miał pokonać Prawo. Lichis stoczył z nim walkę, która zaczęła się nad Czarnym Wrzosowiskiem; przeniosła nad Wieka Zatokę i Dzikie Wybrzeże, a zakończyła w morzu, z którego wynurzył się tylko smok. Zniknął on potem na długie lata, by leczyć rany odniesione w walce; najpierw jednak odwiedził adeptów, którzy ściągali demona. Po tych odwiedzinach z ich siedziby i z nich samych pozostało parę osmolonych kamieni i zła sława, która do dziś odstraszała największych nawet śmiazków od poszukiwań w tamtych stronach.

- A jeśli Lichis nie zechce z nami rozmawiać? - spytał elf.

- Ten twój stwór... - Róźdzka wskazała niby-smoka owiniętego wokół szyi berserkera niczym naszyjnik i obserwującego otoczenie spod na wpół przymkniętych powiek. - To może być klucz do Lichisa. Są jednej krwi i choć pokrewieństwo równie odległe jak między wężem a smokiem, to zdecydowanie niby-smok jest inteligentniejszy... Powiedziałem wam wszystko.

Odrzucił za siebie róźdzkę, która łagodnie opadła na blat stołu i wzruszył ramionami.

- Będziemy potrzebowali koni i zapasów. - Yevele potarła dolną wargę.

Hystaspes uśmiechnął się ironicznie, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, uprzedził go elf:

- Nie możemy niczego od ciebie przyjąć, naturalnie poza czarem, który już na nas nałożyłeś.

Elfy znały cząstki Starej Wiedzy, toteż w wielu sprawach Ingrge był lepiej zorientowany od pozostałych.

- Wszystko, co wam dam, będzie miało magiczną aurę - zgodził się gospodarz
- a tego należy unikać.

- A więc trzeba spróbować, ile są warte twoje rady. - Milo wyciągnął rękę z bransoletą i wpatrzył się w kości, próbując skupić się i zmusić kostki do posłuszeństwa.

W innym świecie nie raz i nie dwa rzucał nimi w podobnym celu. Oczka kostek zapłonęły nagle wewnętrznym blaskiem i kostki poruszyły się. Nie próbował im narzucić konkretnego wyniku - polecenie, jakie przekazał, dotyczyło najwyższej liczby, jaką można wyrzucić. Kości znieruchomiały i przestały świecić, a u jego stóp zmaterializował się podróżny mieszek. Milo ocknął się z osłupienia, przyklęknął i wysypał zawartość na podłogę: pięć sztuk złota z Wielkiego Księstwa, z podobiznami dwóch ostatnich władców z haczykowatymi nosami; kilkanaście miedzianych krzyżyków Świętych Lordów; z tuzin srebrnych półksiężyców służących jako monety w Faras i dwa dyski z masy perłowej z podobizną węża morskiego z wyspiarskiego Księstwa Maritiz.

Yevele pierwsza poszła w jego ślady z podobnym skutkiem. Monety były inne, ale ogólna wartość obu mieszkań była zbliżona. Pozostali osiągnęli podobne wyniki, choć Gulth miał wśród monet dwie sześciokątne sztuki złota z emblematem płonącej pochodni, których Milo nigdy dotąd na oczy nie widział.

Deav Dyne, najlepiej obeznany z wartością różnych walut i rozpoznawaniem dziwnych monet, zajął się obliczeniem wspólnego majątku, co zajęło mu sporo czasu.

- Powiedziałbym - oznajmił w końcu, spoglądając na podzielony na kupki bilon - że mamy dość, by przy zręcznym targowaniu kupić konie i zapasy. Te ostatnie najlepiej chyba będzie nabyć Pod Strąkiem Grochu. Myślę też, że powinniśmy się podzielić. Milo, Ingrge i Naile pójdą do Dzielnicy Cudzoziemców po konie, gdyż najlepiej się na nich znają. Gulth musi kupić własną żywność. Wiesz gdzie?

Zapytany skinął łbem i wysypał podsunięte mu monety do sakiewki sporządzonej nie ze skóry, jak inne, lecz z ryby, której obcięto łeb i zamocowano

metalową skuwkę.

Milo zmarszczył brwi - był nieźle uzbrojony: miał prosty, długi miecz, a za cholewą nóż o dobrze wyważonym ostrzu, ale przydałyby się i kusze. Poza tym nie był pewien, czy może rozporządzać jakimiś czarami... Według reguł gry powinien spróbować rzucać kośćmi o to. Podzielił się tymi wątpliwościami z pozostałymi.

- Ja mogę używać jedynie poświęconego noża - odparł kapłan - ale wy możecie próbować...

Ponownie więc Milo spróbował jako pierwszy, wyobrażając sobie, najsilniej jak potrafił, kuszę wraz z bełtami. Tym razem jednak kości pozostały ciemne i nieruchome. Wszyscy prócz Dyne'a i barda zakończyli próby z równie nikłym skutkiem.

- Widocznie jesteście wystarczająco uzbrojeni - skrzywił się mag. - Może to być przypadek, może i nie... Jak by nie było, na waszym miejscu nie marnowałbym więcej czasu: do rana najlepiej być jak najdalej od tego miasta. Nie wiem, czy Chaos obserwuje was lub wieżę ani czy jest tu ktoś na usługach obcego wroga, ale na ostrożności jeszcze nikt nie stracił...

- Obcy wróg - parsknął Naile, wstając. - Ludzie, na których rzucono urok, mają zwykle więcej wrogów. Zrobiłeś sobie z nas broń, twoje prawo. Ale radziłbym ci uważać, bo nawet w najlepszych rękach broń potrafi skrzywdzić tego, który nią włada...

I wyszedł, nie odwracając się. Nie musiał dodawać nic więcej - berserkerzy w takim nastroju bywali groźniejsi niż w bojowym szale.

4. Wyjazd

Niektóre okolice Greyhawk nigdy nie spały. Jednym z takich miejsc był wielki targ położony przy granicy Dzielnicy Złodziei i Dzielnicy Cudzoziemców. Można tu było kupić wszystko, od pęku szmat po klejnoty koronne dawno zapomnianych królestw, gdyż do miasta ściągali łowcy przygód ze wszystkich stron świata. W nocy targowisko oświetlały pochodnie i latarnie uliczne, a ruch na nim nigdy nie ustawał - ludzie, krasnoludy, elfy, obojętne czy w służbie Chaosu, czy Prawa. Wolne miasto i potrzeby kupujących zapewniały utrzymanie chwiejnej równowagi między obu stronami. Zdarzały się naturalnie zwady i zabójstwa, ale nie zdarzały się bitwy.

Pomiędzy straganami przechadzali się strażnicy, nie ingerując w załatwiane z ostrzem w rękę sprzeczki, ale bacząc, by bijatyki nie przerodziły się w rozruchy. Każdy mógł tu liczyć wyłącznie na siebie, a w najlepszym przypadku na swych towarzyszy. Stróże porządku nie mieli obowiązku opiekować się ofiarami niefrasobliwości czy przemocy.

Naile mrucał coś pod nosem, nie wiadomo czy do siebie, czy do Afreety. Niespodziewanie zatrzymał się między dobrze oświetlonymi straganami i poczekał na idących parę kroków z tyłu towarzyszy. Niby-smok nadal udawał klejnot na szyi właściciela, który potoczył wokół wściekłym wzrokiem. Jeszcze panował nad sobą, ale był tak wściekły na maga, że trudno było przewidzieć, czy nie zacznie lada chwila burdy z kimś obcym, żeby sobie ulżyć.

- Czujecie? - spytał głosem, w którym słycać było tłumioną złość, nie przestając lustrować otoczenia spod daszka hełmu.

Zapachów, aromatów i smrodów było co niemiara, lecz elf bez słowa skinął głową, węsząc niczym pies gończy, który pochwycił ten jeden, istotny zapach. Milo jako ostatni poczuł ostrawą, trudną do określenia, ale charakterystyczną woń, od której ciarki wędrowały po plecach - gdzieś w tłumie, i to niedaleko, byli słudzy Chaosu. Jego towarzysze odznaczyli się zarówno lepszym powonieniem, jak i większą wrażliwością na Moc, ale i tak Milo był pewien, że słudzy Chaosu interesują się właśnie ich piątką.

- Chaos - mruknął elf - ale nie sam. Jest z nim coś jeszcze, ale ukryte.

- Jest z Mroku i obserwuje nas - sapnął Naile. - Żeby jego własne demony zadusiły tego osła! Jak go złapię za gardło, to już ono nigdy nie odzyska swojego wyglądu. Szkoda brukać uczciwe ostrze posoką takiego syna!

- Czy poza obserwacją coś nam grozi? - Pytanie nie było kierowane konkretnie ani do elfa, ani do berserkera. Milo rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mogliby stanąć, gdyby ktoś ich zaatakował, nie odsłaniając tyłów.

- Nie tu i nie teraz - w głosie Ingrgego brzmiała pewność.

- Prawda - mruknął Naile. - Im prędzej wyjedziemy z tej pułapki na otwartą przestrzeń, tym lepiej. Nie cierpię miast, a to w dodatku śmierdzi!

Pogładził łepkę niby-smoka z zadziwiającą delikatnością i dołączył do wszystkich. Prowadził teraz elf, a Milo nie mógł oprzeć się wrażeniu, że są prawie niewidzialni: nikt ich nie zaczepiał, proponując towary czy usługi, co w tej okolicy i przy takim tłoku było naprawdę nienaturalną uprzejmością ze strony handlarzy.

Jeden ze straganów zwrócił szczególną uwagę Milo - sprzedawano na nim broń krasnoludzkiej roboty czyli najlepszą i to w zapierającym dech wyborze: od prostych mieczy, przez szable, jatagany, kindżały, aż do noży do rzucania. Były także maczugi, małe, prawie „kieszonkowe” i takie, które pasowałyby do łapy berserkera. Niestety, nie mogli tu nic kupić; zabraniały tego reguły oraz nie mieli pieniędzy. I choć reguły można było spróbować nagiąć, to na brak gotówki nie dało się nic poradzić w tak krótkim czasie. Poza tym, choć przydałoby się im dwakroć tyle oręza, niż mieli, to bezbronni nie byli, a na piechotę daleko by nie zaszli.

Prawie zaraz za straganem płatnerza elf skręcił w prawo, wyminawszy następne dwa rzędy straganów, mniejszych i uboższych, niż dotąd widzieli, wyszli na skraj targowiska, gdzie nie było już stoisk, ale oznaczone liniami zagrody i klatki. Tu sprzedawano zwierzęta: wielbłądy (trzymane zgodnie z przepisami i zdrowym rozsądkiem tak daleko od koni, jak tylko się dało), orithy ze spętanymi skrzydłami i normalne ludzkie wierzchowce. Orithy były najszybsze, jednak wymagały stałej uwagi i były niezwykle uparte - elfy mogły ich dosiadać, ale próbujących tego ludzi należało zaliczyć do głupców.

Oprócz wierzchowców były psy, przywiązane do wbitych w ziemię pali. Poczując berserkera, zaczęły warczeć, lecz gdy Naile podszedł bliżej, wszystkie podkuliły ogony i cofnęły się. Instynkt wyraźnie im mówił, że mimo nęcącego zapachu nie jest to najwłaściwsza dla nich zwierzyna. W klatkach widać było płowe cielska drapieżników, nie na tyle jednak wyraźnie, by dało się rozróżnić, jakie dzikie koty oferowano na sprzedaż. I tak zresztą nie byli nimi zainteresowani. Interesowały ich konie i Milo, rozglądając się uważnie, ku nim się skierował.

A przyznać należy, że było w czym wybierać - od szkolonych ogierów

bojowych z kopytami już zeszlifowanymi pod podkowy z ostrzami aż do kucy o sierści zmierzwionej i pełnej bodiaków. Kuce były zresztą najgroźniejsze dla nieświadomych przechodniów - miały bowiem zwyczaj bez uprzedzenia bić zadem w każdego, kto znalazł się w ich zasięgu.

Ogiery bojowe były doskonałe w walce, lecz nie nadawały się na ich wyprawę. Nie wytrzymałyby długich dystansów, zwłaszcza w górach i na pustyni. Szkolone do walki były zbyt cenne do jazdy wierzchem, toteż nawet ich bogaci właściciele dosiadali ich tuż przed bitwą. No i kosztowały tyle co dobra wieś. Z żalem Milo skupił uwagę na zwykłych wierzchowcach, przeważnie zajeżdżonych lub przypominających pospolite konie pociągowe. W środku końskiego szpaleru uwagę przyciągało kilka długogrzywych i długonogich rumaków, zbitych w ciasną gromadę - były to konie stepowe. Zbyt trudne do okiełznania dla farmera, zbyt lekkie do bitwy (chyba że dla harcowników), słynęły za to z wytrzymałości. Te tutaj musiały zostać zdobyte podczas najazdu nomadów, gdyż tylko oni je hodowali i nigdy nie sprzedawali. Idealnie nadawały się do zamierzonej wyprawy, a kilka jucznych kuców powinno dopełnić zakupów.

Ingrge milcząc, podszedł do koni, które wypatrzył Milo. Jako elf znał mowę zwierząt, toteż łatwo mógł się porozumieć z na wpół dzikimi mustangami.

- Te? - spytał niedowierzająco Naile.

Jego wątpliwości były zrozumiałe: był najcięższy z całej kompanii i potrzebował postawnego konia, a prócz tego mustangi często nie znosiły berserkerów pomimo ich zdolności magicznych. Wyczuwały specyficzną woń, którą ludzie czuli dopiero, zamieniając się w zwierzę, i dostawały szału, gdy berserker był w pobliżu.

Afreeta opuściła szyję berserkerka jednym ruchem, i zanim Naile zdążył wyciągnąć dłoń, poszybowała na prawie przeźroczystych skrzydłach ku wierzchowcom. Zawisła nad dwoma największymi, po czym złożyła skrzydła i osiadła na grzbiecie tego z prawej. Koń zarżał, wierzgnął i rzucił łbem, jakby chciał się obejrzeć i dostrzec nieproszonego pasażera, wreszcie znieruchomiał.

- Afreeta wybrała - roześmiał się Naile.

- Sługa uniżony - rozległo się nagle obok. - Co szanowni panowie sobie życzą?

Pytający odziany był w skóry końskie, a raczej zdarte z kuców, miał długie ciemne włosy i żółte podobne do końskich zębiska, wyszczerzone w szerokim a fałszywym uśmiechu. Milo spojrzął na niego, potem na elfa, który delikatnie gładził

końskie grzbiety, przechadzając się wśród mustangów niecodziennie ufnych i łagodnych.

- Doskonałe wierzchowce dla wojownika, panie. - Sprzedawcy najwyraźniej wystarczył rzut oka.

- Stepowe wierzchowce - odparł Milo. - Trenowane, by słuchać jednego jeźdźca...

- Prawda - zgodził się handlarz, nie tracąc uśmiechu. - Przyprowadziłem je z Geof, gdzie młodziki próbowali sił w wojaczce. Chłopcy mieli pecha: Faustyn of Narm zrobił rajzę w tej samej okolicy. On zyskał trochę niewolników, ja trochę koni. Prawda, że koń i nomada są jednym, ale jest wśród was elf, a oni dogadują się ze wszystkim, co lata, chodzi i pełza, jeśli tylko służy Prawu. Nomadzi przysięgli Thene, a nie słyszałem, żeby ona pokłoniła się Chaosowi.

- Ile? - Milo przeszedł do rzeczy.

- Za ile, panie?

Milo przypomniał sobie nagle zasady dobijania targu. Koni było siedem, ich sześcioro, wszakże z dwóch powodów lepiej było kupić wszystkie: ogłupiało się tajemniczego obserwatora co do rzeczywistej liczby uczestników wyprawy, a poza tym zawsze zdarzały się wypadki, zaś strata jednego konia przy równej liczbie ludzi i zwierząt oznaczałaby kłopoty i to poważne.

- Za wszystkie - Ingrge wrócił z oględzin i włączył się do targu.

Naile trzymał się z boku, zostawiając transakcję im obu.

- No, taak... - Kupiec nadal się uśmiechał. - Dobre konie na otwarty teren, sprawdzone. Doskonałe na wyprawę po skarby...

- Wszyscy klienci mają znajomych elfów? - przerwał mu Milo. - A może przychodzą z krasnoludkami?

- Myśli pan, panie, że mnie pan ma? Tak nie całkiem... Co do ceny, to dziesięć sztuk złota za każdego. Tak daleko na wschód nie znajdzie się łatwo im podobnych. Ja sam pojechałbym z nimi na południe, no, wszędzie, tylko nie na stepy. Nomadzi nie lubią, jak obcy dosiadają koni krewniaków, a zemsta u nich święta rzecz...

- Pięć sztuk złota i radzę ci pamiętać, że mogli już zaprzysiąc zemstę i są w drodze tutaj. Zatrzymaj je, szybko staniesz przed Dziewicami Theny.

- Nawet zaprzysiężona na miecz zemsta nie doprowadzi ich do Greyhawk, panie. Ale żeś wygadany, więc niech będzie moja krzywda: po osiem sztuk.

W końcu Milo kupił je po sześć sztuk, złota, żywiąc silne podejrzenie, że

gdyby jeszcze się potargował, kupiłby taniej. Jednak niepokój wywołany bezustannym uczuciem, że ktoś go obserwuje, wzrósł do tego stopnia, że Milo z trudem wytrwał, żeby co rusz nie oglądać się przez ramię. Elf wybrał kuce tak starannie, że byli pewni, iż to najlepsze wierzchowce z całego tabunu.

Afreeta czujnie przysiadła na ramieniu berserkera i przypatrywała się wszystkiemu błyszczącymi oczyma. Milo płacił właśnie mieszaniną monet, gdy elf gwałtownie odwrócił głowę, głośno wciągając powietrze. Pomiędzy zwierzętami kręciło się sporo ludzi, krasnoludów i postaci tak szczelnie otulonych długimi płaszczami z kapturami, iż nie sposób było określić ich rasy. Ani Ingrge, ani Naile nie zwrócili na nich większej uwagi. Teraz zbliżał się ku nim mężczyzna i nie ulegało żadnej wątpliwości, że to właśnie ich szuka.

Przybysz ubrany był w płaszcz przypominający krojem strój elfa, sporządzony z miękkiej, dobrze wyprawionej skóry, lecz nie brązowo-zielony, ale - od wysokich butów po stojący, wysoki kołnierz - połyskliwie czarny niczym chityna owada. Na kubrak narzuconą miał tunikę spiętą pod szyją metalową klamrą i lamowaną pomarańczowym futrem. Spod czapki, a raczej mycki z takiegoż futra, zdobiącej pociągłą, ogorzałą od słońca twarz, spływały na ramiona lśniące od tłuszczu, czarne włosy. Rysy miał osobliwe, zdradzające mieszańca, prawdopodobnie półelfa, chociaż nie miał zielonych oczu, lecz czarne. Ruchy świadczyły o pewności siebie, podkreślanej ironicznym półuśmiechem.

Ingrge przyglądał się przybyszowi z kamienną twarzą, jednak Milo wiedział (podobnie jak wiedział, że jest obserwowany), że nie żywi on przyjaznych uczuć wobec obcego.

Mężczyzna wyciągnął otwartą dłoń w geście pokoju, co było rozsądne u kogoś noszącego przy lewym boku długi, myśliwski kordelas i zgrabny topór do miotania, zaś na prawym biodrze - zwinięty, długi bicz.

- Witajcie, wojownicy - przemówił z taką samą pewnością siebie, jak się poruszał. - Jestem Helagret, a interesują mnie rzadkie zwierzęta...

Przerwał, jakby czekając, aż oni się przedstawią, ale usłyszał tylko wymowne chrząknięcie berserkera, któremu wyraźnie się nie spodobał. Milo wyteżył zmysły i zerknął na elfa - sądząc z wyrazu twarzy Ingrgego, to nie był ich wróg, a jeśli nawet, to pomniejszy. Skończył odliczać należność i odezwał się, gdyż nikt nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Nas interesują tu jedynie wierzchowce, Master Helagret.

- Nie wątpię. Mnie natomiast interesuje coś, co ma wasz kompan, panie. -
Dłonią w czarnej rękawiczce wskazał niby-smoka. - Zbieram rzadkie zwierzęta dla Lorda Fandu-Ling of Faraaz, który przeznaczył specjalny ogród dla najrzadszych istot zamieszkujących tę planetę. Z tej podróży wiozę mu gryfkota, jaszczura prim i białego węża piaskowego. Berserkerze, dla mojego pana pieniądze nie mają znaczenia: rok temu odnalazł ukrytą świątynię Tune wraz z jej nienaruszonym skarbem. Mogę zeń czerpać, by zwiększać jego kolekcję. Co byś powiedział na miecz siedmiu zaklęć, wieczystą tarczę i naszyjnik zdobiony lyra, jakiego nie ma nawet władca Wielkiego Królestwa...

Naile chwycił topór, a niby-smok zniknął pod kołnierzem płaszcza.

- Powiem, kłusownik, żebyś zamknął gębę albo ta stal otworzy ci ją na wieczność! - W oczach Naile'a pojawiły się czerwone ogniki, a wykrzywione w złości wargi odsłoniły kły.

- Opanuj się, wojowniku - roześmiał się Helagret. - Nie będę próbował niczego ci zabrać siłą, ale co szkodziło spytać?

Dawał do zrozumienia, że Naile jest zbyt blisko spokrewniony z futrzastymi i pazurzystymi stworzeniami, by traktować go jak normalnego człowieka...

- W takim razie mam sprawę do was wszystkich, skoro nie udało mi się odkupić tego niby-smoka. Muszę przewieźć do Faraaz to, co już nabyłem, a parę dni temu część mojej eskorty spiła się potężnie pod Dwoma Harpiami i wywołała burdę, za co jeszcze trochę odpoczną na koszt tego miasta w Wieży Obcych. Zostali mi woźnice i kilku zbrojnych, ale to mało. Jeżeli udajecie się na zachód, chciałbym was nająć za pełną stawkę zbrojnego dla każdego, dopóki nie dotrzemy do zamku mego pana, a on być może coś wam jeszcze dołoży, gdyż nie słynie ze skąpstwa - zakończył z uśmiechem.

Milo także się uśmiechnął, zastanawiając się, do czego naprawdę tamten zmierza, że tak zabiega o towarzystwo. Bo w jego opowieść mógłby uwierzyć jedynie nowicjusz albo głupiec.

- Nie jedziemy do Faaraz - odparł, starając się, by nie zabrzmiało to obraźliwie.

- Szkoda. Mój pan w dwóch ostatnich wyprawach miał niezwykle wręcz szczęście, a jak wiem, przygotowuje się do trzeciej. Otrzymał pewną mapę terenów na południu, które...

- Życzę mu więc szczęścia i za trzecim razem - przerwał Milo. - Co się tyczy

zbrojnych, to za godziwą zapłatę bez trudu znajdziecie, panie, chętnych.

- Szkoda - powtórzył Helagret. - Sądziłem, że pojedziemy razem. Być może stwierdzicie, że odrzucanie darów Fortuny sprowadza pecha...

- Grozisz, hyclu? - Naile zrobił długi krok w przód.

- Dlaczego miałbym wam grozić? I czego możecie się obawiać z mojej strony?

- Rozłożył ręce, próbując uspokoić tym gestem krewkiego berserkera.

- Właśnie, czego - wtrącił Ingrge - człowieku z Hither Hill.

Uśmiezek zniknął z twarzy natręta, a w oczach coś rozbłysło i równie szybko zgasło. Niespodziewanie mężczyzna skinął głową jak ktoś, kto właśnie rozwiązał jakiś problem.

- Nie wstydzę się swej krwi, elfie, a ty? - I nie czekając, odwrócił się i odszedł.

Milo poczuł ciepło na nadgarstku - bransoleta lekko świeciła, ale kości pozostawały nieruchome. Szybko uniósł wzrok, słysząc wściekłe przekleństwo berserkera: Ingrge z napięciem wpatrywał się w wirujące kostki na swym przegubie. Nie oderwał oczu jeszcze przez chwilę po ustaniu ruchu i wygaśnięciu poświaty.

- Mieszkańcowi się nie powiodło - oznajmił. - Mag miał w tym rację.

- W czym? - Milo był poirytowany własną niewiedzą. Jasne było, że przynajmniej elf, jeśli nie wszyscy, spotkali się właśnie z jakimś zagrożeniem, ale z jakim...

- Ma towarzystwo - Naile zdołał to powiedzieć w miarę cicho.

Po przeciwległej stronie otwartego placu, gdzie handlowano zwierzętami, w migotliwym blasku latarń widać było grupę trudną do policzenia, w której po lśniącem ubraniu z łatwością dało się rozpoznać ich gościa. Musiał się mocno spieszyć, by w tak krótkim czasie pokonać taką odległość. Stał przed kimś okrytym luźnym płaszczem z kapturem, zlewającym się z mrokiem.

- Rozmawia z druidem - wyjaśnił Ingrge - a czego próbował... Jest mieszkańcem z Hither Hill i próbował rzucić na nas czar posłania, byśmy byli mu posłuszni. Nawet czystej krwi elf nie potrafi tego sam dokonać. Do tego potrzebne jest złączenie woli i sądzę, że był tylko kanałem, przez który miała przepływać moc. Zaatakował, kiedy nas zobaczył i usłyszał.

- Druid? - zaciekał się Milo. - Z Chaosu?

- Być może druid, ale o takim wzorze dotąd nie słyszałem - odparł z wahaniem elf. - Ma przy sobie talizman o szczególnej aurze... obcej aurze... mimo to zdołałem go pokonać. Mag miał rację: musimy wyćwiczyć umysły na podobieństwo tego, co

krasnoludzczy płatnerze robią z mieczami, gdyż umysł może być obroną i atakiem, jakiego dotąd nie znaleźliśmy.

- Może, może. - Naile zacisnął pięść. - Ale i tym toporem wygrałem z wieloma, którzy stanęli mi na drodze. Użycie umysłu jako broni... to coś zupełnie nowego.

- Odeszli - oznajmił Milo. - Proponuję szybko iść w ich ślad!

Elf bez słowa ruszył ku wierzchowcom, najwyraźniej także o tym przekonany.

5. Krąg Zapomnianej Mocy

Niebo zaczynało dopiero szarzeć, gdy wyruszyli na południe. Milo, znając rodzaj terenu, po którym mieli jechać, kupił lekkie siodła, właściwie wyściełane siedziska z mnóstwem troków na osobisty ekwipunek i bukłaki. Wypytał wcześniej elfa, ale jego wiedza o tych obszarach także była z drugiej ręki, sam bowiem nigdy nie był tak daleko na południu. Gdy przekroczą rzekę i znajdą się na równinach Koeland, będą zdani wyłącznie na wyczucie i zmysł kierunku Ingrgego.

Juczną karawanę prowadził na ochotnika Wymarc, a nie było to proste, gdyż kuce zaczęły okazywać wrodzoną złośliwość. Bard jednakże zdołał je jakoś obłaskawić i obyło się bez większych trudności.

Pojechali szerokim łukiem, większym niż wymagał tego kierunek jazdy, gdyż po drodze znajdowała się stojąca poza murami Greyhawk Wieża maga Kyarka, którą wszyscy rozsądni ludzie omijali z daleka. Jak długo pozostawała w zasięgu ich wzroku, Deav Dyne na chwilę nie przestał energicznie przesuwając paciorków różańca w cichej modlitwie. Nawet elf nie spojrział w stronę mrocznej budowli.

Nie wszyscy też byli dobrymi jeźdźcami i czuli się swobodnie w siodle - choć Gulth nie wydał z siebie dźwięku, Ingrge musiał długo konferować z najspokojniejszym z koni i użyć lekkiego, na szczęście, zaklęcia, zanim ten zgodził się przyjąć takiego jeźdźca. Gulth zresztą jechał w znacznej odległości od wszystkich, nie chcąc płoszyć innych wierzchowców, którym jego towarzystwo zdecydowanie nie odpowiadało. Miało to i dobre strony: kuce, mając do wyboru bliskość jego lub ludzi, przestały się boczyć i spokojnie szły za bardem.

Milo zresztą od początku zastanawiał się nad obecnością Gultha, nie bardzo wiedząc, na co może się on przydać na pustyni czy w stepie; jego rasa zamieszkiwała bagna i moczary, a tych na trasie wyprawy nie było. Przynajmniej tak się wydawało. Swoją drogą, ciekawe, jaki gracz - człowiek wybrał taką postać... Gdyby nie miedziana bransoleta, Milo pierwszy wykluczyłby go z udziału w wyprawie. Naile zresztą wcale nie ukrywał, że nienawidzi Gultha, podobnie jak wszystkich Jaszczurów, i że mu nie dowierza. Jechał też najdalej, jak mógł, od niego. Pozostali, choć nie aż tak wrogo nastawieni, odzywali się do Jaszczura jedynie wówczas, gdy było to absolutnie niezbędne.

Szarobrązowa trawa sięgała już końskich brzuchów, ale wciąż była zbyt niska na osłonę przed wzrokiem ciekawskich, a wokół nie rosła nawet kępa drzew. Ktoś

stojący na murach Greyhawk mógł im się przypatrywać do woli.

- Zastanawiam się... - Milo przyjrzał się zamyślony rzece, którą przebyli i położonemu za nią miastu. - Jaki pożytek będzie z nas miał mag, skoro od samego początku wszyscy mogą się domyślić, dokąd zmierzamy...

- Nie wszyscy. - Yevele wskazała opaloną dłonią na trawę w niewielkiej odległości od ich kolumny.

Milo skłął się w duchu za niefrasobliwość - powinien sam to zauważyć, a nieuwaga w takich okolicznościach mogła skończyć się dlań co najmniej nieszczęśliwie. Trawa bowiem, wyjątkowo sprężysta i wytrzymała, drżała wzdłuż wąskiej linii biegnącej równoległe do kierunku ich marszu. Mogła to sprawić tylko magiczna osłona maga zapewniająca im niewidzialność. Przełamać ją, a więc dostrzec ich, mógł jedynie inny adept, jeśli użył mocy równej temu czarowi, dzięki któremu powstała.

- Nie może być naturalnie utrzymana bez końca - dodała dziewczyna. - Nie wiem, ile mocy przeznaczył na nią Hystaspes, lecz jeśli zdoła nas chronić aż do Vold, to dalej teren zapewni nam osłonę.

- Jechałaś już tędy? - spytał zaskoczony; skoro znała okolicę, to dlaczego milczała, gdy rozmawiał o tym z elfem? Ingrge prowadził wedle pogłosek i wycucia, a nie doświadczenia.

- Słyszałaś o rozbojach Keo Gorszego? - odparła pytaniem na pytanie.

Przez chwilę miał w głowie zamęt, po czym wciągnął głęboko powietrze. To, o czym mówiła, było mroczne niczym czeluście Otchłani. Była to zdrada, jaką rzadko mógł się chlubić Chaos, i śmierć w tak wymyślnych męczarniach, iż niedobrze się robiło na samą myśl o niej.

- Ależ to było...

- Dawno temu - odparła ze spokojem, jakiego elf by się nie powstydział. - Dziwi cię zapewne, czemu akurat teraz o tym mówię... Jestem urodzona do miecza, znasz zwyczajnie północnych Grup: dziecko, a raczej dziewczynka, gdyż tylko ich to dotyczy, jest od urodzenia szkolona wedle reguł klanu, do którego należy; te spod znaku Jednorożca po trzynastych urodzinach mogą dokonać wyboru. Jeżeli wybiorą związek, mogą zostać matkami, gdy Rogata Pani będzie pragnęła, by zwiększyły grono jej wyznawczyń. Moja matka tak właśnie postąpiła - wybrała związek i została nauczycielką. Nasz klan wpadł w tarapaty, gdy trzy kolejne lata przyniosły zbyt małe zbiory, by wszyscy mogli przeżyć. Te, które mogły walczyć i miały jeszcze dość sił,

zwołały radę. Zgodnie z tradycją mogły już powrócić do kompanii, lecz posiadały umiejętności wysoko cenione na wolnym rynku. Wiesz, jak potrafią walczyć takie jak ja. Dwadzieścia pięć przysięgło mojej matce i ta poprowadziła je do Greyhawk, gdzie sprzedała siebie i podwładne za zapłatę z góry, tak by starcy i dzieci mieli na życie. Wszystkie przyjęły służbę u Regrona of Var... Te, które miały szczęście, zginęły. Moja matka go nie miała. Gdy z nią skończyli... nieważne, dwa rachunki już wyrównałam, a dowody wiszą w księżycowej świątyni klanu. Przysięgam na krew wyrównać rachunki, gdy otrzymałam miecz i imię siostry. Dlatego nie należę do żadnej grupy. Jestem Poszukującą.

- Dlatego przybyłaś do Greyhawk - powiedział wolno. - Ale ty nie jesteś Yevele... pamiętasz? Jesteś uwięziona w jej ciele...

- Jestem Yevele, a ta druga teraz nie ma znaczenia. - Potrząsnęła powoli głową i pierwszy raz spojrzała mu w oczy. - Ty tak nie czujesz? Jestem Yevele i to, co było i jest Yevele, rządzi teraz ciałem i umysłem, i jeśli Hystaspes nie zacznie na nas próbować nowych czarów, tak zostanie na zawsze. Nie mogę przełamać czaru, który na nas rzucił, lecz gdy ta podróż się skończy, a ja pozostanę przy życiu, moja przysięga znowu będzie najważniejsza. Jeszcze dwa wota muszą zawisnąć w świątyni Rogatej Pani!

Milo był pod wrażeniem - tak doskonale ukrywała prawdziwą naturę, że aż dotąd nie spostrzegł tej zimnej determinacji pod wabiącą go powierzchownością. Ciekawe, czy ich własne charaktery miały wpływ na wybór postaci i na wybór ich jako graczy przez tego tajemniczego kogoś... I jeszcze jedno - jego prawdziwe życie i gra, które pamiętał, były bardzo odległe i nierzeczywiste. Gdyby nie bransoleta z kostkami, mógłby je uznać za wymysł maga, a jego opowieść za kłamstwo.

Oboje zamilkli, podobnie jak reszta wyprawy, i tylko szelest trawy, czasem parsknięcie lub kichnięcie jeźdźca czy wierzchowca łączyły ciszę poranka.

Milo zarządził przerwę, gdy odjechali spory szmat drogi, choć nadal byli jeszcze na równinie. Nakarmili zwierzęta ziarnem i napoili, używając hełmów jako wiader, po czym sami pokrzepili się twardym pieczywem, które trzeba było długo żuć, zanim nadawało się do przełknięcia, ale za to bardzo długo się nie psuło. Uważali przy tym, by konie nie zaczęły się paść - trawa była tak sprężysta, iż prawie nie sposób było zauważyć, że po niej przyjechali. Skoro chronił ich czar niewidzialności, nie miało sensu pozostawianie tak wyraźnego śladu swej obecności jak płat

wyskubanej roślinności. Gulth zamiast pieczywa długo przeżuwał garść ususzonych na wiór rybek.

Towarzyszące im linie, które rozdzielały trawę, zatrzymały się wraz z nimi i złączyły przed i za miejscem popasu, tworząc bryłę osłaniającą ich ze wszystkich stron. Pokazał ją bez słowa reszcie.

- Iluzja - odparł obojętnie elf.

- Magia - poprawił go kapłan. - Czar niewidzialności, a czar oznacza, że nie wiemy, jak długo rzucający zdoła go utrzymać.

- Rzeka da nam nieco osłony - odezwała się Yevele, starannie zsypując na dłoń okruszki. - Są tam skały... - Zamilkła, gdyż Ingrge gwałtownie odwrócił głowę i przyjrzał się jej uważnie i twardo. Odpowiedziała mu podobnie, zlizwała okruszki z dłoni i powiedziała spokojnie: - Niejechałam tędy przedtem, ale znam te okolice: moja krewna zginęła podczas rozboju Kro Gorszego.

Teraz przyglądali się jej wszyscy.

- To była zła sprawa - odezwał się po chwili Naile. Deav i Wymarc równocześnie przytaknęli. Gulth najpierw nie zareagował, lecz po chwili oznajmił, budząc ich z zadumy:

- Czar słabnie.

- Lepiej uważajmy - zaproponował elf. - Czas, albo odległość osłabiają to zaklęcie, a wolałbym nie być widziany na tej równinie.

Gulth miał rację - linie migotały, raz stając się wyraźne, raz ledwie widoczne, toteż pospiesznie dociągnęli popręgi i ruszyli w dalszą drogę. Ponure niebo i szara trawa zlewały się w jedno, a wokół panowała cisza - nikomu nie chciało się odzywać, za to wszyscy pragnęli jak najszybciej dotrzeć do rzeki. Mieli sporo bukłaków, ale zdecydowali się nie napełniać ich w mieście, jako że stałoby się to wyraźną wskazówką, iż zmierzają na równiny. Kedand miał trzy spore dopływy, tworzące pokaźną i szeroką rzekę, tak że nie powinni martwić się o wodę, przynajmniej na początku podróży.

- Czar ustał - odezwał się Milo. Uważnie przyglądał się linii i poinformował pozostałych, gdy tylko zniknęła.

- Niedaleko jest woda - elf wstrzymał wierzchowca. - Konie wyczuły ją wcześniej niż ja, ale woda na takim pustkowiu jest miejscem spotkań wszystkiego, co żyje. Jedźcie powoli, ja zbadam miejsce.

Tak konie, jak i kuce pchały się do przodu, toteż trochę wysiłku wymagało

uspokojenie ich. Dopiero wtedy Ingrge ruszył galopem i wkrótce zniknął im z oczu.

Elf znalazł doskonałą kryjówkę dla wszystkich. Naturalnie, przed ludzkim wzrokiem, gdyż nikt poza adeptem nie mógł chronić ich przed wykryciem przez innego adepta, gdyby ten przy pomocy magii poszukiwał śladów życia. Koryto niezbyt imponującego wskutek długiej suszy strumyka znajdowało się w zagłębieniu terenu, a jego brzegi porastały sztywne krzewy i karłowate drzewa. W porze zeszłorocznych deszczów w pewnym miejscu woda podmyła znaczny kawał brzegu na zakręcie nurtu, tworząc naturalną jaskinię, otwartą wprawdzie z obu stron, ale częściowo zamaskowaną przez krzaki. Ku niej właśnie poprowadził wyprawę Ingrge.

Można tu było rozpaść ognisko, a to znacznie osłabiło nastrój wyczekiwania i niepewności, o którym nie rozmawiano, ale który wszyscy wyraźnie czuli. Napoili konie, rozkulbaczyli i przywiązali do wbitych w ziemię palików.

Milo, Naiłe, Yevele i Wymarc nazbierali chrustu i nacięli krzewów, z których zbudowano zasieki przy ob wejściach do pieczary oraz ułożono pośłania na noc, w czym niezastąpiony okazał się Deav Dyne. Ingrge przemierzył sporą odległość wzdłuż obu brzegów strumienia, wyęzając wzrok, słuch i węch. Miejsce było dobrze wybrane, ale ostrożności, jak wiadomo, nigdy za wiele. Gulth wlażł natomiast do wody i odchylając co większe kamienie, zajął się własnym posiłkiem, co chwilę łapiąc jakieś wodne stworzenie i wkładając je do paszczy. Korzyść była dwojaka: nie dość, że jego skóra nasiąkała wodą, niezbędną jaszczurom do życia, to jeszcze oszczędzał zapasy. Milo był z tego rad, niemniej nie zamierzał sprawdzać, co też właściwie Gulth spożywa.

Rozpalili niewielkie ognisko z suchego drewna, które najmniej dymiło i wszyscy, oprócz Gultha, siedli wokół. Jaszczur wolał trzymać się z dala od ognia i ciepła. Ponieważ dopiero zmierzchało, nie wystawili jeszcze warty, która potrzebna była w nocy. Milo po raz pierwszy miał okazję spokojnie zastanowić się nad dziwną sytuacją, w jakiej się znalazł. Wyciągnął dłonie ku ognisku i zamarł pogrążony w myślach...

- Jagon! - głos był tak niespodziewany, że odruchowo sięgnął po broń.

Nie był to jednak nieprzyjaciel, lecz Deav, którego uwagę tak dalece przyciągnęły dłonie, a raczej to, co na nich się znajdowało, że aż się pochylił.

- Te pierścienie! - wyjaśnił kapłan.

Milo, skupiony dotąd na bransolecie, zapomniał zupełnie o masywnych

pierścieniach na kciukach, które najwyraźniej musiał nosić od tak dawna, że prawie stały się częścią jego osoby. Kamienie zaiste były niezwykle - jeszcze takich nie spotkał.

- Co, pierścienie?! - zdziwił się mało gramatycznie.

- Skąd je masz? - spytał niespodziewanie ostro kapłan, przepychając się obok Yevele.

Zanim Milo zdążył się ruszyć, Deav złapał go za oba nadgarstki i przysunął sobie pierścienie prawie pod nos, żeby dokładnie obejrzeć oba kamienie.

- Nie pamiętam... - wykrztusił Milo.

- Jak to, nie pamiętasz? - rozżłościł się kapłan.

- Zapomniałeś, kim jesteśmy? - Yevele także przyglądała się z ciekawością owalnym kamieniom. - Nasze pamięci nie są kompletne...

- Ty mi powiedz, co to za pierścienie! - Milo odzyskał jasność myśli. - Znasz je?

Nie próbował uwolnić rąk - pierścienie w samej rzeczy były niezwykle, a jeśli znający tajniki dawnej wiedzy kapłan mógł pomóc w wyjaśnieniu ich roli czy wartości, mogło się to jedynie przydać.

- Nie ulega wątpliwości, że są magiczne. - Dyne nawet nie podniósł głowy. - Ten zielony... Nie przypomina ci przypadkiem czegoś, nie kojarzy ci się z jakimś wydarzeniem?

Milo skupił się, lecz daremnie.

- A dlaczego miałby mi się kojarzyć? - spytał, nie chcąc się przyznać do niewiedzy.

- Bo to jest mapa! - odparł Deav spokojnie i z taką pewnością siebie, że Milo natychmiast mu uwierzył.

Słyszając to, Naile i elf także przysunęli się bliżej.

- Strasznie mała - mruknął berserker. - I mało czytelna.

Ingrge bez słowa obejrzał klejnot i wygładził kawałek ziemi przy ognisku.

- Nie ruszaj ręką! - polecił i patykiem wyrysował płataninę linii i kropek, co chwilę sprawdzając swoją kopię z oryginałem. - Gotowe! - oznajmił po chwili.

- Nigdy nic takiego nie widziałem - przyznał Naile.

- Sądząc po minach pozostałych, oni także - zauważył bard. - Sam sporo wędrowałem, ale ta mapa też mi nic nie mówi.

Patrzyli w milczeniu, a Milo uwolnił ręce z uścisku Deawa i oznajmił:

- Zdaje się, że nie rozwiążemy tej zagadki...

- To dlaczego je masz? - nie ustępował kapłan. - Uważam, że wszystko, co mieliśmy na sobie lub przy sobie było celowe i potrzebne. Istnienie i obecność tych pierścieni także musi mieć przyczynę. Jako wojownik potrzebujesz broni i paru prostych zaklęć obronnych, a to są przedmioty magiczne i to obdarzone prawdziwą Mocą...

- Jaką Mocą? - wtrąciła Yevele.

- Na pewno nie Chaosu. Ingrge i ja, a nawet bard, wyczulibyśmy ją na pewno.

- No dobrze, skoro jeden jest mapą prowadzącą donikąd, to czym jest ten drugi? - spytał Milo, korzystając z chwili ciszy.

- Pojęcia nie mam. - Dyne potrząsnął głową ze smutkiem. - Natomiast, jeśli się zgodzisz, spróbowałbym modlitwy sprawdzającej, może dowiemy się czegoś więcej. Magicznych przedmiotów nie należy lekceważyć, bowiem użyte przez nieuka mogą przynieść więcej szkody niż pożytku.

Milo zawahał się - nie miał ochoty na takie doświadczenia... Zdecydował się zdjąć pierścienie i oddać je kapłanowi na czas sprawdzenia, ale podobnie jak bransoleta tkwiły na palcach niczym wrośnięte. Dyne nie był ani trochę zaskoczony tym daremnym trudem.

- Tak też sądziłem - przyznał. - Nie pozbędziesz się ich, podobnie jak nikt z nas nie pozbędzie się uroku.

- To co mam robić? - Milo przyglądał się podejrzliwie pierścieniom.

Nie rozumiał i nie lubił magicznych przedmiotów, a jedyną rzeczą, której się bał, było bezwolne wykonywanie czyichś poleceń. Tak się mogło zdarzyć jedynie dzięki magii, a działać ona mogła przez takie właśnie przedmioty.

- Chcesz, żebym spróbował? - spytał Dyne.

- Zgoda... - odparł z ociąganiem, pewny, że świadomość zagrożenia jest zawsze lepsza od słodkiej niewiedzy.

6. Ci, którzy śledzą

Zapadł zmierzch. Gulth bez słowa wstał, poprawił pas, swój jedyny przydzwiek. Sprawdził, czy kościany miecz (stał szybko by zardzewiała) oraz długi niczym przedramię dorosłego mężczyzny sztylet łatwo wchodzi w pochwę, i oznajmił:

- Pójdę pilnować!

Naile zaczął wstawać, ale Wymarc był szybszy - stanął pomiędzy berserkerem, wyraźnie zamierzającym protestować, a Gulthem. Ten odszedł, zanim Naile się podniósł.

- Padalec! - rzucił Naile. - Nie ma prawa jechać z uczciwymi ludźmi.

Afreeta ożyła, porzucając całodzienną rolę naszyjnika, otworzyła powieki i syknęła. Naile odruchowo pogładził ją po podgardlu.

- Gulth nosi bransoletę - przypomniał Milo. - Być może myśli o nas to samo, co ty o nim. Nie jest to zbyt miłe.

- Miłe! - parsknął berserker. - Jego rasa jest skażona przez Chaos. Pół roku temu, przez takich, mój druh został rozdarty na strzępy na Bagnach Troilan. Ależ tam śmierdziało! Do śmierci będę pamiętał ten odór. I co z tego, że nosi bransoletę? Jaszczury twierdzą, że są neutralne, choć wszyscy wiedzą, że wołają Chaos od Prawa!

- Być może dlatego, że od ludzi nie zaznały zbyt serdeczności - wtrąciła Yevele. - Milo ma rację, Gulth nosi bransoletę i jest jednym z nas. Urok związał go z nami, czy chciał tego, czy nie.

- Nie podoba mi się to - mruknął Naile. - On też mi się nie podoba!

- Co wyraźnie okazujesz - roześmiał się bard. - A przecież nie dotyczy to wszystkich Jaszczurów, inaczej nie miałbyś ze sobą Afreety.

- To co innego! - zaprotestował Naile, odruchowo osłaniając potężnym łapskiem niby-smoka. - Afreeta... Nie wiesz, jak dobrze słyszy i widzi na odległość!

- Oczywiście, że jej ufasz - odezwał się Milo. - Gulthowi nie ufasz, więc wyślij ją na wartę: niech strażnik ma strażnika.

- To się nazywa zapobiegliwość! - stwierdził z uznaniem Wymarc. - Skoro skończyliśmy z problemem wzajemnego zaufania, proponuję, niech Deav weźmie się do dzieła i spróbuje dowiedzieć się, co nasz towarzysz ma w rękach. Albo raczej na rękach.

Naile niechętnie wyciągnął dłoń. Afreeta powoli weszła mu na palce,

rozwinęła skrzydła i lekko wyskoczyła w powietrze, pomykając w ślad za Gulthem.

Kapłan tymczasem przykleknął obok rysunku elfa i nie zwracając najmniejszej uwagi na ich słowa, zajął się opróżnianiem zawartości podróznego pasa. Wokół rysunku Ingrgego wypisał długą na palec różdżką szereg runów. Milo znał dwa rodzaje pisma, a widział wiele innych, ale to, co zobaczył na ziemi, było mu całkowicie obce.

- Słowo Wiedzącego przyciąga jego uwagę - wyjaśnił kapłan sucho i rzeczowo, jak zwykle mówią nauczyciele do niezbyt rozgarniętych uczniów. - Jeśli zdecyduje się on rozjaśnić naszą niewiedzę, zrobi to dobrowolnie i bez żadnej próby przymusu z mojej strony. Jedno się dotąd potwierdziło: nie jest to moc Chaosu, gdyż nie zdołałbym wokół niej napisać Słowa. Znaki zniknęłyby, zanim krąg by się zamknął. Teraz trzeba zbliżyć pierścienie do Słowa. Milo, wyciągnij dłoń! Polecenie było tak kategoryczne, że Milo spełnił je bez wahania.

Wyciągnął dłoń tak, że znalazły się w kręgu utworzonym przez napis. Czuł się nieswojo, zarazem był zaintrygowany.

Deav Dyne nie był magiem, ale było powszechnie wiadomo, że kapłani szczerze służący wybranym bogom mają Moc. Inną niż adepci magii, ale niekoniecznie mniejszą.

Przesuwając paciorki, Deav zaczął inkantację, której słowa zlewały się z sobą i Milo nie umiał ich rozróżnić. Zresztą tekst ten mógł być tak stary, że nawet recytujący nie znali jego znaczenia, wiedzieli tylko, kiedy go wypowiadać. Kapłan przesunął między palcami wszystkie paciorki, owinał różaniec wokół nadgarstka i podniósł różdżkę, którą wypisał runy. Dotknął nią pierścienia zawierającego mapę i różdżka ożyła, kręcąc się tak szybko, że omal jej nie upuścił. Cofnął rękę, nawet nie próbując ocierać zroszonego potem czoła i wygolonej tonsury, połyskujących jak po kąpieli.

Opanował się i zbliżył różdżkę do drugiego pierścienia. Tym razem jej drgania były mniej gwałtowne. Zaskoczony Milo stwierdził, że nic nie czuje, choć przygotował się na taką możliwość, najlepiej jak mógł. Najwyraźniej moc wykorzystana przez kapłana oddziaływała tylko na niego.

Deav Dyne siadł, schował różdżkę, otarł pot z czoła, po czym pierwszą z brzegu gałęzią starannie zatarł rysunek.

- I co? - zaciekał się Milo. - Co ja właściwie mam na palcach?

- Nie... wiem... - odparł z wysiłkiem kapłan, spoglądając przed siebie

szklanym wzrokiem. - Są stare... naprawdę stare... Uważaj, gdy je nosisz, gdyż nie są z Prawa... i nie są także z Chaosu...

- Prezent od ofiarodawcy bransolet? - spytał Wymarc.

- Nie. Jeśli Hystaspes mówił prawdę, a uważam, że mówił, to sprowadziła nas tu jakaś obca siła. Te pierścienie są stare, ale nie są obce. Posiadam trochę ponownie odkrytej dawnej wiedzy i wiem, że wiele jest na tej planecie tajemnic, ale nie są one obce. Na przykład, co wiemy o budowniczych Pięciu Miast? Albo o wyznawcach Skrzydlatej Fane? Zdaje się Milo, że miałeś sporo szczęścia w życiu; szkoda, że nie pamiętasz, jak wykorzystać jego owoce. Bądź jednak z nimi ostrożny.

- Wolałbym je zaraz spalić - sapnął Milo. - Tylko nie mogę ich zdjąć...

- Spójrz na oblicze naszego drogiego kapłana - roześmiał się bard. - Właśnie zbluźniłeś. Nie wiedziałeś, że najważniejszym nakazem jego reguły jest poszukiwanie i gromadzenie starej wiedzy? Takie zagadki to dla niego wyborny pokarm duchowy.

- A jaki jest twój? - Dyne najwyraźniej doszedł do siebie. - Śpiewanie rymowanek pod melodię wyszarpywaną z baranich jelit? Czy kiedyś dodałeś coś do ludzkiej wiedzy?

- Nie lekceważ nikogo, póki nie upewnisz się, co naprawdę potrafi. - Bard nie przestawał się uśmiechać. - Mam dla ciebie nową zagadkę: co widzisz w płomieniach?

Z twarzy kapłana znikło rozdrażnienie, ujął paciorki i wpatrzył się w płomienie. Ingrge także przysunął się do ognia.

- I co widzisz, elfie? - zwrócił się do niego Naile, również wpatrzony w ogień.

- Także władasz mocą; ten golony wysłannik bogów nie jest jedynym adeptem między nami.

- Nie znam się na magii ognia, to niszczyciel wszystkiego, co nam drogie. Wy możecie uciec, gdy płoną wasze domostwa, drzewa tego nie potrafią... - Elf spojrział na płomienie jak na przeciwnika mocniejszego od stali i zaklęcia.

Deav Dyne tymczasem wpatrywał się w ognisko z równym natężeniem, co przed chwilą w pierścień.

- Co? - zdziwił się Milo i urwał, spostrzegłszy nakazujący milczenie gest barda.

- Przybywają... - ledwie słyszalnie szepnął kapłan.

- Ilu? - spytał równie cicho Wymarc, już bez uśmiechu.

- Trzech... Choć widać tylko dwóch, gdyż mają ze sobą adepta, a on jest

pustką...

- Chaos? - upewnił się Wymarc.

- Mogą być z Chaosu, mogą z Prawa - w głosie kapłana pojawiło się zniecierpliwienie. - Nie dostrzegam znajomych śladów Chaosu...

- Jak daleko są? - Milo spróbował mówić równie cicho i spokojnie co bard, niepokojąc się o konie i nie bardzo ufając Gulthowi.

- Mniej więcej o dzień drogi, ale podróżują bez juczych koni...

Najpierw Milo chciał zwinąć obóz i ruszać w dalszą drogę, zastanowił się jednak: jazda po ciemku była nierozważna, tym bardziej, że przed nimi leżała następna równina, którą przy zachowaniu dobrego tempa zdołają pokonać w ciągu jednego dnia. Dalej była rzeczka płynąca na północ i kolejny dzień marszu po suchej równinie. Potem znów wypływający z gór strumień. Jadąc wzdłuż niego, dotrą do gór, nie wjeżdżając w granice Geofe, a tego właśnie chcieli. Strumień wypływał z jeziora graniczącego z Morzem Pyłów i, jak ustalili, będzie ich przewodnikiem po górach. Być może dzięki niemu uda się dotrzeć do legendarnego królestwa Lichisa.

Niepokoili te dwa całodzienne marsze po otwartej i pozbawionej wody przestrzeni...

Deav Dyne przetarł spocone czoło i odsunął się od ogniska. Pociągnął tego z bukłaka napełnionego czystą wodą ze strumienia i rozejrzał się z niezbyt radosną miną.

- Raz tylko... - mruknął ponuro.

- Co, raz tylko? - zdziwił się Milo.

- Raz tylko mógł skorzystać z tej umiejętności - wyjaśnił Wymarc. - W ciągu całej wyprawy tylko raz. Być może głupio było zmarnować tę możliwość już teraz... Nie, nie było! Czar niewidzialności już nas nie chroni, a przynajmniej wiemy, kto nas śledzi. Dzięki temu możemy poczynić pewne zabezpieczenia...

- Jest ich trzech, a nas siedmioro - zauważył Naile. - Nie widzę zmartwienia.

Wystarczy poczekać w zasadzce i po kłopotcie...

- Jeden z nich jest adeptem, a jego wiedza wystarczy, by całkowicie ukryć swą obecność - przypomniał Dyne. - Być może potrafi okryć wszystkich czarem niewidzialności...

- Ale nie może tego robić w nieskończoność - oznajmiła Yevele. - Każdy adept ma ograniczony zasób mocy. Czy on jest pełnym adeptem?

- Gdyby był, to nie jechaliby za nami, tylko teleportowali się we właściwym czasie - odparł kapłan. - Co do utrzymywania czaru, to masz rację, ale i tak umie dość,

by wyczuć jakąkolwiek zasadzkę.

- Chyba że musi użyć wszystkich umiejętności, by utrzymać czar niewidzialności - nie ustępowała.

Naile spojrzał na nią, jakby ją pierwszy raz ujrzał. Od początku zachowywał się wrogo wobec Gultha, Yevele natomiast lekcewał. Najpewniej z sobie tylko znanych powodów nie lubił Amazonek.

- Ile w tym prawdy? - spytał bezosobowo, nie chcąc zwracać się wprost do dziewczyny.

- Utrzymywanie takiego czaru wymaga stałej uwagi i osłabia każdego - przyznał kapłan.

- Skoro nasz przestał działać, jesteśmy łatwym celem tak dla ataków fizycznych, jak i magicznych - zauważył Milo. - Mamy przed sobą otwarty teren, więc jakoś musimy zatrzymać lub opóźnić pościg. Proponuję, by rankiem Ingrge odjechał z Deavem, bardem i Gulthem...

- A my we trzech poczekamy - wpadła mu w słowo Yevele. - Tu w okolicy są znakomite miejsca na zasadzkę!

Milo w ostatniej chwili ugryzł się w język; chciał zaprotestować, lecz w porę się powstrzymał. Yevele mogła być dziewczyną, ale była też dobrze wyszkoloną wojowniczką, podobnie jak on i Naile. A w tym spotkaniu rozsądniej było polegać na sztuce walki, nie zaś na innych, nie sprawdzonych talentach pozostałych członków drużyny.

- Zgoda - berserker był zadowolony. - Teraz trzeba odpocząć. Pójdę zmienić padalca, a wy uzgodnijcie, kto trzyma następną wartę...

Milo wstał, chcąc iść za nim, i stanął, widząc uniesioną dłoń elfa.

- Słowa nie muszą oznaczać czynów - powiedział spokojnie Ingrge. - Nie lubi Gultha, ale to nie znaczy, że przy pierwszej okazji będzie chciał go zabić.

Skulony przy ogniu kapłan nie zareagował, za to Wymarc przytaknął.

- Jesteśmy tak złączeni - dodał - że czasem tworzymy całość. A jeśli każdy posiada cechy i umiejętności potrzebne wszystkim, musimy...

Przerwał mu powrót wściekłego berserkera.

- Nie ma go! - ryczał Naile. - Uciekł i przyłączył się do nich!

- A Afreeta? - spytał spokojnie Milo.

Naile zamarł z wytrzeszczonymi oczyma. Dopiero po dłuższej chwili wyciągnął dłoń ku mrocznemu wylotowi jaskini i gwizdnął, a był to dźwięk przykry

dla ucha. Z mroku, niczym bełt z kuszy, wypadł niby-smok, zatrzymał się w powietrzu i opadł na czekającą dłoń berserkera. Zasyczał coś melodyjnie i Naile powoli się uspokoił.

- No i? - Wymarca dorzucił dREW do ogniska.

Odpowiedzią była druga postać, która wyłoniła się z mroków nocy. Gulth stanął w blasku płomieni mokry i bardzo zadowolony. Nawet z pyska ściekała mu woda.

- Leżał w strumieniu - wyjaśnił Naile. - Tylko oczy i nos wystawał nad powierzchnię!

- Oni potrzebują wody do życia. - Milo przypomniał sobie coś, o czym dotąd nie miał pojęcia. - Jechał cały dzień na sucho, co musiało go bardzo zmęczyć...

Mieli przed sobą jeszcze dwa dni takiej jazdy i należało pomyśleć nad ułatwieniem podróży jaszczurowi. O tym Milo powinien był pomyśleć, zanim wyruszyli.

- Można zmienić marszrutę - zaproponował elf. - Pojedziemy wzdłuż strumienia, a góry zaczynają się przy granicy Yerocunby i Faraaz. Dzięki temu unikniemy jazdy przez pustkowie.

- Yerocunby i Faraaz - powtórzył Naile. - Jak silnie obstawiają swoje granice?

Mimo wyężania pamięci nikt z obecnych nie znajdował odpowiedzi. W końcu zdecydowali się posłuchać elfa i jechać wzdłuż brzegu, jak długo się da. Naile poszedł na wartę; Milo miał go zmienić, toteż poszedł spać, a pozostali zajęli się obmyśleniem zasadzki. Pomimo zmiany trasy najważniejsze było poznanie siły i zamiarów śledzących ich, toteż zasadzka musiała być gotowa rankiem.

Milo również myślał o zasadzce; czuł coraz większe zmęczenie, a potem nie czuł już nic.

Milo obudził się potrząsany przez berserkera.

- Jak dotąd spokój - poinformował go Naile.

Milo wstał, czując, że nie dość odpoczął, ale na to nie było już rady. Naile, zanim go obudził, dołożył do ognia, toteż Milo mógł dostrzec w jego blasku pozostałych. Minał Wymarca śpiącego z głową na sakwie z harfą i wyszedł na zewnątrz. Chwilę trwało, zanim oczy przyzwyczaiły się do ciemności i słabego światła księżyca.

Nieco na północ pasły się spętane wierzchowce i kuce. Naile musiał im

zmienić pastwisko, gdyż okolica nie obfitowała w bujne trawy. Zdjął hełm, nasłuchując odgłosów nocy i pozwalając, by wiatr przewiał mu włosy. Widać było gwiazdy, ale konstelacje były zupełnie obce. Jak daleko był ten świat od ojczystego? Rozdzielała je tylko przestrzeń czy też może czas albo wymiary? Nie znalazł odpowiedzi.

Po raz pierwszy był naprawdę sam i postanowił z tego skorzystać najlepiej, jak potrafił - przypomnieć sobie, co tylko zdoła, z obu pamięci. Było to trudne, gdyż pamięci Milo i tego drugiego składały się głównie z luk, między którymi błyskały fragmenty zdarzeń czy też informacji, które potrafił rozpoznać i zrozumieć.

Nareszcie miał dość - zdecydował się nie męczyć dłużej sponiewieranej pamięci. Postanowił żyć z dnia na dzień, dopóki nie zakończą tej wyprawy, przyjmując, iż mag powiedział prawdę. Był to jedyny sposób pozostania przy zdrowych zmysłach, w przeciwnym razie rodziło się zbyt wiele pytań bez odpowiedzi i zbyt wiele wątpliwości, których nie potrafił rozwiązać. A wątpliwości oznaczały słabość, czyli coś, na co teraz z całą pewnością nie mógł sobie pozwolić.

Nie tracąc czasu, wziął się do treningu, przypominając sobie, ile zdołał, z fechtunku mieczem oraz mieczem i nożem. Po chwili zorientował się, że jeśli nie myśli, co robić, to robi to lepiej - odruchy miał tak dobrze wyćwiczone, że walczył instynktownie. Nie rozwiązało to wszystkich problemów, ale zdecydowanie poprawiło mu samopoczucie nadszarpnięte przygodą z pierścieniami.

Nawet nie zauważył, kiedy minął czas jego warty i w otworze jaskini pojawił się Wymarc, który miał go zmienić.

Gdy Milo się obudził, zaczynało już świtać. Wszyscy byli na nogach. Zjedli w pośpiechu, osiodłali konie, a Dyne zapalił zwitek gałązek i mruczając coś, starannie okadził nimi ziemię, na której wieczorem korzystał z mocy.

- Potrzeba czegoś więcej, by adept nie wyczuł użycia magii. - Wymarc wrócił z napełnionymi bukłakami i uśmiechnął się na ten widok. - Ale skoro nic więcej nie możemy zrobić...

Trójka, która miała stanowić tylną straż i urządzić zasadzkę, wybrała wierzchowce. Mówiąc ściślej, dwójka, bo Naile nie miał wyboru. Jego wierzchowiec przy tym obciążeniu nie był zdolny do wielkiej szybkości i Naile wolałby podróżować pieszo, jak zazwyczaj wędrują berserkerzy, jednak wiążący ich urok zmuszał do pośpiechu.

Wyruszyli spokojnie i wszyscy troje zaczęli rozglądać się za odpowiednim miejscem na zasadzkę.

7. Zasadzka

Jechali ponad godzinę, zanim Milo wypatrył coś, co - jak podpowiedziała mu pamięć - było doskonałym miejscem na zasadzkę. Obniżały się tu oba brzegi i rosła spora kępa przygiętych przez wiatry gęstych drzew, dająca niezłą osłonę. W tę kępę wjechało siedmiu jeźdźców, ale wyjechało tylko czterech.

Naile, Milo i Yevele przywiązali konie pośrodku kępy i nasypali im suszonej kukurydzy, by nie pasły się na wyschniętej trawie. Naile przekroczył strumień i ukrył się w porastających przeciwniegi brzeg zaroślach tak dobrze, że Milo nie potrafił go dostrzec. Oboje z Yevele wybrali swoje kryjówki i rozpoczęło się najbardziej niemiłe zajęcie dla wojownika - czekanie.

Liczebnie siły były równe, lecz mieli przeciwko sobie adepta. Może niepełnego, ale Milo nie umiał ocenić, czy magia *were*, jaką miał Naile, była dostateczna, by tamtego powstrzymać. Mogło też się zdarzyć, że tamci pojedą prosto, tak jak oni wcześniej zamierzali, i że do spotkania w ogóle nie dojdzie.

Rozmyślenia przerwał mu barwny błysk w powietrzu - Afreeta mknęła w dół strumienia. Najwyraźniej Naile miał dość czekania w niewiedzy. Berserkerzy nie słygnęli z cierpliwości, ale wysłanie niby-smoka było błędem. Wystarczyło, że adept wyczuje jego obecność, a cała zasadzka na nic. Chyba, że Naile był już w bojowym szale i prowokował przeciwnika do akcji...

Milo poczuł ciepło na nadgarstku i skupił się na zaczynających wirować kościach. Ruch zwolnił, prawie zamarł i kostka przeskoczyła o jeszcze jedno położenie. To było na pewno skutkiem jego wytężonej uwagi. Kostki znieruchomiały i Milo wstał. Wyciągnął miecz, poprawił tarczę i zaczął nasłuchiwać. Po paru sekundach usłyszał cichy stukot i plusk: ktoś jechał strumieniem i któryś koń potknął się o kamień.

Na brzegu pojawiło się dwóch jeźdźców. Mieli miecze i sztylety, u siodła jednego z nich zwisała też kusza, ale żaden nie trzymał broni w ręku - nie spodziewali się widać żadnego zagrożenia. Dwóch... W takim razie brakowało adepta! Milo miał nadzieję, że Naile nie zaatakuje, zanim nie dowiedzą się, gdzie on jest.

Jednakże zamiast berserkera zaatakowała Yevele, choć nie z mieczem w dłoni. Wstała, trzymając w rękach wieniec spleciony z trawy, uniosła go do ust i dmuchnęła weń. Powietrze przed obu zbrojnymi zagwizdało nagle i obaj zamarli wraz z końmi;

prowadzący nieco pochylony nad końskim karkiem, gdyż właśnie badał ślad. Ani człowiek, ani zwierzę nie mogli się poruszyć, zniewoleni zaklęciem w chwili, w której rozległ się ów gwizd. To samo stało się z drugim jeźdźcem, w którym Milo rozpoznał Helagreta. Jego towarzysz nosił kolczugę i kaptur z długim, opadającym na plecy pasem tkaniny, który można było przerzucić wokół szyi lub twarzy, by w razie konieczności unikać rozpoznania. Uzbrojony był w kuszę, sztylet i dorównujący krótkiemu mieczowi kordelas. Właściwie sprawiał wrażenie raczej złodzieja niż wojownika, choć Milo ani przez chwilę nie wątpił, iż potrafi posługiwać się tą bronią całkiem sprawnie.

Zaklęcie Yevele nie mogło trwać wiecznie, ale swój cel osiągnęło - unieruchomiło dwóch przeciwników i musiało zaniepokoić adepta, nie zdradzając mu liczby atakujących. Teraz należało poczekać na jego reakcję.

Najpierw dało się słyszeć Afreetę - syk niósł się po wodzie, wreszcie niby-smok wystrzelił zza zakrętu rzeki, zawisł na moment nieruchomo i pognął z powrotem. Jeśli zaklęcie przestanie działać, Yevele i Naile poradzą sobie z obydwoma jeźdźcami; toteż Milo ruszył za Afreetą, która najwyraźniej ustaliła, gdzie jest trzeci ze ścigających. Gdy wybiegł z ukrycia, dostrzegł, że oczy obu jeźdźców śledzą go z nienawiścią, ale było to wszystko, co mogli zrobić. Naile zjawiał się na drugim brzegu, młynkując toporem. Drugą ręką wskazał w dół strumienia - najwyraźniej obaj wpadli na ten sam pomysł równocześnie.

Obaj też pognali w ślad za niby-smokiem, starając się jak najmniej hałasować. Ponieważ zdawało się, że Naile nie wątpi w zdolności dziewczyny do zajęcia się obu jeńcami, Milo przestał się martwić - najważniejszy był teraz czekający gdzieś w dole strumienia adept.

Uniesiona dłoń berserkera zatrzymała go w pół kroku - *were* mieli znacznie czulsze zmysły niż ludzie, toteż nic dziwnego, że Naile pierwszy wyczuł wroga. Milo uskoczył za pień drzewa, a berserker zniknął między skałami i zapadła cisza.

Zjawieniu się jeźdźca nie towarzyszył stukot podków, choć pojawił się na kamieniach, tak jakby zdjął z siebie czar niewidzialności. Dosiadał kościstego jakby wiecznie zagłodzonego cuganta, którego głęboko wpadnięte w oczodoły ślepie pałały żółtym blaskiem, nie spotykanym u żadnego normalnego zwierzęcia. Jeździec nie trzymał w dłoni cugli, gdyż ich nie było, i zdawał się wcale nie kierować rumakiem. Nosił powszednią szatę druida, wyrudziała i z lekka postrzępioną. Głowę dokładnie zasłaniał mu kaptur, ale wokół nie unosił się charakterystyczny odór Chaosu.

Nie był także przedstawicielem Prawa, to było jasne. Koń zatrzymał się, a jeździec pozostał nieruchomy, lekko pochylony ku przodowi, jakby czegoś wypatrywał na ziemi. Dłonie ukrywał w szerokich rękawach i nie można było orzec, co trzyma. Niewątpliwie zatrzymał się z własnej woli i wyglądał na bezbronnego, co nie zmieniało faktu, że był najgroźniejszym z trzech przeciwników.

Afreeta zjawiła się niespodziewanie z boku nieruchomej postaci, podleciała bezgłośnie i chwyciła w pyszczek szpic kaptura. Nagłym zrywem ściągnęła go na plecy druida, ukazując jego opaloną i łysą jak kolano głowę. Siedzący skrzywił się wściekle, ale nie próbował sięgnąć po kaptur ani po krążącego wokół niby-smoka. Trudno było ocenić jego wiek; skórę miał pomarszczoną, a oczy zapadnięte pod krzaczastymi brwiami kontrastującymi z łysą czaszką. Nos miał płaski, jakby stoczył wiele bójek, o szerokich nozdrzach, a usta nienaturalnie małe i zaciśnięte w grymasie wściekłości.

Jego bezruch i milczenie były groźniejsze niż wściekłość i miotanie zaklęć. Milo zdwoił uwagę, zastanawiając się pośpiesznie, czym też zajęte są w tej chwili dłonie druida. Afreeta okrążyła głowę jeźdźca, sycząc wściekle i przypuściła serię ataków na nos i uszy nieruchomej postaci, która nawet nie uniosła głowy. Nie zmienił się też wyraz jego twarzy i Milo doszedł do wniosku, że takiej uwagi wymagał jedynie skomplikowany czar. Sądząc z zachowania niby-smoka, nie on jeden był tego zdania.

Spomiędzy skał wysunęła się wściekle wykrzywiona twarz Naile'a.

- Carlvols! - wychrypiał, jakby był na granicy przemiany. - Kiedy wypełniłeś z gniazda harpii, z których tak byłeś dumny? Albo jaki to pełny adept wywłócił cię z niego? Jak widzę, przez te lata, co minęły od naszego ostatniego spotkania, straciłeś nie tylko włosy.

Nie unosząc wzroku, druid wolno i delikatnie przekręcił głowę, jakby w obawie, że sobie kark skręci. Nadal bezgłośnie wpatrywał się w berserkera.

- Język też straciłeś, trzęsitorbo? - parsknął *were*. - Jak pamiętam, nigdy ci zresztą dobrze nie służył.

Korzystając z tego, że druid skupił uwagę na berserkerze, Milo skoczył. Uprzednio wolno, by nie zdradzić się hałasem, wyjął z pochwy miecz. Wiedział, że ryzykuje życiem, lecz coś pchało go naprzód, zupełnie jakby bezruch znaczył los gorszy od śmierci. Dopadł jeźdźca jednym susem, złapał za ramię i wyteżając wszystkie siły, rozłączył jego splecione na brzuchu dłonie, wyciągając jedną z nich na

światło dzienne. Druid tylko odwrócił głowę.

- Ahhhh! - charknął, próbując spojrzeć w oczy przeciwnika, czego ten starannie unikał, i błyskawicznie sięgnął drugą dłonią, przypominającą rozcapierzone szpony, ku jego twarzy.

Afreeta wpadła między nich szybciej niż myśl i zaatakowała opadającą dłoń, orząc w niej krwawy ślad. Ręka, którą Milo nadal ścisnął, szarpnęła się wściekle niczym magiczny miecz obdarzony własną wolą. Afreeta runęła ku niej i po raz pierwszy zmienił się wyraz twarzy druida i jego zachowanie: na twarzy pojawił się strach, a ręka zwiotczała, unikając ataku tak nagle, że Milo prawie stracił równowagę. Jego dłoń ześlizgnęła się po połach opuszczonego ku ziemi rękawa, a z dłoni druida wysunął się jakiś przedmiot, na którym Milo odruchowo postawił stopę. Jeśli była to broń, to nie miał zamiaru ułatwiać tamtemu zadania. - Milo! Do tyłu! - rozległ się ryk berserkera. Milo odruchowo rzucił się na plecy i przekoziółkował, czując, jak przed nim eksploduje lodowate powietrze zrodzone z tego, na co przed chwilą nadepnął. Afreeta pisnęła i rozpaczliwym zrywem dotarła do niego, prawie spadając na ziemię. Zdołała wczepić się jednak w jego tunikę, tak że pozostali razem.

Tam, gdzie znajdował się druid, przez moment była plama ciemności tak gęstej i głębokiej, że bezksiężycowa noc przy niej wcale nie była ciemna. A potem nie było już nic...

Naile przedostał się przez strumień i niby-smok poleciał ku niemu, a Milo przykleknął i uważnie badał teren. Ciekaw był, czy druid zdołał zabrać ze sobą w nicość to, co upuścił, czy też to coś nadal leżało wśród kamieni.

- Co robisz? - spytał Naile, stając nad nim.

- Upuścił tu coś. - Milo wyciągnął rękę, dostrzegłszy coś czarnego wśród szarych skał.

Na szczęście w porę przypomniał sobie o ostrożności i nie dotknął tego. Trudno było przewidzieć, jaka jeszcze magia mogła być w tym zamknięta, gdyż nie ulegało wątpliwości, że druid zamierzał użyć tego przedmiotu jako broni przeciwko nim. Wdeptał to coś głęboko w piasek i żwir zalegające między kamieniami, toteż chwilę stracił, by teraz wygrzebać znalezisko patykiem.

Była to rzeźba rozmiarów kciuka dorosłego mężczyzny, przedstawiająca stylizowaną postać stworzenia, którego nie można było nazwać demonem, ale które nieodparcie kojarzyło się z zagrożeniem. Smukłe ciało, długa szyja i podobny do wężowego łeb o szeroko otwartym pysku, zastygłe w pozie zaciekłego ataku.

- Urghaunt! - głos berserkera przycichł nieco. - A więc to chciał na nas sprowadzić ten pomiot demona!

Nagłym ciosem topora rozłupał rzeźbę. Gdy pękła, wokół zaśmierdziało tak, że Milo dostał ataku kaszlu. Topór opadł ponownie - tym razem płasko - zmieniając rzeźbę w pokruszone odrobiny zmieszane z piaskiem.

- Co to jest? - Milo wstał niepewnie, nadal czując resztki obrzydliwego smrodu.

- Jedna z zabawek Carlvolsa - Naile dla pewności obcasem mieszał resztki figurki z ziemią, aż nie sposób było ich od siebie rozróżnić.

- Znasz go...

- Byłem w drużynie maga Wogana, w wyprawie przeciwko Wieżycy Ropuch. Dawno to było, a czas ostatnio nierówno dla mnie płynie... Ten cały Carlvols nie należał do Bractwa Ropuch, nawet bał się ich, bo kłusował na ich włościach. Przyszedł kiedyś do Wogana, proponując mu swoje usługi. Wyobrażasz sobie? Pełny adept miałby skorzystać z jego pomocy, to jakby ognista osa brała do pomocy świetlika! Nie przysięgał Chaosowi, ale wszyscy wiedzieli, że zrobiłby to bez wahania, byle ratować własną skórę. Wiadomo też, o co mu chodziło; Ropuchy miały własne sekrety i w zamieszaniu chciał im część tych sekretów wykraść. Wogan wyrzucił go z obozu, więc poszedł jak zbity pies, bojąc się mierzyć z magiem tej miary... Zdobyliśmy Wieżycę, choć nie było łatwo... Wogan zniszczył wszystko, co w niej było, odbierając Chaosowi kolejną zdobycz na pomocy. Carlvols widać zdołał coś znaleźć w ruinach... To, co chciał przywołać, to potwór, czworonożna śmierć...

Milo bez słowa odwrócił się i pognął z powrotem. Jakimś trafem udało mu się pokrzyżować plany druida i chwilowo go unieszkodliwić, ale czar Yevele nie mógł długo trwać. Za plecami usłyszał kroki berserkera - Naile widać doszedł do tego samego wniosku.

Nie kryjąc się, minęli zakręt rzeki i zobaczyli obu jeźdźców nadal siedzących na koniach i opartą o głaz Yevele. W dłoni zamiast wieńca miała miecz i sądząc z jej postawy, wiedziała, że czar lada chwila ustanie. Milo podbiegł do Helagreta, szarpnięciem zwałił go na ziemię i oparł lekko ostrze miecza o krtań leżącego. Podobny głuchy łoskot z lewej świadczył, że Naile tak samo potraktował drugiego jeźdźcę. Oczy leżącego wciąż pełne były wściekłości, ale teraz zdobył się na ironiczny uśmiech. Jego wierzchowiec potrząsnął łbem, tak jak i jeździec nie mogąc wydać głosu.

- Co z tym trzecim? - Yevele podeszła, nie opuszczając miecza.

- Na razie zniknął - powiadomił ją Milo. - A teraz, dobry panie, podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym utoczyć twojej krwi.

Słyszając to, Helagret uśmiechnął się szerzej:

- Choćby dlatego, że bez powodu nie zabijesz wojownika, a ja jak dotąd nie dałem ci żadnego.

- Śledziliście nas...

- Ale nie wyrządziliśmy żadnej krzywdy. Czy czujesz ode mnie lub Knyshawa fetor Chaosu? Musieliśmy ochraniać tego, który jedzie... albo jechał za nami... ponieważ wiążący mnie urok wyczerpał się, a być może zniechęcił się ten, który go rzucił. Nie dobyłem przeciwko tobie broni, a wybrano mnie, bo znam okolice. Keyshaw ma inne talenty i zapewniam, że nie jest to magia.

- Możesz się ruszać? - Milo odstąpił o krok. - To odrzuć broń.

Helagret siadł i wykonał polecenie. Sztych miecza Yevele przez cały czas prawie go gładził po karku. Jeniec pilnowany przez berserkera zrobił to samo.

- Dlaczego nas śledziliście? - spytał Milo.

- Nie mnie pytaj. Już ci mówiłem, znam nieco te tereny i gdy odmówiłem przeprowadzenia tego łysego druida, rzucił na mnie czar podróży. Wcześniej podobnie trafił doń Keyshaw, ale to, że musieliśmy wypełniać jego rozkazy, nie znaczy, że wytłumaczył nam powody. Dla niego byliśmy narzędziami, nie towarzyszami podróży.

Było to przekonujące i prawdopodobne wytłumaczenie, któremu przeczyła nienawiść w oczach mówiącego.

- Może i tak - parsknął Naile, lekceważąc wysiłki Helagreta, by uniewinnić się w ich oczach. - Łatwo będzie można wydusić z was prawdę...

- Nie tak łatwo, jeśli naprawdę byli pod wpływem uroku - sprzeciwiła się Yevele.

- Taki wykręt zręcznie ukrywa kłamstwo - berserker spojrzął na nią uważnie spod hełmu.

- Mimo - zaczęła, gdy przerwał jej pełen przerażenia kwik stamtąd, gdzie uwiązali wierzchowce.

Konie jeńców odpowiedziały podobnym i oszalałe pognały przez wodę. Z zagajnika natychmiast zawtórowało im jeszcze bardziej przeraźliwe ni to rzenie, ni to kwik.

- Oddajcie mi miecz! - na twarzy Helagreta widać było już nie strach a przerażenie. - Na litość Bogów Prawa, oddajcie mi broń!

Naile kwiknął i nagle nastąpiła przemiana - hełm i topór opadły na ziemię, w ślad za nimi kolczuga i reszta ubrania, a na miejscu berserkera potężny odyniec rył racicami ziemię. Wielkością dorównywał roslemu koniowi, a czerwone, pałające ślepia nie miały w sobie nic ludzkiego - była w nich jedynie nienawiść i wściekłość.

Milo runął ku drzewom; wnosząc z rozlegającego się zamieszania, koniom groziło poważne niebezpieczeństwo, a bez koni w tej okolicy czekała ich śmierć. Nie zdążył jednak dopaść linii drzew, gdy spomiędzy nich wyprysnął na otwartą przestrzeń pierwszy napastnik.

Dobrze było widać, że jest to czworonożne zwierzę, czarne i długie niemal na osiem stóp. Korpus, szyja i łeb były mniej więcej równej długości. W rzeczywistości potwór, którego podobiznę zniszczył Naile, był znacznie groźniejszy. Stworzenie stanęło słupka na krótkich, zadnich łapach i gwałtownymi ruchami łba przeszukiwało powietrze, tak jak to robią węże. Gdy odyniec zaatakował, otwarło paszczę, ukazując zielonkawe zęby.

Milo poprawił tarczę, niejasno zdając sobie sprawę, że gotowa do walki Yevele dołączyła do niego. Oboje zapomnieli o jeńcach, gdy do pierwszego dołączył drugi stwór. Trudno było powiedzieć, czy bestie były inteligentne, ale bezsprzecznie były niewiarygodnie szybkie i stworzone do zabijania.

Pierwszy skoczył ku odyńcowi z szybkością zaskakującą u tak długiego zwierzęcia, lecz odyniec uskoczył w lewo i rzucił łbem ku przelatującemu obok czarnemu napastnikowi. Na łapie bestii pojawiła się krwawa szrama, a co było dalej, Milo nie zdążył zobaczyć, gdyż drugi napastnik zaatakował jego i dziewczynę.

Bestia wyskoczyła, odbijając się na krótkich, silnych, tylnych łapach i jednym susem pokonała dzielącą ich odległość i podnosząc kaskadę piasku i żwiru, natychmiast ruszyła do ataku. Milo przyjął tak silny cios łba na tarczę, że omal nie wylądował na plecach. Powietrze wypełnił dławiący smród i syk rozwścieczonego porażką napastnika.

- Harrme! - bojowy zew Amazonek zagłuszył syk i Yevele zaatakowała, mierząc w tylne łapy.

Stwór odskoczył, ale odsłonił się od strony łba i Milo trafił go końcem ostrza w szyję, raniąc tylko powierzchownie. Potwór zwinął się w miejscu: kolejny cios chybił celu, a zaraz potem rozległ się ostrzegawczy okrzyk i Milo obejrzał się. Z

zarośli po jego lewej stronie wychylił się łeb trzeciego napastnika.

- Plecami do siebie! - krzyknął i Yevele natychmiast skoczyła do niego.

Oparli się plecami, każde mając przed sobą demonicznego przeciwnika.

8. Klęska czarnej śmierci

Milo przyjął na tarczę następny atak zębatego pyska i ciął na odlew, gdy z góry spadła Afreeta, powtarzając atak, który pozbawił druida kaptura. Bestia przysiadła, obserwując atak niby-smoka. Milo wykorzystał to krótkie odwrócenie uwagi i ciął z całych sił w odsłoniętą szyję.

Przeciął ją prawie do kości, lecz potwór, nie zwracając uwagi na krwawiącą ranę, ponowił atak. Tarcza znów osłoniła wojownika, ale siła uderzenia była tak wielka, że musiał się cofnąć. Wtedy uzbrojona w pazury łapa rozorała mu prawe ramię, drąc na strzępy kolczugę i skórzany kaftan. Poczłł gorącą falę bólu i usłyszał stłumione przekleństwo Yevele, na którą wpadł plecami, lecz nie wypuścił miecza. Jeszcze raz rąbnął tarczą w atakujący łeb i pomimo bólu w ramieniu ciął od góry w wąską, spiczastą czaszkę. Stał zazgrzytała o kość, rozłupała ją i prawie przepołowila łeb zwierzęcia. Dla każdej normalnej istoty byłby to cios śmiertelny; urghaunt, choć na pół ślepy, atakował jednak dalej, choć z mniejszą szybkością.

Milo mocniej chwycił mokrą od krwi rękójść i znów uderzył napastnika tarczą w zmasakrowany łeb. Zwierzę uskoczyło, dając mu nieco wytchnienia, toteż obejrzał się zaniepokojony o los dziewczyny. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał ją stojącą nad drgającym ciałem, przyszpilonym do ziemi wbitym w szyję mieczem. Jedna z przednich łap była odcięta i z kikuta tryskała fontanna ciemnej posoki, tworząc wolno wsiąkającą w piach kałużę. Z boku doszło go zadowolone chrząknięcie, więc pospiesznie obrócił głowę: odyniec, poznaczony na boku dwiema szramami, kończył właśnie rozdzierać przeciwnika.

Yevele wyciągnęła miecz z rany, na co potwór zareagował równie wściekłym, choć znacznie słabszym atakiem i dwoma błyskawicznymi ciosami rozcięła mu czaszkę. Bydłę było wyjątkowo odporne - zdychało, lecz jeszcze żyło i nadal atakowało, tak jak jego towarzysz, który znowu skoczył na wojownika. Milo sparował atak i celnie ciął w szyję, ale nie dobił wroga. Jedyne zmasakrowany przez dzika napastnik był naprawdę martwy.

Korzystając z chwili wytchnienia, Milo rozejrzał się wokół - dzik zaspokajał pragnienie, zaś po jeńcach, ich broni i wierzchowcach nie było śladu.

- Uwważaj! - ostrzeżenie berserkera przyszło w samą porę: bestia zebrała siły do nowego ataku.

Tym razem jednak miała przeciwko sobie dwóch ludzi, ponieważ Naile wrócił

już do ludzkiej postaci, a nawet zdążył się ubrać. Zanim potwór dopadł Milo, topór berserkera spadł na jego kark i odciął łeb. Krwawe truchło znieruchomiło, Naile zaklął i złapał się za bok. Milo dopiero teraz zauważył, że ramię pali go żywym ogniem.

- Też cię drasnął? - spytał Naile. - Mogą używać trucizny, trzeba cię opatrzyć. Jeńcy uciekli, spryciarze...

- Piechotą daleko nie zajdą - mruknęła Yevele, ocierając pot z czoła. - Wrogowi tego nie życzę...

Jej przeciwnik dogorywał w kałuży ciemnobrunatnej krwi, a jej słowa uprzytomniły pozostałym, że nadal nie znają losu swych wierzchowców. Wejść pomiędzy drzewa mogło oznaczać wejście w zasadzkę, ale musieli się dowiedzieć co z końmi.

Afreeta krążyła nad wodą, posykurując z zadowoleniem. Naile uniósł dłoń, krzywiąc się przy tym z bólu i niby-smok przysiadł, spoglądając w oczy swojego pana. Choć nie rozległ się żaden dźwięk, Milo był pewien, że oboje porozumieli się ze sobą, gdyż niby-smok zerwał się i pomknął ku drzewom.

- Afreeta da nam znać, jeśli jest ich tam więcej - oznajmił Naile. - Chodźmy, żeby przypadkiem nie zostać bez koni.

Milo przełożył miecz do lewej dłoni, wytarł go o trawę i z trudem schował do pochwy. Prawą unieruchomił, wsuwając za pas, i wziął tarczę, z której ostatnie spotkanie nieomal starło herb. Każdy ruch wywoływał falę bólu w prawym ramieniu, toteż użył sposobu na odcięcie się od ogniska bólu, którego nauczył się od adeptów - psychicznej koncentracji. Sądząc z zachowania Naile'a, na Afreecie jako zwiadowcy można było całkowicie polegać. Jednak Milo choć obserwował ją w akcji, jeszcze nie do końca darzył ją zaufaniem.

Doszli do drzew, do których przywiązali wierzchowce, i sprawdziły się najgorsze obawy - wszystkie konie były martwe i tak zmasakrowane, że wywoływało to obrzydzenie nawet w tak doświadczonych wojownikach jak oni. Siodła i juki były całkowicie zniszczone i trudne do rozpoznania w tej krwawej jatce. Los, jakiego Yevele nie życzyła wrogowi, był teraz ich udziałem: bez koni, na otwartym terenie i bez wiedzy, jak daleko odjechali towarzysze.

Yevele zacisnęła usta i odwróciła się, Milo oparł się o pień drzewa, zaś Naile dokładnie obejrzał poszarpane konie.

- Zapasy przepadły - oznajmił. - Mamy szczęście, że w pobliżu jest rzeka...

Trzeba ruszać, bo niedługo zbiegną się tu ścierwojady...

Milo słyszał go jak przez mgłę: też prawda, pójdą na północ wzdłuż rzeki i będą mieć wodę. Woda - ból przypomniał o sobie ze zdwojoną siłą. Potrzebował wody.

- A co... - wychrypiał - jeśli tych stworów było więcej?

- Już byśmy je mieli na karku - odparł Naile, znowu łapiąc się za bok. -

Zawsze polują w gromadzie, a ponieważ zniszczyliśmy mu talizman przywołania, nie może ściągnąć następnych.

- A więc wracamy do rzeki. - Milo z trudem się wyprostował.

Nie dawała mu spokoju myśl, że pazury bestii mogły być zatrute. Wielekroć już bywał ranny, ale takiego bólu nie pamiętał. Przemycie ran powinno pomóc...

Dwa razy potknął się, omal nie przewracając się za drugim razem. Yevele ujęła go pod zdrowe ramię, zdjęła tarczę, którą Naile przejął, jakby nic nie ważyła i zarzuciła ramię rannego na swe barki. Milo próbował się uwolnić, ale jego protesty były tak słabe, że łatwo je pokonała. Z każdym krokiem wzrok mu się bardziej mącił i wcale nie pamiętał, jak dotarli do rzeki.

Milo ocknął się; leżał na brzegu, a Yevele wysysała mu ranę. W jego polu widzenia pojawił się półnagi Naile z krwawiącymi jeszcze śladami pazurów na boku. Przyklęknął i podał dziewczynie coś, co trzymał w złączonych dłoniach. Była to długa, wijąca się żółta pijawka, którą Yevele natychmiast przyłożyła do rany. Razem przystawiła do jego ramienia cztery pijawki, a do boku berserkera pięć. Rany Naile'a były płytsze, choć dłuższe, widocznie skóra odyńca chroniła lepiej niż kolczuga.

Milo wolał nie przyglądać się pijawkom, toteż wpatrywał się w niebo, w krążącą Afreetę, która rychło osiadła na porośniętym czarnym włosom ramieniu berserkera, sycząc coś z przejęciem.

- Szaleńcy... - mruknął Naile. - Może pan wyratuje ich, jeśli są mu jeszcze potrzebni, ale trzeba być głupcem, by udać się przez równinę bez koni i wody! Wystarczy, Yevele, bo te paskudztwa wypiją z nas całą krew. Choć przyznaję, dobrze się spisały... Widzisz?

Wskazał na leżącego i Milo nie mógł opanować ciekawości. Spojrzał na własne ramię z nadzieją, że nie zwymiotuje. Pijawki znacznie zgrubiały, a jedna już odpadła i leniwie wiła się na ziemi. Ledwie znieruchomiła, gdy obok niej; upadła następna. Pozostałe dwie nadal ssały.

- Weź podpalarkę - polecił Naile. - Rana jest czysta, a same się nie odczepią.

Yevele wyjęła z torby mały metalowy walec i przesunęła umieszczoną z boku dźwigenkę. Na końcu walca pojawił się płomyk, którym kolejno dotknęła pijawek. Obie odpadły od rany i znieruchomiały na ziemi. Naile zajął się oglądaniem swoich ran.

Niebawem trzy pijawki odpadły od rany i zdechły, a Yevele rozprawiła się z dwoma ostatnimi. Milo stwierdził, że choć jest bardzo zmęczony, nie odczuwa już bólu. Yevele przewiązała mu ranę, posypawszy ją uprzednio pokruszonymi liśćmi, które starannie wybrała na skraju zagajnika.

- Deav zna czary leczenia - pocieszyła go. - Nim minie dzień, zapomnisz, że byłeś ranny.

Milo chciał powiedzieć, że kapłan może i zna, tyle że go tu nie ma, ale ugryzł się w język. Był potwornie zmęczony, a w dodatku nie mieli koni. Trzeba by... Tego, co trzeba, już nie zapamiętał, gdyż ogarnęły go ciemności.

Obudził się, próbując przypomnieć sobie, co też mu się śniło, gdyż miał nieodparte wrażenie, że we śnie zawarta była jakaś wiadomość, która jednakże wytrwale umykała świadomości. Usłyszał rzenie i całkiem się rozbudził. Po paru chwilach ujrzał nad sobą znajomą twarz.

- Wymarca? - wykrztusił przez wysuszone gardło.

- We własnej osobie. Wypij to. - Bard uniósł mu głowę i przytknął kubek do ust.

Płyn był tak gorący, że Milo nie rozpoznawał smaku; miał jednakże wrażenie, iż przenika wszystkie zakamarki jego ciała i przywraca siły. Siadł bez pomocy i rozejrzał się przytomnie. Nad ramieniem barda dostrzegł konie przywiązane do drzew na skraju zagajnika.

- Jak... - nie zdążył dokończyć, gdy bard mu przerwał.

- Deav miał naturalne widzenie, więc przysłał mnie z końmi i eliksirem, który właśnie wypieś. Teraz zbieramy się do drogi.

Ze świeżo opatrzonym ramieniem (na co zużył prawie całą koszulę) Milo nieporadnie, lecz bez bólu, wdział kaftan i kolczugę, przy niewielkiej tylko pomocy Wymarca. Wtedy też zorientował się, że są sami.

- Yevele i Naile? - spytał, próbując otrząsnąć się z resztek wywołanego trucizną otępienia.

- Pojechali przodem. Udało się złapać wierzchowce waszych niedoszłych jeńców; nawet nie było to takie trudne, bo zaplątały się w krzaki. Powinniśmy ich dogonić, bo jechali wolno. Naile jest wytrzymalszy niż my - przyznał bard z podziwem. - Błyskawicznie odzyskał, siły. Teraz ruszamy wzdłuż rzeki, gdyż koniecznie musimy dokonać wyboru.

- Jakiego wyboru? - zdziwił się Milo, z trudem dosiadając konia.

- Na granicach Yerocunby i Faraaz stoją straże, widocznie przestało tu być spokojnie. Nie wiemy, kogo obserwują ani na kogo czekają, ale nie byłoby rozsądnie dać się przedwcześnie zauważyć. Mogą z tego wynikać kłopoty, a tego nam nie brakuje.

Milo przypomniał sobie o druidzie - magia to potężna broń, dzięki niej można w bardzo krótkim czasie ze świadka zrobić przeciwnika lub sprzymierzeńca.

- Ingrge chce, byśmy wrócili na równinę na północy. Deav zrobił dla Gultha płaszcz nasączony wodą, dzięki czemu może podróżować po suchych obszarach. Napełniliśmy wszystkie worki, a elf przepatruje okolice i zostawia znaki, za którymi mamy jechać. Twierdzi, że w górach będziemy bezpieczniejsi, ale elfy zawsze w lesie czują się bezpiecznie, a góry porośnięte są lasem - wyjaśnił Wymarc.

Przed nocą dogonili Yevele i berserkera i rozbili obóz na skraju lasu.

Dziewczyna zmieniła opatrunek na ramieniu Milo i oznajmiła:

- Rana zaczyna się zablizniać, nie ma śladu trucizny i jutro powinieneś już władać tą ręką. Rogata Pani jest dla; nas wyjątkowo łaskawa. - Siadła przy ognisku i dodała, przypatrując się bransolecie: - Ten mag miał rację: rzucając czar, myślałam o nich i przekreśliły się dalej, przez co czar utrzymał się dłużej.

- Nie możesz go ponownie użyć - przypomniał Milo.

- Prawda. A szkoda, bo to dobry czar. Nie jestem adeptką ani kapłanką Rogatej Pani i nie władam Wielką Sztuką. Nie podoba mi się też ten znikający druid... Tych dwóch, których zaczarowałam, nie miało żadnej mocy, ale druid jest gorszy niż setka zbrojnych. Naile mówi, że on nie jest sługą Chaosu, a raczej nie był, gdy się znali. Twierdzi, że tamten wybiera zawsze silniejszego i zmienia sprzymierzeńców, by być z wygranymi. Jakiego pana teraz znalazł, jeśli nie spośród Chaosu?

- Może tego, którego szukamy - odparł Milo, zawiązując kaftan, i dostrzegł, że dziewczyna przysunęła się bliżej niewielkiego ogniska, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

- Należałam do Wolnych Kompanii... - powiedziała cicho. - Potem wypełniałam ślubowanie, o którym wiesz. Nikt nie może pozbyć się strachu, ale można go okiełznać, podobnie jak konia, wędzidłem i ostrogami... Znam zwycięstwa klanu i jego porażki... Nie raz, nie dwa walczyliśmy z Chaosem i jego sługami, nawet wiedząc, że bitwy nie można wygrać i nigdy żadna Amazonka nie uciekła z pola... Ja też nie ucieknę, ale tym razem nie zawsze udaje mi się opanować strach... Jak myślisz, co znajdziemy na końcu tej jazdy na oślepie? Hystaspes mówił, że to nie sługa Chaosu. Uważał, że to coś może podporządkować sobie nawet Chaos z Czarnymi Adeptami i ich sługami. Jeśli to prawda, to jak możemy ich pokonać?

- Być może dzięki temu, że jesteśmy w jakiś sposób złączeni z tym czymś - odparł Milo. - Choć jeśli mag miał rację, możemy także być narzędziami tego czegoś.

- Jestem pod jednym urokiem, który rzucił na nas Hystaspes - potrząsnęła głową. - Wiedzielibyśmy, gdyby było inaczej!

- Wstajemy o świcie - oznajmił Naile, podchodząc do ogniska z Afreetą owiniętą wokół szyi.

Siadł ciężko, a za nim zjawił się bard z jukami zawierającymi żywność. Zanim zjedli, ciągnęli losy, by wyznaczyć kolejność wart.

Ponownie Milo spoglądał na obce, rozgwieżdżone niebo i starał się nie myśleć, by nie oszaleć. Pokonali druida, ale to wcale nie znaczyło, że następnym razem też im się uda. A kto znał moce ich głównego przeciwnika? Być może śledził ich przez cały czas i doskonale się bawił...

Wyruszyli z pierwszymi oznakami nadchodzącego świtu. Gdy dotarli do rzeki, Wymarc wskazał pochyloną skałę opartą o inną na przeciwległym brzegu.

- To pierwszy z obiecanych przez Ingrgego drogowskazów.

Dalsza jazda upłynęła w milczeniu - nikt nie miał ochoty rozmawiać, wszyscy byli zamyśleni, a urok nieustannie pchał ich przed siebie.

Drugi dzień spędzili w siodłach, popasając tyle, ile było trzeba, by nie ochwacić wierzchowców. Uważali na pozostawione przez elfa znaki. Najczęściej były to zwinięte trawy, których końce wskazywały kierunek jazdy. Za każdym razem, gdy napotkali taki drogowskaz, ktoś zsiadał, rozwiązywał supeł i prostował trawy, by nie pozostawiać aż tak wyraźnych śladów. Milo ćwiczył rękę i choć nie zdjął jeszcze opatrunków, było jasne, że wkrótce odzyska sprawność. Blizna wyglądała jak po

oparzeniu, ale mięśnie były całkiem posłuszne jego woli.

Wieczorem trzeciego dnia dotarli do nadrzecznego obozu, w którym czekali Deav i Gulth. Przygotowali szałas z gałęzi, co było miłe, gdyż po południu zaczęła padać zimna mżawka, przenikająca wszystko, ale nie było ogniska. Gulth leżał na trawie, chłonąc wilgoć, i nie powitał ich nawet mruknięciem, choć oczy miał otwarte. Kapłan siedział ze zmarszczonym czołem i z zamkniętymi oczami przy wejściu do szałas, przesuając między palcami paciorki. Szanując jego skupienie, nie przerwali ciszy.

Siedli i mieli zamiar coś zjeść, gdy Deav otworzył oczy.

- Elf pojechał przodem, ciągnie go do gór - oznajmił, nie bawiąc się w powitania. - Próbuje odnaleźć siedzibę Lichisa i będzie nam zostawiał drogowskazy, ale...

Zamilkł nagle i coś kazało Milo odwrócić się do wyjścia. Pojawił się w nim Gulth, ale nie o niego chodziło. Milo nadal niezbyt wiedział, czego szuka, ale był pewien, że wyczuwa jeszcze czyjąś obecność...

- Nie będziemy palić ognia, gdyż one się żywią światłem - dodał kapłan. Poza tym widać je tylko w świetle, więc nie ma co ułatwiać im zadania.

- Kto? - Milo rozejrzał się podejrzliwie.

- Cienie. Ale nie normalne cienie, a ja chociaż modłę się o wiedzę, nie mogę powiedzieć, czym rzeczywiście są. Bez światła ledwie można je zauważyć i są zbyt słabe, by wyrządzić nam krzywdę. Zjawiły się wczoraj po odjeździe Ingręgo i nie mam pojęcia, czym są i kto je nasłał. Teraz zbierają się wraz z mrokiem i czekają.

9. Magia harfy

Ostrzeżeni obserwowali uważnie zapadający zmierzch. Milo bez trudu zauważył plamy ciemności z całą pewnością nie przypominające drzew czy krzewów, lecz raczej jeziorka, gotowe złapać człowieka. Kiedy patrzyło się na nie wprost, były nieruchome, gdy jednak obserwowało się je kątem oka, można było dostrzec powściągany ruch.

- Są z Chaosu - wyjaśnił Dyne - ale ponieważ na razie nie są w pełni materialne, sędzę, że szpiegują. Niemniej cuchną złem.

Wstał i z przepastnej kieszeni wyjął niewielki flakonik, wyrzeźbiony w kryształach i zdobiony runami. Podeszedł do wierzchowców, na których przyjechali, i zmoczonym w zawartości flakonu wskazującym palcem nakreślił tajemne, niewidoczne znaki na ich czołach i zadach, a następnie skropił wejście do szałasów.

- Święta woda z Wielkiej Świątyni - oznajmił. - Mogą nas szpiegować, ale nie są dla nas groźne, jak długo pozostaniemy we wnętrzu chronionego przez nią kręgu.

- Masz zaufanie do swoich czarów - mruknął Naile. - Ja tam nie lubię czegoś, czego nie można sięgnąć ostrzem czy fajką.

- Cienie nic nie ważą, bo nie są materialne. Gdyby miały kształt, mógłbyś rozprawić się z nimi toporem. Teraz powiedzcie mi coś więcej o tym druidzie...

Wysłuchał ich, nie przestając przesuwając paciorków i nie patrząc na mówiących. Nie powiedział nic, gdy skończyli. Odezwał się dopiero, gdy zaczęli jeść:

- Łowca dzikich bestii z towarzyszem, najprawdopodobniej z Cechu Złodziei, i druid potrafiący przywoływać. Znasz tego druida, Naile?

- Znałem. Kręcił się wokół wyprawy maga Wogana na Wieżycę Ropuch. Wogan przegnał go z obozu, więc poszedł jak zbity pies. Od tego czasu widać nabrał trochę odwagi albo znacznie zwiększył magiczne umiejętności.

- Nigdy nie należy lekceważyć kogoś, kto potrafi wykorzystywać moc - przypomniał kapłan.

- Zniszczyliśmy jego talizman przywołania - odezwał się Milo. - Przecież czar raz rzucony powtórzy się wtedy, jeśli czerpie z innego źródła mocy, prawda?

- Tak się sędzi, ale teraz mamy do czynienia z czymś czy też z kimś obcym - odparł Dyne. - Trudno powiedzieć, jakie ma możliwości i jakie dał tym, którzy mu służą...

Tej nocy nie trzymali wart, wierząc zapewnieniu kapłana, że święta woda powstrzyma konie przed oddaleniem się i nie dopuści do śpiących nikogo ani niczego bez ostrzeżenia. Dzięki temu wszyscy się wyspali, a sen był dobrym lekarstwem.

Rankiem nie było żadnych cieni. Pojawiły się po południu, podążając ich śladem z tyłu i po bokach. Zaczynało zmierzchać, gdy dotarli do kolejnego strumienia, za którym na zachodzie widać było w oddali górskie pasmo.

- Płynąca woda. - Deav Dyne przyjrzał się nurtowi. - Teraz przekonamy się, jaka jest natura tych cieni. Na drugi brzeg...

- Więc to prawda, że część złych nie może przekroczyć płynącej wody? - przerwała Yevele. - Słyszałam o tym, ale nie wierzyłam.

- To prawda. Zobaczymy, jak postąpią nasi prześladowcy.

Ingrge oznaczył kamieniami bród, ale i tak kuce trzeba było siłą wpędzić w nurt. Woda nie sięgała końskich brzuchów, toteż jeźdźcy nawet nie zamoczyli strzemion. Mimo to konie szły przez wodę wolno i ostrożnie wybierały miejsca, gdzie stawały kopyta.

Ujchawszy kilkanaście kroków od brzegu, kapłan zawrócił i zatrzymał konia. Poszli za jego przykładem i w napięciu czekali, co zrobią ciemne plamy.

Na opuszczonym przed chwilą brzegu plamy ściekały powoli w całość jak spływająca do zagłębienia woda. Owo „coś” rozciągnęło się po piaszczystej plaży we wszystkie strony i gdy już było dość wielkie, podskoczyło, falując niczym chorągiew na wietrze, chociaż nie było żadnego wiatru. Ciemny kształt uniósł się w powietrze, wyciągając ku nim coś na kształt macki, ale nie zdołał pokonać magicznej bariery płynącego strumienia. Doszedł ich tylko znacznie silniejszy odór rozkładu, znak rozpoznawczy Chaosu, płoszący i narowiający konie, które trzeba było uspokoić. Afreeta syczała, trudno powiedzieć: zadowolona czy wściekła.

- Nie może przekroczyć wody - stwierdził z satysfakcją Dyne - a więc jest to słaby i podrzędny sługa Chaosu.

- Może i słaby - mruknął Wymarc - ale, niestety, nie jest sam.

I wskazał na północ. Milo stracił dobrą chwilę, bo jego wierzchowiec był najbardziej niespokojny, toteż dopiero po paru sekundach spojrział w kierunku wskazanym przez barda. Polatywała tam bliźniacza ciemna płachta, po ich stronie rzeki. Najwyraźniej jednak ta forma poruszania się nie bardzo jej odpowiadała, gdyż szybko opadła na ziemię i błyskawicznie rozpadła się na niewielkie plamy mroku, a

one rozpełzły się we wszystkie strony niczym rozprysnięte krople wody. Wkrótce plamy rozpoczęły zgodną wędrówkę, lecz nie ku czekającej grupie jeźdźców, a ku górą, trasą równoległą i dość oddaloną od tej, którą obrali po przekroczeniu strumienia.

Naile splunął przez ramię i popędził wierzchowca.

- Może ma słuszne powody trzymać się od nas z dala - warknął. - Zapolujemy na to?

Pytanie skierowane było do kapłana, który uważnie przyglądał się nowym ceniom.

- Jest odważniejsze... - mruknął.

- Co znaczy, odważniejsze? - zdziwił się Milo.

- To, że jeśli człowiek nie ma się na bacności przed nawet najmarniejszym sługą Chaosu, jest po trzykroć głupi - odparł Dyne. - Rusza się szybciej i mniej się kryje, być może odwaga nie jest najważniejszym słowem... Sądzę, że to tu jest silniejsze od tamtego... Ale nie jestem znawcą sług Chaosu.

- No to sprawdźmy? - zanim Dyne zdążył zaprotestować, Afreeta wystrzeliła w powietrze, zatoczyła krąg nad głową berserker'a i pomknęła ku najbliższej plamie.

Zawisła nad nią z otwartą paszczą, jakby miała zamiar zaraz nurkować. Plama zatrzymała się, po chwili dołączyły do niej jeszcze dwie i ze środka tej małej sadzawki wyrosła macka próbująca złapać niby-smoka. Afreeta była szybsza; nabrała wysokości i utrzymywała się poza zasięgiem macki. Tymczasem kolejne plamy dołączyły do pierwszej, a macka stawała się coraz dłuższa.

- Więc będzie walczyć - zauważył berserker. Kapłan obserwujący spotkanie spod zmrużonych powiek poruszył paciorkami różańca, a Milo przypomniał sobie o bransolecie, prawie pewien, że gdyby czarne plamy były dla nich groźne, bransolet'a by ożyła i ostrzegła przed atakiem. Miedziana ozdoba pozostała jednak nieruchoma.

- Odwołaj Afreetę - poleciał nagle Dyne. - To coś jest szpiegiem i wołałbym nie sprawdzać, co może wezwać na pomoc.

- Niech obserwuje, bo i tak nic na to nie poradzimy - zdecydował bard. - Pozostaje nam jak najszybciej dotrzeć do gór. Ingrge zna tam bezpieczne miejsca, a elfy mają własne sposoby obrony przed Chaosem. Stare i skuteczne.

Ruszyli więc w drogę, a plamy dotrzymywały im kroku zawsze w tej samej odległości. Powodowało to znaczne napięcie: starali się trzymać broń w pogotowiu, zaś Afreeta na przemian krążyła i przysiadła z nowinami na ramieniu berserker'a.

Wieści jednakże musiały być niezbyt ważne, gdyż Naile nic nie mówił.

Milo nadal ćwiczył zranioną rękę, dzięki czemu odzyskał już pewność chwytu, ale tępy ból w ramieniu odzywał się po paru cięciach. Bez przerwy też przeszukiwał krajobraz, gdyż należało się spodziewać, że szpiegujące ich cienie są zapowiedzią czegoś dużo groźniejszego. Kuce przestały opierać się przed dalszą drogą i zamiast wlec się z tyłu, wpychały się z cichym parsaniem między jeźdźców. Być może powodem był odór Chaosu, przy gwałtowniejszym wietrze wciąż do nich docierający. Nie trudzili się z zacieraniem znaków zostawionych przez elfa - i tak towarzyszyły im stwory Chaosu, więc nie mogli utrzymać w tajemnicy kierunku jazdy czy miejsca pobytu.

Dwukrotnie zatrzymywali się na popas. Za drugim razem trzeba było zmoczyć płaszcz Gultha wodą z bukłaków, gdyż wiatr prawie całkiem go wysuszył. Gulth jak zwykle się nie odezwał, czemu trudno się dziwić - jechał nieszczęśliwy na koniu, do którego po prostu nie był przystosowany. Jaszczury prawie wcale nie używały wierzchowców, jedynym wyjątkiem byli kurierzy z Siedmiu Bagien, korzystający z pewnej odmiany aligatorów. Gulth też ani razu nie odwrócił głowy, by przyjrzeć się czarnym plamom, zupełnie jakby zbierał siły do czegoś zupełnie innego.

Stopniowo teren się wznosił, trawa stawała się coraz niższa, a coraz częściej spotykało się krzewy i pojedyncze głązy różnej wielkości. Część z nich łudząco przypominała bezładnie rozstawione kolumny, jakby ich porządek nie podlegał ludzkiej logice. Obserwujący je Milo dostrzegł nagle, że plamy ciemności przyspieszyły, kierując się ku części kolumn, i zniknęły za nimi.

- Uwaga na głązy! - ostrzegł.

- Przyciągają cienie - mruknął kapłan. Prowadzący kawalkadę Naile (chciał być jak najdalej od zamykającego ją Gultha) nie dał znaku, że słyszy, wyrażając uwagę, by utrzymać grupę jak najdalej od każdego z niepewnych kamieni. Przy równoczesnym utrzymaniu zasadniczego kierunku jazdy nie było to łatwe. Nic więc dziwnego, że im bardziej się ściemniało, tym wolniej się poruszali. Przed nimi widać było ścianę drzew, nie skarłatych i pokręconych przez wichury, lecz prostych i strzelistych. Choć nie zauważyli żadnej plamy od chwili, gdy zginęły za kamieniami, a bransolety nie ostrzegały ciepłem ani blaskiem o niczym, nadal rozglądali się bacznie.

- Stajemy się nieuważni - Wymarc przerwał milczenie.

- Co ci przyszło... - oburzył się Milo.

- Pociągnij nosem i nie wrzeszcz - przerwał mu bard. - Chyba że tak długo wąchasz ten smród zła, że się już do niego przyzwyczaiłeś.

Milo odetchnął głęboko i przyznał mu rację. Wiatr od dłuższego czasu wiał z północy, ale zamiast wszechobecnego fetoru czuć było wyraźnie świeże, górskie powietrze i zapach lasu.

- Przygotujcie się! - Dyne zawrócił konia, stając twarzą do kierunku, z którego przyjechali.

Dotarli prawie do końca terenu, na którym stały owe dziwne kamienie, gdy Gulth pierwszy raz tego dnia krzyknął ochryple i niezrozumiale. Milo zmusił konia do zawrócenia i sięgnął po miecz. Zza kolumn wyłoniły się ciemne, niczym cień, człękoksztaltne postacie z ramionami uniesionymi jak do uścisku.

Bransoleta na przegubie ożyła i Milo gorączkowo próbował się skupić na kostkach, lecz te mroczne postacie były tak obce, że udaremniały jego wysiłek. Rozumiał też doskonale, iż to jest właśnie ów atak, do którego służy Chaosu przez cały dzień zbierali siły.

Mroczne postacie zbliżyły się tak płynnie, jak uprzednio czyniły to plamy, i Milo puścił rękojęć miecza - takiego przeciwnika pokonać mogło tylko magiczne ostrze, a i to nie na pewno. On zaś miał miecz dobry, ale całkiem zwyczajny.

Niespodziewanie rozległ się głośny dźwięk. W pierwszej chwili Milo był przekonany, że pochodzi on od cienistego przeciwnika, po czym zorientował się, że dźwięk, zamiast zwiększyć wahania, podnosi go na duchu. Obejrzał się - Wymarc wyjął z sakwy harfę i silnie uderzył w struny. Konie przestały się miotać i znieruchomiały.

Powietrze ponownie wypełnił odór zgnilizny, znacznie silniejszy niż dotąd, ale oprócz odoru dało się też odczuć przeraźliwe, przenikające do szpiku kości zimno. Wymarc uderzał w coraz wyższe tony i cienie wyraźnie zwolniły. Tony były przeraźliwe, ale nikt nie protestował, zresztą - jak doświadczył Milo, próbując zatkać dłońmi uszy - nie mógł się ruszyć. Nagle całkiem przestał słyszeć, choć palce barda bez przerwy uderzały w struny. Yevele zachwiała się w siodle, Milo czuł w skroniach pulsujący ból, mącący ostrość widzenia i wolno, ale nieustannie wypełniający cały świat.

Dopiero po dłuższej chwili Milo zrozumiał, że wstrząsające nim drgawki odpowiadają rytmowi wygrywanemu przez Wymarca. Cienie stanęły od harfisty niewiele dalej niż na odległość wyciągniętego ramienia i miecza. Dłoń coraz szybciej

uderzała w struny. Milo na moment przestał widzieć, oślepiiony falą bezgłośnego bólu, a gdy odzyskał wzrok, stwierdził ze zdumieniem, że stojące postacie zaczynają tracić ludzkie kształty, topiły się jak świece i tworzyły rozlane i bezkształtne kałuże cienia na ziemi. Nieporadnie cofnęły się ku głazom, ciągnąc za sobą ślady cienia, ale nie zdołały tam dotrzeć - szybciej zamieniły się w kałuże, które wolniej niż dotąd zlały się w jedną; próbowała z niej wyrosnąć jedna, za to monstrualna postać, na wpół ludzka, i wpół zabia. Łeb ropuchy ukształtował się najwyraźniej, ale bezustannym naporem dźwięków rozplątał się w bezkształtną masę, która drgając konwulsyjnie, jeszcze próbowała walczyć. Z kałuży to wystrzeliła macka, to zakończona pazurami łapa, lecz widać było, że magia harfy jest silniejsza, gdyż każda próba kończyła się fiaskiem. Po chwili ciemne bajoro znieruchomiło. Wymarc nieznacznie zwolnił tempo aż do całkowitego umilknięcia. Gdy bard przestał dotykać strun, wraz ze zwalnianiem rytmu ustępował ból. - Po chwili Milo mógł słyszeć i - choć z trudem - myśleć. Najpierw usłyszał głośną pochwałę berserkerów.

- Doskonała robota! Ile czasu wytrzyma ten czar? Czy też załatwiłeś to coś raz na zawsze?

- Nie czynię cudów - roześmiał się Wymarc. - Jak każdy czar i ten niezadługo zacznie słabnąć, więc proponuję czym prędzej stąd odjechać.

Schował harfę i ścisnął konia kolanami. Wierzchowce bez ponaglań zawróciły i ruszyły w górę zarośniętą, jakby od dawna nie używaną ścieżką. Obok stał kolejny drogowskaz Ingrgego, wskazujący, by szli właśnie tędy. Świeże, górskie powietrze szybko rozwiało resztki odoru zła, a gdy wspięli się na skalną grań, ku której wiodła dróżka, ujrzeli elfa i kuce, które wcześniej pognały ile sił, byle dalej od Chaosu.

- Miałeś pracowity dzień, Wymarc - powitał ich Ingrge. - Nie każdy potrafi zagrać Pieśń Herckona...

- Każdy coś umie... - odparł z pewnym wysiłkiem bard, nie uśmiechając się przy tym: najwyraźniej to, co zrobił, pozbawiło go zwykłej energii.

- Znalazłem Stare Miejsce, w którym nasza magia nadal jest silna. Nic z Chaosu ani z Prawa nie odważy się tam wejść, chyba że dobrowolnie zaproszone przez elfa. Dziś nie trzeba będzie wystawiać warty ani otaczać się zaklęciami ochronnymi...

Elf objął przewodnictwo, prowadząc kawalkadę w górę dość stromego stoku porośniętego wysokimi drzewami.

Milo nie potrafił powiedzieć, jak długo jechali, gdyż zmęczenie porwało go w objęcia i tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się, by nie zasnąć. W końcu dotarli do kamiennej ściany zbudowanej ze spasowanych, kamiennych płyt porośniętych zielonym mchem i czerwono-pomarańczowymi kwiatkami. Ich ścieżka prowadziła wprost do otworu w tej ścianie. Gdy znaleźli się wewnątrz szańca, na terenie mogącym pomieścić sporą armię, poczuli się raźniej. Teren porośnięty był soczystą trawą, a pośrodku rosło drzewo o liściach tak zielonych jak na wiosnę, a nie w początkach jesieni, i tak rozłożyste, że konary gdzieś dotykały ziemi.

Ingrge zaprowadził ich do drzewa, zatrzymał się tuż przed zwisającymi gałęziami, odsunął zasłonę z kłaczy, jak odsuwa się kotarę w drzwiach, i gestem zaprosił ich do wnętrza skrywanego przez gałęzie. Sam natomiast zajął się koźmi. Pień był tak gruby, że dwóch mężczyzn mogło się za nim ukryć, zaś z gałęzi zwisały kule przypominające owoce, lecz wydzielające łagodny, nie drażniący oczu blask. Ziemię porastał gęsty i miękki mech, a wzdłuż ściany usypano ławy z gałęzi, także porośnięte mchem, gdzie mógł wygodnie ułożyć się dorosły człowiek. Najważniejsze jednak było uczucie bezpieczeństwa i spokoju wypełniające przestrzeń otoczoną kamiennymi ścianami. Milo sypiał w wielu dziwnych miejscach, ale żadne nie było tak stworzone do wypoczynku i uspokojenia. Z każdą mijającą chwilą czuł, jak znika zmęczenie. Wszyscy musieli to czuć, gdyż po krótkim posiłku pozdejmowali broń i poukładali się na omszałych posłaniach.

- Pokazałeś nam, co potrafisz, Wymarc - odezwał się niespodziewanie elf - ale nie sądzę, że to było wszystko. Potrafisz zagrać Pieśń Odległych Skrzydeł?

Bard bezwiednie sprawdził, czy harfa w skórzanym pokrowcu jest w pobliżu, i odparł pytaniem:

- Potrafię, tylko po co?

- Od Zachodniej Przełęczy potrzebujemy przewodnika, jeśli chcemy odszukać Lichisa - wyjaśnił Ingrge. - Lichis bowiem z własnego wyboru od dawna dobrze się ukrywa przed ludźmi i przed elfami. Od wielu też lat nikt nie próbował go odnaleźć, więc trzeba się liczyć, że znając nasze zamiary, wzmocni czary ochronne, byśmy nie zdołali naruszyć jego spokoju. Możemy doń dotrzeć tylko jedną drogą, tą, którą zostawił sobie, by wiedzieć, co się dzieje na świecie, a którą znają jedynie Skrzydlaci. Jeśli jeden z nich zgodzi się pokazać ją Afreecie, to nasza wiadomość dotrze do Lichisa. Są tej samej krwi, więc być może Lichis dopuści nas przed swe oblicze, choć dawno temu przysiągł, że nie chce mieć nigdy z nami do czynienia. Aby przywołać

Skrzydlatego, potrzebna jest pieśń, o którą pytałem.

Afreeta, jakby rozumiejąc słowa elfa, skinęła dwukrotnie łebkiem i syknęła coś cicho w ucho berserkera, który po raz pierwszy od rozpoczęcia wyprawy zdjął hełm, ukazując gęste i spięte na czubku głowy włosy, służące jako dodatkowa podkładka pod stalową osłonę.

10. Państwo Lichisa

Zatrzymali się na starej przełęczy. Powietrze było tu rzadkie i zimne. Otaczające przełęcz góry otulał śnieg, a mróz zmusił jeźdźców do owinięcia ust i nosów chustami albo oddartymi z ubrań pasami. Konie rżąc z wysiłku, stały na szeroko rozstawionych nogach. Ostatni odcinek był tak stromy, że pokonali go pieszo, prowadząc wolno wierzchowce. Zaimprovizowane maski pokrywał szron, a Milo zastanawiał się od dłuższej chwili, czy Gulth przeżyje tę część podróży. Wprawdzie nie skarżył się, ale jego ruchy stawały się ociężałe; teraz siedział przytulony do sporego głazu, otulając się oszronionym płaszczem z kapturem tak nasuniętym na oczy, że ledwie czubek pyska spod niego wystawał. Ingrge położył bez słowa dłoń w rękawicze na ramieniu barda i wskazał na harfę. Najwidoczniej przybyli na miejsce i nadszedł czas na powtórzenie magii harfy. Cała bieda w tym, że przy panującym zimnie Wymarc mógł odmrozić palce. Mimo to bard skinął głową, zdjął zębami futrzaną rękawicę, a dłoń wsunął pod brodę, być może chcąc ją rozgrzać mizernym ciepłem oddechu. Drugą dłonią rozpiął torbę i położył ją na głazie, obok którego przykucnął Gulth. Milo przysunął się, własnym ciałem osłaniając barda przed ostrym wiatrem. Widząc to, pozostali, prócz elfa, dołączyli doń, próbując stworzyć żywy mur. Ingrge stał samotnie, wpatrując się w zamieć na zachodzie.

Wymarc zaczął grać, z początku zagłuszany przez zawodzący wiatr, lecz po chwili tony harfy przebiły się przezeń, a wnet prawie go zagłuszyły echem dźwięcznym jak świątynny gong. Wyraz twarzy grającego świadczył, że zetknięcie palców z metalowymi strunami nie było przyjemne, ale nie wpływało to na jakość gry, która tym razem nie wywoływała żadnych niemiłych przeżyć u słuchaczy. Echo sprawiało, że słyszało się wielu grających, tym bardziej że była to melodia, którą Wymarc powtarzał w kółko jak wezwanie. Powtórzył je czterokrotnie i wsunął zgrabiałą dłoń pod maskę z chusty, by rozgrzać palce oddechem.

- Ayyyyy! - rozbrzmiał ostry krzyk elfa, na szczęście nie wywołując lawiny.

Ingrge przyłożył dłoń do ust i powtórzył to przeraźliwe zawołanie. W odpowiedzi z szarych chmur spłynął wielki skrzydlaty kształt i zaskoczony Milo przypomniał sobie, co to takiego.

Był to gar-eagle albo Skrzydlaty, największe latającej stworzenie, jakie znał ten świat, naturalnie nie licząc smoka. Uderzenia skrzydeł podrywały tumany śniegu i nic dziwnego - miały one piętnaście stóp rozpiętości. Ptak przysiadł na skale i

przekrzywił łeb, wpatrując się w elfa. Nawet gdyby stali na równym terenie, byłby o głowę od niego wyższy. Naile chrząknął cicho z szacunkiem, co raczej rzadko się zdarzało. Śnieżnobiały ptak omiół wszystkich jednym spojrzeniem złocistopłomiennych oczu i skupił się na elfie. Ingrge uniósł obie otwarte dłonie na wysokość serca w powszechnym geście powitania, a ptak opuścił łeb, aż jego oczy znalazły się na wprost oczu elfa. Poza wyciem wiatru nie było nic słyhać, toteż musieli porozumiewać się „cichą mową”, jakiej elfy używają pomiędzy sobą oraz rozmawiając ze wszystkimi dziećmi natury mającymi pióra, łuski czy futra. Niektórzy twierdzili, że nawet i z tymi, co mają liście, ponieważ dla elfów drzewa są nauczycielami, towarzyszami i rodziną.

Gar-eagle zaskrzeczał przeciągle i Ingrge cofnął się, by nie dostać skrzydłem wzbijającego się w przestworza ptaka. Do towarzyszy wrócił, dopiero gdy Skrzydlaty zniknął w chmurach.

- Możemy ruszać - oznajmił. - Odnajdzie nas, gdy odszuka Lichisa. Tu nie możemy czekać, bo mróz nas wykończy.

Na szczęście zejście było mniej strome - i tak nie odważyli się dosiąść koni, co chwilę potykających się na oblodzonych kamieniach. Milo szedł ostatni, podejrzewając, że Gulth w jakiejś chwili może paść i nie wstać, czego nikt nie zauważy, ponieważ Jaszczur zawsze szedł lub jechał na samym końcu, w pewnym oddaleniu od reszty. Nie robił tego z przyjaźni do Gultha - po prostu był on jednym z nich, mógł się przydać i należało dać mu równe szansę.

Przypuszczenie okazało się słuszne, gdyż Gulth zwałił się w śnieg jeszcze przed końcem przełęczy i nie próbował się podnieść. Nie próbował zresztą w ogóle się ruszyć - leżał jak kłoda.

- Wymarc! - ryknął Milo.

Na wpeł skryty w śnieżycy bard odwrócił się i widząc, co się stało, wrócił jak mógł najszybciej. Razem przerzucili bezwładne ciało przez konia i ruszyli dalej. Milo prowadził wierzchowca, Wymarc szedł z tyłu, by zapobiec upadkowi nieprzytomnego Gultha.

Resztę drużyny skryła mgła, która zrzędała za przełęczą. Ustał również, nie dający im od dłuższego czasu spokoju, przenikliwy wiatr. Na szczęście w dół prowadziła tylko jedna kręta ścieżka, ale bez rozgałęzień; więc choć ślady błyskawicznie przykrywał sypiący gęsto śnieg, nie sposób było się zgubić.

Nic więc dziwnego, że gdy teren nieco się wyrównał i zeszedł poniżej pułapu chmur i mgły, Milo zważył, nie widząc nikogo przed sobą. Przed nim ciągnęła się wydeptana podszwami i kopytami ścieżka, lecz choć nie było żadnego zakrętu, nie mógł dostrzec tych, którzy niedawno tędy przeszli. Stanął jak wryty i zaraz coś go pchnęło w plecy. To wierzchowiec, nie spodziewając się przeszkody, nadal szedł za nim.

- Co się stało? - zdziwił się Wymarc.

- Zniknęli! - Milo pomyślał najpierw, że to jakiś czar, który przeoczył biegnący w wyszukiwaniu magicznych pułapek elf.

- Słucham?! - Wymarc puścił Gultha i przecisnął się obok wierzchowca.

Znajdowali się na niewielkim tarasie. Ślady prowadził przezeń do następnego, przecinały go, przebiegały jeszcze dwa kolejne i urywały się w połowie czwartego, jakby coś porwało całą kawalkadę... Milo nie zdążył podzielić się podejrzeniami, gdy ze skalnej ściany w dole wyłonił się Ingrge. Słyszając śmiech barda, wojownik omal spłonął rumieńcem. Najwyraźniej zimno odbierało nie tylko siły, ale i rozum.

- Jaskinia! - ucieszył się Wymarc. - Gulth ledwie żyje. Lepiej się pośpieszmy, bo nie będzie kogo ratować.

W połowie drogi dołączył do nich elf, co znacznie przyspieszyło drogę. Konie ufały mu bezgranicznie i przestały aż tak ostrożnie jak dotąd wyszukiwać drogę.

Wejście przypominało szczelinę, w której ledwie zmieściły się osiodłane konie, za to wnętrze było dość obszerne dla kompanii zbrojnych. Na kamiennym palenisku, poczerńiałym od ognia, płonęło ognisko, wokół którego grzali się wędrowcy. Przenieśli Gultha bliżej ognia. Widząc go, Deav pospiesznie wstał i pomógł im zdjąć zlodowaciały płaszcz z bezwładnej postaci. Trzymając w lewej dłoni paciorki, pochylił się nad nie dającym śladu życia Jaszczurem. Po chwili przy wtórce cichej recytacji zaczął prawą ręką wodzić nad leżącym, zaczynając od głowy, przez korpus ku stopom. Ingrge przyklęknął naprzeciw kapłana i powtarzał jego ruchy.

Naile siedzący z drugiej strony ogniska dorzucił dREW z leżącego pod ścianą zapasu, a Afreeta zatrzepotała skrzydłami, prawie wlatując w płomień. Niby-smok zawisł nad ogniskiem, jakby chciał wchłonąć w siebie jak najwięcej ciepła. Wymarc na zmianę dmuchał i wysuwał ku płomieniom prawą rękę, a Yevele wyjęła z juków najpożywniejszą żywność jaką mieli - roladę z pokruszonych i zbitych w jedną masę suszonych owoców i suszonego mięsa. Milo zaś pogrążył się w słodkim nieróbstwie, zadowolony, że choć przez chwilę nie przewiewa go lodowaty wiatr i śnieg nie sypie

w oczy. Był tak zmęczony, że bez zainteresowania patrzył, czy wysiłki Deava i Ingręgo przyniosą jakieś rezultaty.

Obaj byli uparci i nie poddawali się. W końcu leżący syknął z bólu. Powoli uniósł powieki i rozejrzał się, nie poruszając głową. Ingrę oparł głowę Jaszczura o swoje kolano i rozwierał jego szczęki. Dyne wyjął z kieszeni niewielki róg, ostrożnie otworzył metalową zatyczkę i wlał cztery krople do otwartego pyska Gultha. Pospiesznie zamknął naczynie, schował do kieszeni i dokładnie obejrzał leżącego.

Gulth powoli obrócił łeb, mrugnął i zamknął oczy.

- Płaszcz! - polecił kapłan, przysiadając na piętach. - Wszystkie ciepłe rzeczy, jakich nie musicie teraz używać!

Dave odprężył się, dopiero widząc Gultha przykrytego istną górą okryć, łącznie z końskimi derkami.

- Jeśli pozostanie w tym zimnie dłużej, umrze - poinformował elfa. - Jego rasa żyje w gorących bagnach i w takim klimacie nie wytrzyma długo.

- To niech wraca, skąd przybył! - warknął Naile. - Znam padalce, są bardziej zdradliwe niż piwo w nieznannej gospodzie. Lepiej byłoby dla nas, gdyby w spokoju wyzionął ducha.

- A nie zapomniałeś, że przez przypadek jest jednym z nas, bo nosi to? - spytała Yevele, wyciągając ku ognisku rękę z bransoletą. - Nie wiem, czemu nas wybrano, ale on też jest wśród nas.

- Pewnie, żeby w swoim czasie zdradzić. Obserwuję go od początku i zapewniam cię, że nie zdąży. - Naile skrzywił się, pokazując kły.

Milo zdecydował, że albo się wtrąci, albo Naile doprowadzi się do szału.

- Ona ma rację - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu berserkera.

- Mówię... - Oczy Naile'a ostrzegawczo płonęły.

- Mówię... mówię... mówię... - zanucił niespodziewanie Wymarc, przebiegając palcami po strunach harfy, jakby sprawdzał ich wytrzymałość niczym rycerz swój miecz przed bitwą.

Dźwięk zamarł po chwili, a Milo stwierdził, że opuszcza go napięcie i poczucie zagrożenia. Cofnął dłoń, widząc, że Naile również się odprężył, i wziął się do jedzenia. Było mu ciepło i spokojnie, choć wiedział, że to magiczny spokój i że nie potrwa długo.

Na zewnątrz zapadał zmrok i Ingrge zajął się dokładaniem do ognia węgla, przyniesionego z jakiejś wewnętrznej komory jaskini, do której pozostali nie mieli ochoty się zapuszczać. Ciszę przerwało trzaskanie ognia i dobiegające spod przeciwległej ściany parskanie spętanych koni. Milo proponował rozstawić warty, ale sprzeciwił się berserker - przy tylko jednym wąskim wejściu Afreeta była najlepszym strażnikiem. Mając czulsze zmysły niż pozostali, szybciej wyczuwała intruzów i ostrzegała berserkera.

Niby-smok wydziobywał ze smakiem czerwone od żaru węgle z ogniska. Milo nareszcie przekonał się, że wieści o spożywających ogień smokach nie były legendą, lecz prawdą. Naile traktował jako coś zupełnie naturalnego i ten posiłek, i to, że z pyska ulubienicy raz po raz wylatywał kłęb dymu.

Wpatrywanie się w ogień usypiało, toteż Milo wstał i postanowił sprawdzić, jaka jest pogoda. Zbliżywszy się do wyjścia, odniósł wrażenie, że minął utrzymującą ciepło barierę; na dwa kroki przed skalną ścianą było tak chłodno, że otulił się płaszczem.

Niskie chmury przesłaniały gwiazdy, a więc noc była ciemna i lepiej było wyczuwać słuch niż wzrok. Sądząc z wycia wichru między szczytami i białych płatków wwiewanych do przedsionka, na zewnątrz rozpętała się wielka burza śnieżna. Bez wątplenia jaskinia uratowała im życie; takiej sile żywiołu mogłaby się oprzeć tylko magia prawdziwego adepta, a takiego wśród nich nie było.

Wrócił, gdy wszyscy już spali, siadł więc cicho przy ognisku, a nie mogąc zasnąć, zaczął rozmyślać o osobliwości swoich towarzyszy. Każdy miał niepowtarzalne zalety i umiejętności (a pewnie i przywary). Najbardziej niepojęty był Gulth: jak wszystkie Jaszczury potrzebował do życia ciepła i wilgoci, a przecież bez sprzeciwu ruszył na pustynne równiny i jak długo mógł, wspinał się wśród śniegu i lodu, które musiały być dlań istnym piekłem. Na swoim terenie Jaszczury były godnymi szacunku wojownikami. Musiał być powód, dla którego Gulth znalazł się w drużynie, choć jak dotąd więcej przeszkadzał, niż pomagał. Drużyna... bransoleta... wspomnienia z innego świata... w końcu zasnął.

Tym razem Milo miał całkiem wyraźny sen: przed nim wznosiła się szara, kamienna ściana, a u jej podnóża rozciągał się zielonkawy kobierzec roślinności, drgający tak, jakby wszystkie rośliny chciały wyrwać korzenie i zaatakować go. Było tam coś jeszcze... Usłyszał przeraźliwy skrzek i ocknął się otumaniony. Przez sekundę

wpatrywał się w ogień i nic nie rozumiał, nadal mając przed oczami obraz ze snu. Nowy, rozdzierający okrzyk rozbudził go - dostrzegł, że elf lekko biegnie ku wejściu, Naile zaś łapie topór i wstaje z Afreeta na ramieniu. Niby-smok milczał i gorączkowo badał powietrze językiem. Milo zerwał się i z mieczem w dłoni podążył za Ingrgem.

Na zewnątrz było szaro - niebo prawie całkowicie przesłaniał majestatyczny kształt Skrzydlatego, który siedział na skalnej półce z pochylonym łbem i zaglądał do jaskini. Ptak krzyknął po raz trzeci i umilkł, widząc elfa. Ponownie spojrzeli sobie w oczy, porozumiewając się bez słów. Milo schował miecz, nie po raz pierwszy żałując, że nie ma żadnych magicznych zdolności. Tym razem rozmowa była długa; w końcu ptak odleciał, a elf wrócił do jaskini, w której wszyscy czekali, przytomni już i ciekawi wieści.

- Siedziba Lichisa leży na południu - oznajmił Ingrge. - Jeszcze nie wiadomo, czy zgodzi się nas przyjąć. Teraz w naszym imieniu musi przemówić Afreeta.

- Wie o tym. - Naile skinął głową. - Rzecz w tym, - jak daleko jest ta siedziba. Nie mamy skrzydeł jak Afreeta czy twój przyjaciel. Zresztą w taką pogodę Afreeta nie zaleci daleko: jeden silniejszy podmuch tego lodowatego wiatru zbije ją z kursu...

- Nie obawiaj się, użyje skrzydeł dopiero, gdy staniemy na granicy ziem Lichisa. Trudno mi rzec, jak to daleko, gdyż Reec nie zna ludzkich miar. Pokazał mi drogę po swojemu, czyli z powietrza. Trzeba zejść w dolinę, wejść do następnej, w której zaczyna się domena Lichisa. Góry osłaniają ją od wiatru, więc będzie tam cieplej niż tu.

Bez zwłoki zwinęli obóz, osiodłali konie i wsadzili okutanego Gultha na siodło. Jego wierzchowca prowadził Deav Dyne, a Jaszczur nadal milczał. Teraz jednak otwierał pochód, na wypadek, gdyby znów miał zemdleć z zimna.

Po parogodzinnym marszu spostrzegli roślinność, z początku karłowatą i nieliczną, potem coraz gęstsza, aż wkroczyli do lasu. Gdy zamknęły się wokół nich zielone ściany, przewodnictwo objął Ingrge, prowadząc ich zygzakowatą trasą z taką pewnością siebie, jakby szli szerokim traktem.

11. Złoty Lichis

Panująca w lesie cisza przytłaczała i niepokoiła. Milo co rusz oglądał się podejrzliwie, nie słyszał bowiem nic, a spodziewał się, że coś musi się zdarzyć. Czuł się dokładnie tak samo obserwowany jak w oberży w Greyhawk. Być może lasy te przemierzali pobratymcy Ingrgego, niesamowite wrażenie wzmagał brak ptaków i zwierząt.

Nie sposób było określić upływu czasu ani kierunku drogi, gdyż elf prowadził tak krętą trasą, że Milo sam już nie wiedział: czy nadal podążali na południe, czy też może na zachód. Pokonali dzielącą doliny grań, z której widać było jedynie mroczne, częściowo okryte mgłą góry. Po długiej jeździe znaleźli się na płaskowyżu stwardniałej lawy, pomimo upływu czasu nadal poszarpanej i nierównej. Musieli zwolnić, gdyż bez przerwy trzeba było patrzeć pod nogi. Przed nimi ukazała się wyrwa w łańcuchu górskim, którądy niegdyś spłynęła roztopiona skała.

- Pora na Afreetę - odezwał się elf, wskazując wyrwę. - Jesteśmy na granicy włości Lichisa i dalej bez zaproszenia nie pojedziemy.

- Więc trzeba je zdobyć - mruknął Naile, gładząc owiniętego wokół szyi niby-smoka.

Afreeta zerwała się, zawisała w powietrzu i pomknęła ku górom, a wszystko tak nagle, jakby zniknęła za sprawą czarów.

- Poczekamy. - Ingrge zdjął z kuca sakwę z kukurydzą i wyspał każdemu zwierzęciu po kilka garści ziarna do zawieszonych pod pyskami worków, co kuce powitały radosnym rżeniem.

Po posiłku napoili zwierzęta i napili się sami. Wodę oszczędnie wydzielał elf, i nic dziwnego, gdyż jej zapas znacznie się skurczył. Gulth pozostał w siodle skulony tak, że pyskiem dotykał piersi. Milo przypuszczał, że gdyby zsiadł, nie dałby rady wspiąć się ponownie na siodło. Naile krążył niespokojnie, wyglądając powrotu Afreety. Dla kogoś takiego jak on, łączącego naturę ludzką i zwierzęcą, oczekiwanie nigdy nie było łatwe. Deav Dyne siadł, oparł się o skały i zatopił w modlitwie; dla wychowanka świątyni współpraca ze smokiem była trudnym przedsięwzięciem. Smoki, podobnie jak demony, nie uznawały żadnych bogów, a ich pojęcie dobra i zła tak dalece odbiegało od ludzkiego, że nie sposób było przewidzieć ani ocenić ich postępowania. W dodatku; uważały ludzi za istoty niższe.

Wprawdzie złoty smok zawsze wołał Prawo, ale jego krewniacy otwarcie

współpracowali z Chaosem, a zwłaszcza z magami Chaosu. Opowieści o Lichisie zgodne były w jednym: gdy wreszcie wycofał się ze świata, stanowczo zabronił ludziom sobie przeszkadzać. Nic więc dziwnego, że mimo wsparcia Afreety trudno było liczyć na gościnne przyjęcie. - Nie podoba mi się to - powiedziała cicho Yevele, podchodząc do Milo wpatzonego w poszarpane szczyty, między którymi widać było wyjątkowo nie przesłonięte przez chmury szare niebo z krwawoczerwonym pasem na horyzoncie, oznaczającym nadchodzący zmierzch. - Ta gra jest skazana na klęskę, skoro samo nasze istnienie umożliwia temu magowi z innego świata korzystanie z magii. Choć zawsze są na świecie nowe rzeczy, tak dobre, jak i złe, których człowiek powinien się nauczyć...

Przerwał jej radosny ryk berserkerka, który znieruchomiał z wyciągniętą ku szczytom ręką. Afreeta opadła na nią dostojnie, przemaszerowała na ramię towarzysza i cichym sykiem zdała relację, poruszając łebkiem w górę i w dół prawie tak szybko jak skrzydłami.

- Możemy wejść - oznajmił Naile z błyskiem drwiny w oczach.

Ingrge bez słowa zaczął dociągać popręgi. Poszli za jego przykładem i wnet ruszyli w drogę. Zmienili szyk - tym razem jako pierwszy szedł Naile z Afreetą, na zmianę to siedzącą mu na ramieniu, to krążącą w górze, najwyraźniej zniecierpliwioną tak wolnym (naturalnie z jej punktu widzenia) poruszaniem się.

Skamieniała lawa była zdradziecka, pełna pęknięć i uskoków, toteż jedynie Gulth pozostał w siodle. Pozostali ostrożnie prowadzili wierzchowce, często klucząc i zawracając, gdyż nie sposób było ciągle iść prosto. Na domiar złego zaczął zapadać zmierzch, co dodatkowo opóźniało marsz. Resztki dziennego światła zniknęły, gdy dotarli do krawędzi wyłomu, skąd widać było siedzibę Lichisa. Zrobili krótki postój. Krater, na który spoglądali, był nieregularny i od dawna wygasły. Ogień, który wypalił tu góry, zgasł dawno temu i więcej już nie powrócił. W najgłębszym miejscu było niewielkie jezioro o brzegach porośniętych wiosennie zieloną trawą i krzewami. Gnieździły się tu ptaki, niewiele większe od Afreety, i sporo ich latało wokół jeziora. Niby-smok poderwał się do lotu, kierując się nie ku wodzie, lecz w lewo, wzdłuż brzegu krateru.

Dyne wyjął z jednej z niezliczonych kieszeni srebrną kulę, owinał wokół niej różaniec i kula rozbłysła światłem jaśniejszym niż księżycowe. Przesunął się w bok berserkerka i objął prowadzenie, oświetlając tą dziwną pochodnią ziemię, by ułatwić marsz, który i tak trudno było nazwać szybkim.

W pewnej chwili stanął, gdyż przed nim otwarła się głęboka szczelina. Położył się na brzuchu i na tyle, na ile pozwalał różaniec, opuścił srebrną latarnię poza jej krawędź. Tuż pod nią widać było ścieżkę łagodnie prowadzącą w dół, pogrążoną w mroku krateru. Ingrge przyklęknął obok i przyjrzał się ścieżce.

- To ścieżka zwierząt prowadząca do wody - oznajmił. - Jeśli puścimy konie wolno, to zejdą tam, a mając trawę i wodę, nie odejdą od jeziora. Naile, to, czego szukamy, jest na tym poziomie, nie w dole?

- Nie w dole - przyznał berserker.

Przy panujących ciemnościach nawet magiczna lampa kapłana nie mogła zapobiec wypadkom, a złamanie nogi czy zerwanie ścięgna pozbawiłoby ich wierzchowca. Deav Dyne znał się na magii uzdrawiającej, ale nie czynił cudów, więc poszli za radą elfa. Rozkulbaczyli konie i kuce i ostrożnie sprowadzili je na ścieżkę. Dalej zwierzęta ruszyły same, czując wodę i świeżą trawę. Bagaże i siodła złożyli między skalami, pewni, że nikt ich w tej okolicy nie ruszy, i ostrożnie poszli dalej. Po całym dniu w siodle Gulth doszedł nieco do siebie, toteż zdołał dotrzymać im kroku. Nie przeszkodziło to bardowi trzymać się blisko niego, na wypadek, gdyby pomocna dłoń była Jaszczurowi niezbędna. Chociaż nie musieli już szukać - drogi dla koni, wciąż posuwali się wolno. W końcu dotarli do wąskiej dróżki biegnącej w dół po zboczu krateru. Prowadziła ona na niewielką skalną półkę, za którą położona była jaskinia. Jakby zjawienie się kapłana przed jej szerokim wejściem było sygnałem, jaskinię i półkę zalał czerwony blask, w którym całkowicie zniknęło światło srebrnej kuli. Blask pochodził z jaskini, a wraz z nim pojawił się głos przemawiający wprost do ich zmysłów z siłą graniczącą z bólem.

- Elfie, ludzie, *were*, mały kuzynie i ty wodny krewniaku, wejdźcie, skoro odważyliście się zakłócić mój spokój.

Weszli więc, a Milo był pewien, że zrobiliby to nawet wbrew własnej woli, taka potęga kryła się w głosie smoka. W otaczającym ich czerwonym blasku mogli dobrze widzieć drogę, ale nic więcej, gdyż światło dzienne tworzyło po bokach zasłonę. Milo opuścił nieco tarczę - smoki były legendą od wieków i zawsze napełniały go podziwem.

Gdy stanęli na posadzce wyłożonej klejnotami o wszelkich odcieniach czerwieni, żółci i bieli, czerwony blask skłębił się nagle i uniósł niczym kurtyna. Naprzeciwko nich na skalnej półce, skąd spływała na posadzkę kaskada złota i wielobarwnych klejnotów, tworząc legowisko, spoczywał władca jaskini i okolic -

Złoty Lichis, jedyny znany złoty smok. Ciało miał w barwie złota, na którym spoczywał, i - ten sam kształt co Afreeta, tyle że nieporównywalnie większy. Przy nim ludzie czuli się mniejsi od krasnali; dość powiedzieć, że jedna jego łuska była większa niż dłoń berserkera. Łuski te nieustannie mieniły się w świetle, a każde ruszenie smoka wywoływało tęczę niczym w niespokojnej toni jeziora. Skrzydła miał złożone, a łeb trzymał wysoko wsparty na zaciśniętej przedniej łapie łokciem dotykającej brzegu wypełnionego złotem i klejnotami z legowiska. Oczy były współprzymknięte i wedle ludzkiej miary pozbawione wyrazu.

- Jestem Lichis - przedstawił się, nie otwierając pyska. - Dlaczego przybyliście zakłócać mi spokój, który wybrałem?

Lekki ruch potężnego ogona wywołał niewielką lawinę, która z brzękiem znieruchomiła na posadzce. Smok przyjrzał się stojącej przed nim grupie i ku swemu zdumieniu Milo stwierdził, że właśnie od niego oczekuje odpowiedzi. Nie potrafił wytłumaczyć, skąd to wiedział, ale był pewien, że tak właśnie jest.

- Nałożono na nas czar - powiedział, bo samo myślenie wydawało mu się niedostateczne. - Szukamy...

I zamilkł, czując, jak coś wnika do jego umysłu, szukając i przebierając w tym, co tam znalazło. Daremnie próbował się bronić przed takim badaniem. Nie wiedział też, że upuścił tarczę i oburącz złapał się za skronie.

- Yha... - To coś wycofało się z jego mózgu równie nagle, jak wtargnęło, a Lichis otworzył szeroko oczy, ukazując wąskie źrenice.

Machnął łapą, na której jeszcze przed chwilą opierał pysk, i otaczające ich skały drgnęły. Milo wyczuł olbrzymią moc przywołaną przez smoka, ale skierowaną nie przeciwko nim, ale gdzieś, gdzie kończył się rozum śmiertelników pozbawionych talentu.

Spod sufitu spłynęła wirująca szkarłatna kula. Milo spróbował odwrócić wzrok, gdyż zaczęło mu się kręcić w głowie, ale kula przykuwała hipnotycznie uwagę. Zgęstniała, znieruchomiła i zmieniła się w płaskie koło unoszące się na wysokości ramienia. Powoli ukształtowały się na nim zarysy terenu, a kolor zmienił się na szarość skał i żółć pustyni z nimi sąsiadującej.

- Morze Pyłu - szepnął Ingrge.

Lichis zlekceważył elfa. Pochylając łeb, wpatrywał się z natężeniem w miniaturowy krajobraz, który stawał się coraz bardziej odległy, jakby oglądany z coraz większej wysokości. Góry odsunęły się na prawy skraj, a trzy czwarte

powierzchni obejmowała brudnożółta pustnia. Na jej lewym obrzeżu pojawił się nagle nieregularny, czarny kleks, jaki trafia się niewprawnemu skrybie. Lichis opuścił łeb jeszcze niżej, prawie dotykając pyskiem kleksa, i wciągnął głęboko powietrze.

- Wyciągnij prawą rękę, człowieku - w głowie Milo odezwało się ciche polecenie.

Spełnił je i trzymał dłoń nad krajobrazem. Kamień na kciuku rozjarzył się, a czerwone linie i punkty drgnęły, jakby obdarzone własnym życiem.

- Nosisz własnego przewodnika - oznajmił smok. - Trzymaj dłoń swobodnie!

Rozkaz był tak silny, że Milo posłuchał natychmiast i jego dłoń spoczęła na niewidzialnej, ale silnej podporze, dotykając magicznej mapy. Po chwili już bez jego udziału powoli przesunęła się z prawa na lewo ku czarnemu kleksowi. Postąpił krok naprzód, poddając się nie wypowiedzianemu poleceniu, potem drugi i stwierdził, że palec wskazujący przyłgął wyprostowany do kciuka, tak że nie mógł ich rozewrzeć. I że wskazywał dokładnie na ciemny kleks.

- Oto wasz cel. - Lichis cofnął się, przyjmując pozycję, w jakiej go zastali. Dysk zawirował, w mgnieniu oka stając się rzedającym obłoczkiem mgły, z której powstał.

- Morze Pyłu - powtórzył Ingrge. - Żaden człowiek ani elf, nigdy stamtąd nie powrócili...

- Wiecie, gdzie leży to, czego szukacie - głos Lichisa był obojętny. - Co z tą wiedzą zrobicie, to wasza rzecz.

Milo, ośmielony, że Lichis od niego domagał się odpowiedzi, zaryzykował:

- Jak daleko mamy iść, Panie Smoków?!

Lichis poruszył się, nieco poirytowany bezczelnością, ale odpowiedział:

- Ludzie i inni chodzący na dwóch lub czterech nogach mają własne miary odległości. Wasza droga trwać będzie, póki starczy wam sił. Widziałem w waszych umysłach, co chce osiągnąć ten niedouczony mag, i przyznaję, że na miarę swojej wiedzy obmyślał rzecz logicznie. Ale jego wiedza jest niepełna i ograniczona... Jedno jest pewne: to, czego szukacie, leży w sercu Morza Pyłu i jest obce. Tak obce, że nawet ja nie mogę poznać, co w sobie kryje, choć inni z mojej krwi wielokrotnie podróżowali między światami, tak we śnie, jak i na jawie... Dawno to było, gdy rozpierała ich głupota i niecierpliwość młodości... Jeśli udacie się na Morze Pyłu, uważajcie, prócz innych niebezpieczeństw są tam moi młodszy bracia i siostry, jak Rockna, która zawsze lubiła tam polować.

- Bezczelny Smok! - krzyknął Naile przy wtórze pełnego złości syku Afreety.

W głosie Lichisa zabrzmiało coś, co można było porównać do rozbawienia.

- Nadal przysparza kłopotów? Wiele lat minęło, odkąd bawiła się z ludźmi, odpowiadając, gdy miała ochotę, na wezwania magów Chaosu. Nie sądziłem, że jeszcze żyje ktoś, kto odważyłby się tak ją nazwać. Niegdyś Morze Pyłu należało do niej... Teraz mam dość waszego towarzystwa. Nic w was się nie zmieniło i nudzicie mnie jak wszy. Ponieważ odpowiedziałem na wasze pytania, życzę wam dobrej drogi.

Lichis umościł się wygodniej w złotym legowisku i Milo stwierdził, że bez udziału woli stoi już twarzą do wyjścia, podobnie jak i pozostali, a w dół opadają zasłony czerwonej mgły. Ruszyli posłusznie w coraz mniejszym blasku, a gdy znaleźli się na półce przed jaskinią, za plecami mieli już gęstą ciemność.

Odszukali złożone pomiędzy skałami bagaże i wolno zeszli do jeziora. Krater był osłonięty od wiatru przez okoliczne szczyty, toteż było w nim cieplej niż gdziekolwiek dotąd od opuszczenia Greyhawk. Ognisko po raz pierwszy rozpalili nie z potrzeby ciepła czy bezpieczeństwa. Posiadłość Lichisa wolna była od zagrożenia Chaosu. Bowiem ktoś, kto pokonał magię zła, na zawsze był od niej bezpieczny. Ognisko miało być znakiem ich świata w tym dziwnym otoczeniu.

- Morze Pyłu. - Naile otarł brodę z resztek posiłku i siadł oparty o skałę z wyciągniętymi nogami, na których przycupnęła Afreeta. - Wiele o nim słyszałem, ale zawsze z trzeciej, czwartej ręki. Czy ktoś z nas ma lepsze informacje?

- Widziałem je - odparł Ingrge, dorzucając trawy do ogniska.

- Dobra. - Naile nie ustępował. - Jaki to teren?

- Zgodny ze swoją nazwą. Normalnie morza pełne są wody, która nigdy nie pozostaje w spokoju. Targana falami, pływami i sztormami podmywa ląd albo tworzy wyspy. To morze pełne jest drobnutkiemu piasku przypominającego pył i choć nie ma na nim fal, to skutecznie zastępuje je wiatr, spowijając podróżnych w pyłowe chmury, aż tracą poczucie kierunku. Człowiek tonie w nim jak nie umiejący pływać w wodzie. Nikt nie wie, jak jest głębokie. Żyła niegdyś rasa, która pływała po nim na statkach o płaskich dnach i szerokich płozach wysuniętych z obu burt. Wiecznie wiejący wiatr napinał żagle okrętów. Jak wieść niesie, ich wraki, po silnym sztormie wyłaniają się czasem na powierzchnię. Nikt nie wie, co stało się z tą rasą, ale wszyscy wiedzą, że zapuścić się na Morze Pyłu to śmierć...

- Mówisz, że statki miały płozy, by móc utrzymać się na powierzchni - odezwał się po chwili ciszy Naile. - Mówisz też, że człowiek tonie w nim jak w

morzu. A gdyby tak spróbować rakiet śnieżnych, by rozłożyć nasz ciężar na większą powierzchnię? W sypkim śniegu są skuteczne.

- Właśnie, co o tym myślisz? - podchwycił Milo.

- Możemy spróbować - elf nie był przekonany. - Nie słyszałem o takim sposobie i nie wiem, jak bez pomocy magii moglibyśmy przejść tę okolicę. I jeszcze coś: nie możemy zabrać ze sobą koni, a więc wody i żywności można wziąć tyle, ile sami udźwigniemy...

Milo nic nie odpowiedział. Lichis nie podał żadnej odległości od skraju pustyni do celu. Wszystko, co im pozostało, to spróbować, ale nadchodzi taki moment, kiedy siły człowieka opuszczają i przychodzi porażka.

12. Morze Pyłu

Na obóz wybrali miejsce ocienione przez karłowate drzewa. Po całym dniu marszu wszystkich bolały nogi i nie przyzwyczajone do dźwigania ciężarów ramiona. Wreszcie mogli przyjrzeć się temu, co musieli przebyć: rozciągającej się po horyzont odwiecznej pułapce, jednostajnej powierzchni piaszczystego pyłu. Zamiast fal na jego powierzchni były wydmy, z których przy najlżejszym podmuchu unosił się kurz. W oddali widać było wirujące kolumny szybko powstających i równie szybko ginących miniaturowych trąb powietrznych.

Patrząc na to pustkowie, Milo miał ochotę zawrócić. Można walczyć z silniejszym i lepiej uzbrojonym przeciwnikiem, można próbować przezwyciężyć magię i potwory zrodzone w obcej wyobraźni, ale walka z wrogiem człowiekowi żywiołem to coś zupełnie innego. Zresztą i tak nic nie mógł zrobić - czar wszystkich pchał dalej i skazani byli na tę nie wiadomo jak długą wędrówkę w nieznane, gdzie nawet nie istniały drogi.

Następny ranek zaczęli od sporządzenia rakiet. Ingrge wybierał do tego najlepsze drewno, choć sam siebie za to nienawidził. Niszczenie nawet tak pokracznych i skazanych na zagładę drzew jak te jest wbrew naturze elfa. Wybrali najlepsze z kawałków, namoczyli w mętym od naniesionego pyłu jeziorcu, po czym Naile przygiął je i przytrzymał, podczas gdy pozostali związali je i zajęli się wykonaniem rzemiennych siatek i mocowań dla nóg. Na ten cel berserker poświęcił większość swego płaszcza, zbędnego w tym klimacie. Rakiety wzmocniono, wplatając kamienie w rzemienną siatkę, i środek lokomocji był gotów.

Milo starannie przymocował rakiety do butów i szeroko stawiając nogi, wszedł na Morze Pyłu - powierzchnia ustąpiła nieco, trochę piasku przesypało się przez krawędzie rakiet, ale choć Milo zataczał się niezgrabnie, nie tonął. To był dobry sposób pokonania zdradliwej powierzchni.

Pozostawili pod drzewami wszystko prócz broni, racji żywności i zapasów wody: na każdego przypadł worek. Napełnili je, filtrując mętny płyn przez tkaninę dostarczoną przez Yevele, a następnie Gulth wlaź do sadzawki, zanurzając się, jak mógł najgłębiej. Zabrał ze sobą płaszczy, by najstaranniej go zmoczyć. On jeden nie potrzebował rakiet, gdyż do poruszania się po powierzchni mającej wszystkie niemal właściwości rodzimego bagna wystarczały jego płetwiaste stopy.

Rankiem kolejnego dnia niebo było zachmurzone, co pierwszy raz od początku wyprawy przyjęli z wdzięcznością. Niestety po paru godzinach wypogodziło się i z błękitnego nieba zaczęło prażyć słońce, wywołując refleksy na czarno-brunatnej powierzchni. Podobnie jak Gulth narzucili na ramiona okrycia z kapturami, by uniknąć porażenia. Poruszali się wolno i niezgrabnie, starając się przede wszystkim utrzymać równowagę w tym dziwnym obuwiu.

Gulth błyskawicznie zmienił się w ruchomy słup kurzu, który dokładnie oblepił jego mokry płaszcz, ale szedł najpewniej, dlatego że na własnych stopach. Prowadził Milo, trzymając przed sobą wyciągniętą dłoń tak, by cały czas widzieć pierścień. Choć linie i punkty widoczne w kamieniu nadal nic mu nie mówiły, po raz pierwszy w klejnocie pojawił się świetlisty punkt. W miarę jak posuwali się do przodu, punkt ten przesuwał się wolno po powierzchni owalnego kamienia. Ponieważ pojawił się blisko jednej z czerwonych linii, Milo zmienił nieco kierunek, oddalając się od niej. Błyskawicznie bladło jaskrawe światło punktu. Gdy wrócił na pierwotny kurs, punkt pojaśniał i po chwili usadowił się dokładnie na linii.

Wnioskując logicznie, pierścień zawierał mapę szlaków prowadzących przez Morze Pyłu. Być może należał do rasy, która tędy podróżowała i zaznaczone na nim były szlaki ich piaskowych okrętów. Milo posuwał się trasą zaznaczoną na klejnocie, mimo że zmiany kierunku czy zakręty były dlań całkowicie niezrozumiałe.

Przy piątym skrócie Naile zażądał wyjaśnień, mając dość, jak to określił, „łazenia w kółko jak otepiałe bydło”. Milo pokazał mu pierścień z mapą i berserker zamilkł. Elf i kapłan w milczeniu skinęli głowami, zaś Ingrge dodał, że wybrana przez Milo linia rzeczywiście prowadzi tam, gdzie na mapie Lichisa był czarny kleks.

Monotonia i stała uwaga były bardzo wyczerpujące, gdyż samo stawianie nóg wymagało od mięśni pracy, której normalnie nie wykonują. Im bardziej prażyło słońce, tym częściej Milo zarządzał przerwy i pilnował, by nikt nie pił więcej niż łyk czy dwa. Nawet Gulth. Wszystkich nurtowało pytanie, jak daleko muszą zejść i czy po drodze trafią na jakiegokolwiek źródła wody. Milo był przekonany, że jedno jest pewne: ich przeciwnik miał tu swoją siedzibę, a nic nie mogło żyć bez wody. Nawet jeśli nie pochodziło z tego świata.

Dłuższy odpoczynek zarządził w południe, gdyż Gulth - choć się nie skarżył - zaczął zostawać w tyle. Słońce wysuszyło już do cna jego płaszcz i musiało osuszać już skórę. Jeśli jednak oddadzą mu część zapasów wody, może to oznaczać śmierć dla

wszystkich. Dwie wyższe od innych wydmy dawały względną osłonę przed pyłem wciskającym się w usta, nosy i oczy. Milo i Wymarc rozpięli między nimi dach z płaszczy, mocując brzegi piaskiem. Dawał on trochę cienia, a człowiek leżący na powierzchni pyłu nie tonął. Na wszelki wypadek podłożyli pod plecy rakiety i znieruchomieli, wdzięczni za chwilę wytchnienia. Milo ponownie doszedł do słusznego wniosku, że popełnili głupstwo, idąc za dnia - mieli przewodnika widocznego nawet w mroku, więc gdyby wyruszyli wieczorem, nie musieliby trapić się upałem. Z tą mało przyjemną myślą zasnął.

Obudził go Deav Dyne z twarzą pokrytą szarym pyłem.

- Gulth umrze - oznajmił bez wstępów, wskazując na leżącą w pewnym oddaleniu postać.

Obok niego klęczała niezbyt wyraźnie widoczna w mroku Yevele. Milo domyślił się, że wyciera ona leżącego mokrą ścierką, naturalnie wcześniej rozchyliwszy otulający go płaszcz. Zamiast protestować, że marnuje wodę, Milo zbliżył się ostrożnie. Gulth miał zamknięte oczy, a z na w pół otwartego pyska zwisał brunatny język. Dziewczyna wlała mu do pyska trochę wody i spojrzała na nowo przybyłego.

- Niewiele to pomoże - powiedziała chrapliwie. - On umiera...

- Więc umrze. - Naile siadł, nie odwracając nawet w ich stronę głowy. - Świat będzie miłszy bez jednego padalca.

- Nikt się nie spodziewa, żeby dzik myślał! - warknęła Yevele. - Jednak pomyśl: siedmioro nosi takie same bransolety. Nigdy nie zastanowiło cię dlaczego? Nie przyszło ci na myśl, że losy nas wszystkich są związane? Że wszyscy mogą zależeć od jednego? Nie wiem, jaka magia zmusiła nas do tej przygody, ale wolę przed jej końcem nie tracić nikogo i to dlatego, że pamiętam zasady gry: razem jesteśmy wielokrotnie silniejsi niż każdy z osobna. Nie wydaje ci się Naile, że tworzymy dziwną grupę? Jest elf, a elfy to doskonali wojownicy, nikt temu nie zaprzeczy. Mają też inne zalety, których nie ma żaden człowiek. Jest bard, a jego główną bronią nie jest miecz, który nosi, lecz moc, jaką potrafi przywołać muzyką. Kto z nas też to potrafi? Deav Dyne, kapłan, uzdrowiciel i biegły w wiedzy, która nie odpowie na niczyje inne wezwanie. Sam wiesz, co potrafią berserkerzy *were* i jakie są z nimi kłopoty. Ja jestem, kim jestem. Mam parę zaklęć, ale szkolono mnie do walki, nie do nauki. Mimo to być może mam coś, czego nie ma nikt z was, zwłaszcza dlatego, że jestem kobietą. Milo to wojownik biegły w sztuce miecza, co oznacza duże

doświadczenie, ale jak dotąd najważniejszy okazał się jego pierścień, bez którego nie znalibyśmy drogi na tym pustkowiu. Jak więc widzisz, każdy z nas ma coś specjalnego, co przydaje się innym. Gulth także musi coś takiego mieć, gdyż inaczej jego obecność w grupie byłaby bez sensu.

- Na przykład co? - parsknął Naile. - Jak dotąd, trzeba się nim opiekować jak szczeniakiem. Teraz, jak zlejemy go całym zapasem wody, zdoła przejść noc i część dnia. I co dalej? On niewiele skorzysta, a my wszyscy stracimy. Powiem ci coś: takie postępowanie to głupota nowicjusza, który nie przekonał się, że waga tarczy bywa...

- Mimo wszystko ona ma rację! - Milo stanął naprzeciw berserkera świadom, że za chwilę może stać się celem jego ataku. To, co powiedziała Yevele, miało sens, a to, że Gulth dotąd się na nic nie przydał, nie oznaczało, że będzie zbędny w przyszłości. Jeszcze nie zakończyli wyprawy, a każdy, kto nosił bransoletę, był w niej niezbędny.

Przez chwilę Milo był pewien, że Naile nie zdoła opanować wściekłości, co oznaczało śmierć: żaden człowiek w pojedynkę nie mógł sprostać berserkerowi *were*. Nagle rozległa się seria dźwięków, zupełnie jakby zaśpiewał ptak. Dostrzegł, że Naile odprężyła się, i sam puścił rękojeść miecza. Dopiero wtedy pojął, że to nie ptak - Wymarc uśmiechał się lekko, gładząc struny harfy.

- Uważaj grajku, bo się kiedyś sparzysz na tej zaczarowanej grze - warknął Naile już bez złości.

- Moja magia i moje zmartwienie - odciął się Wymarc. - Może nie jesteśmy zgranym zespołem, ale Yevele ma słuszość. Czy na to zasługujemy, czy nie, nasze losy są ze sobą związane. Mam też pewną propozycję: jeśli Afreeta ma wszystkie cechy swego gatunku, to potrafi z dużej odległości wyczuć wodę i pożywienie. Wypuść ją na poszukiwania. A naszemu Jaszczurowi oddaję swoją rację wody: nie raz podróżowałem po okolicy, gdzie studnie były rzadkością.

- Ja też. - Deav Dyne uniósł lekko głowę.

Ingrge bez słowa podał Yevele swój bukłak. Naile przyglądał się temu w milczeniu. W końcu oznajmił:

- Padalce zabiły Karla. Gdy chowałem go pod honorowymi głazami, przysiągłem, że zemszczę się za jego krew. Było to trzy sezony temu, daleko stąd, ale nie będę gorszy w tym zbiorowym szaleństwie... Wątpię, żeby Afreeta znalazła tu cokolwiek, jednak nie będę mówił za nią.

Niby-smok właśnie wypełził na jego ramię. Gdy Naile zamilkł, poderwał się do

lotu i zniknął w mrokach nocy.

Dyne, Yevele i Milo zajęli się Gulthem i to tak skutecznie, że ten niebawem otworzył oczy. Płaszcz nie mogli zmoczyć, bo na to naprawdę poszedłby cały zapas wody, ale w nocy wilgotna skóra nie parowała tak szybko, a obmyli go starannie. Zwinęli płaszcze użyte do osłony i Milo przyjrzał się pierścieniowi - kamień świecił w mroku niezbyt mocno, lecz wystarczająco, by można go było nadal używać jako mapy.

Dyne wziął Gultha pod ramię, a Naile bez słowa dźwignął pakunki obu. Na niebie świeciły gwiazdy, więc choć noc była bezksiężycowa, drogę widzieli wyraźnie, tym bardziej że powierzchnia piasków lekko fosforyzowała. Dodatkową zaletą nocnej podróży był brak wiatru, a co za tym idzie, nieobecność wszędochy i dokuczliwego pyłu. Dzięki temu oddychało się łatwiej i wyraźnie poprawiła się widoczność.

Afreeta wróciła, gdy Milo zarządził drugi postój. Wylądowała na ramieniu berserkerka i syczała coś zawzięcie, przytulając pysk do jego hełmu.

- Coś znalazła - oznajmił Naile. - Musimy skręcić w prawo...

Teraz on prowadził, kierując się wskazówkami niby-smoka. Bez słowa ruszyli za nim. Pokonali miniaturowe góry usypane z piachu i wyszli na szeroką, płaską przestrzeń, z której wystawały dwie wysokie kolumny. Afreeta ponownie poderwała się do lotu, dotarła do najbliższej i wczepiła się w nią pazurami, wskazując głową w dół i sycząc wściekle. Dopiero gdy dotarli do tego, na czym siedziała, zrozumieli powód jej podniecenia;

- Drewno! - zdziwił się Naile. - Wiecie, co to jest? Maszt! Pod nami jest zatopiony okręt. Pływałem jako ochrona na wolnych jednostkach z Parth, więc trochę się na tym znam.

Bez zwłoki przyklęknął i złożonymi dłońmi zaczął odgarniać pył u nasady masztu.

- Ale co może być dla nas użyteczne na wraku, który zatonął pokolenia temu?

- Milo odsunął się nieco.

- Wszystko lub nic - odparł Ingrge i jakby opętany szaleństwem Naile'a przykucnął w pewnej od niego odległości i rakieta jak łopata ją odgarniać piach.

Milo był pewien, że obaj zwariowali - albo od słońca albo od obcego czaru, o którym nie ostrzegły bransolety. Wtem bez chwili wahania dołączył do nich Wymarc, także z rakieta w dłoni. Widząc minę Milo, uśmiechnął się i oznajmił:

- Nie myśl, że zwariowali. Statek, który poruszał się po takiej okolicy, był zdany tylko na siebie i musiał być doskonale zaopatrzony. Poza tym należy ufać Afreecie: jeśli ona twierdzi, że jest tu woda i pożywienie, to osobiście jej wierzę. Może cuda się jeszcze zdarzają w tych heretyckich i upadłych czasach...

I zaczął kopać.

Rychło wszyscy poza Gulthem ryli w pyłe jak szaleni, zdecydowani ujrzeć na własne oczy statek, który zatonął tu, zanim ktokolwiek pomyślał o założeniu osady o nazwie Greyhawk. Praca była katorżnicza i syzyfowa. Pył sypał się złośliwie na wszystkie strony i choć próbowali umocnić ściany wykopu płaszczami, a Milo i Yevele odnosili na tarczach urobek poza powiększające się zagłębienie i tak sporo osypywało się z powrotem. Gdy Milo nabierał pewności, że tracą czas, Naile ryknął, aż zatrząsnęły się wydmy:

- Pokład!

Deav Dyne przesunął ku niemu świecą kule i rzeczywiście pod stopami berserkera widać było deski. Afreeta wylądowała opodal na kupce pyłu i sycząc wściekle, zaczęła go rozgarniać tylnymi łapami. Widząc to, Naile gwizdnął i podszedł do wskazanego miejsca. Po paru ruchach rakiety ukazała się krawędź zamkniętego luku ładunkowego.

W tym samym momencie Milo poczuł ciepło na nadgarstku i spojrzał na bransoletę - zaczynała świecić.

- Uwaga na kości! - krzyknął, koncentrując się na kręcących się kostkach: jeszcze parę punktów...

Blask przygasł, kostki zwolniły, by po chwili stanąć. Metal i kamień ponownie stały się całością. Milo wyprostował się i porwał tarczę. W dłoni miał już mimowolnie (bo nie pamiętał, by robił to świadomie) wyjęty miecz, toteż nieco spokojniej rozejrzał się w poszukiwaniu wroga, o którego obecności ostrzegły bransolety. Zobaczył, że Gulth odrzuca płaszcz i staje na niezbyt pewnych nogach, wyciągając równocześnie broń...

Yevele wysypała piach z tarczy i wstała, tonąc natychmiast po kolana w pyłe - zdjęła rakiety i zapomniała o tym. Zrozumieli, w jak niekorzystnym są położeniu: nawet doświadczony fechtmistrz mógł użyć jedynie części swych umiejętności, poruszając się przy pomocy rakiet. Zdjęcie ich oznaczało zapadnięcie się w pył, unieruchomienie i wydanie na pastwę wroga.

Właśnie: gdzie był wróg?

Wał piachu, który usypali, i równina za nimi były doskonale widoczne i zupełnie puste. Na jego szczycie leżał elf z nałożoną na cięciwę strzałą i rozglądał się uważnie. Milo nie przysiągłby, lecz sądził, że Ingrge tak samo uważnie węszył i nasłuchiwał. Bez wątpienia te zmysły miał znacznie czulsze niż ludzie. Deav zostawił w wykopie świecącą kulę, ale wziął różaniec i wdrapał się do elfa. Zgarnął garść pyłu i nucąc coś, cisnął przed siebie. Powtórzył tę czynność, zwracając się w każdą z czterech stron świata i mamrocząc pod nosem w którymś ze starych języków. Ponieważ nic się nie stało, trudno było ocenić, czy czar poskutkował, czy nie.

- Pomóż no który! - ryknął z dołu wykopu Naile. - Przeciąłem wiązania!

- Uważaj, Naile. - Milo nie był pewien, czy berserker w ogóle zauważył, że kości się obracały.

- Sam uważaj! - przerwał mu Naile. - Widziałem ruch kości. To, czego szukamy, jest w dole...

Coś pękło z trzaskiem i z dołu wzbiła się chmura pyłu, wypełniając oczy, nosy i usta... A potem wydarzenia potoczyły się jak lawina: ktoś krzyknął ostrzegawczo, zawtórował mu ryk rozwścieczonego dzika i rozległ się charakterystyczny brzęk stali. Milo odwrócił się ku otworowi - nie ulegało wątpliwości, że w dole wrzała walka.

13. Statek Liche

Pył falował pod stopami jak woda, toteż Milo ze wszystkich sił starał się utrzymać na nogach. Odruchowo osłonił twarz tarczą, dzięki czemu złapał parę haustów w miarę czystego powietrza. Pył sięgnął kolan i wirował, odgradzając go od pozostałych tak skutecznie, że gdyby nie odgłosy walki, sądziłby, iż za sprawą jakiegoś czaru pozostał tu sam.

W tumanie zamajaczył ciemny kształt - widać naruszyli jakieś podstawowe zakłęcie, gdyż statek, który próbowali odkopać, teraz sam wynurzał się na powierzchnię. Milo nie zdołał się utrzymać na drgającym pokładzie i osunął się za burtę. Chciał na powrót wskoczyć, nim statek uniesie się jeszcze wyżej, ale że oczy łązały mu od pyłu, źle obliczył odległość i uderzył osłoniętym tarczą ramieniem w drewnianą przeszkodę. Doszedłszy do siebie, ujrzał, że statek już się wynurzył, a powierzchnia piaszczystego pyłu prawie znieruchomiała. Kurz powoli osiadał, pozwalając lepiej widzieć i słyszeć: na pokładzie trwała zacięta bitwa. Milo przerzucił tarczę na plecy, porwał miecz w zęby i klnąc w duchu na czym świat stoi, obmacał burtę, szukając czegoś, po czym mógłby się wspiąć.

Lewą dłonią natrafił na sznurowaną drabinkę i pochwycił ją kurczowo. Wyteżając siły, przyciągnął się do niej niepewny, czy wiekowe szczeble utrzymają go. Podciągnął się na rękach, gdyż piach trzymał niczym bagno. W tej szamotaninie stracił gdzieś drugą raketę i zapadł się po uda. Powoli i mozolnie uwolnił się z morderczego uścisku, a natrafiwszy wreszcie na szczebel, wspiął się już szybko i sprawnie.

Pokład okazał się czysty od piachu, powietrze zaś wolne od pyłu, który opadł już poniżej ramion Milo. Najpierw dostrzegł opartego o ułamek jednego z masztów Wymarca, wywijającego mieczem z wprawą, z jaką dotąd grał na harfie. Miał trzech przeciwników i całkiem nieźle sobie radził. Obok jak błyskawica przeniknął Naile - odyniec i kolejna postać wyłaniająca się z luku zetknęła się z jego pyskiem. Kolczuga pękła jak pergamin i Milo mógł wreszcie przyjrzeć się wrogowi.

Nie musiał wahać swoistego odoru zła, by rozpoznać, że mają do czynienia z Liche, czyli Nieumarłymi, a raczej nie całkiem martwymi. Zbroje mieli tej samej barwy co pył, w którym przez wieki, choć nie na zawsze, byli pogrzebani. Twarze osłaniali metalowymi maskami, przedstawiającymi wykrzywione wściekłością oblicza. Starannie wyrzeźbione brody zręcznie osłaniały szyje. Uzbrojeni byli głównie

w jatagany, choć zdarzały się też zwykłe szable. I co najgorsze: Nieumarłych nie można było zabić.

Naile zaatakował kolejnego przeciwnika z takim impetem, że rozrywając napierśnik niczym gliniany garnek, rozciął go na pół. Dolna część nadal stała, a górna, leżąc na pokładzie, usiłowała go dosięgnąć ostrzem szabli.

- All-Il-Var! - ryknął Milo swoje zawołanie i ruszył na pomoc bardowi.

Tarczą zdzielił pierwszego przeciwnika w plecy, aż zadudniło - pękł pancerz i wyschnięte na wiór ciało; ciął z góry następnego, odrabując głowę i ramię, a butem zmiażdżył leżącą na pokładzie nie wiadomo czyją rękę, która usiłowała ciąć go po nogach. Odwrócił się, parując cios pierwszego, który nadal atakował. Kolejnymi dwoma sztychami i mocnym uderzeniem tarczy nareszcie posłał szczątki za burzę, gdzie pochłonął je pył.

Jak przez mgłę słyszał okrzyki pozostałych; sam milczał, by nie tracić tchu. Zwinął się w miejscu i skoczył w bok, gdzie za masztem czaił się nowy napastnik przymierzający się do ścięcia głowy Wymarca. Liche kucał, toteż Milo runął na niego z wysuniętą tarczą, chcąc wypchnąć go za burzę, ale potknął się o odcięte ramię któregoś z pokonanych przeciwników barda. Obaj runęli na pokład. W ten sposób Milo uratował życie, nieświadomy, że właśnie w tym momencie jeszcze jeden wróg zamierzył się nań jataganem, który teraz tkwił wbity niegroźnie w deski. Milo odrzucił przeciwnika, przetoczył się w bok i przyklęknął. Przeciwnik zbierał się opodal. Dokończył więc, co zamierzał, i używając tarczy jak taranu, zepchnął go z pokładu. Ten, który atakował jataganem, bezskutecznie próbował uwolnić wbite w pokład ostrze. Stracił przy tym ramię i głowę od ciosu Yevele. Dziewczyna uderzała oburącz, więc wszystko w co trafiała, pękało z trzaskiem.

Ingrge, z daleka widoczny w zielonym kaftanie ciął z niehumanitarną szybkością w samym środku największej kotłowaniny. Najpierw chciał użyć łuku, ale żadna strzała, nawet nasączona błyskawiczną trucizną z Zachodnich Rubieży nie mogła zabić Nieumarłego. Nie marnował ich więc, lecz dołączył z mieczem do walczących na pokładzie towarzyszy.

Berserker nawet gdy zniknął z oczu, dawał znać o sobie; ryk rozjuszonego odyńca odbijał się co chwila echem od wydm, gdy rwał na strzępy albo tratował kolejnego przeciwnika. Z pyska ciekła mu gęsta, brunatna posoka, a łeb powalany miał szczątkami kolczug, skóry i kości pokonanych.

Coś złapało Milo za obcas - czaszka okryta poszarpaną skórą szczyrzyła zęby,

gotowa ukąsić. Kopnął ją za burtę i uniósł tarczę, osłaniając się przed atakiem pary przeciwników. Ci zdołali wygramolić się z ładowni i ująć odyńcowi zajętemu daremnymi próbami pozbycia się innej czaszki. Wczepiła mu się w tylną nogę i zaciekle próbowała się przegryźć przez twardą skórę. Naile wierzgał jak oszalały i na próżno próbował dosięgnąć jej łbem. Przystanął na moment i czaszka rozprysnęła się pod kościanym mieczem Gultha.

Milo wyrzucił za burtę ostatniego poćwiartowanego przeciwnika i rozejrzał się po pokładzie. Zaścielały go rwące się jeszcze do walki szczątki, ale nie było już ani jednego całego przeciwnika. Wymarc stał oparty o burtę, a z bezwładnie zwisającej ręki kapłała krew. Kolczugę na ramieniu miał rozdartą i zakrwawioną. Ingrge klęczał i ostrzem miecza rozwierał zaciśnięte na kostce zęby czaszki, zręczniejszej od tej, która usiłowała dopaść berserker. Gulth spuścił łeb, a stał tylko dlatego, że opierał się z jednej strony o maszt, z drugiej o wbity w pokład miecz. Naile przestał być dzikiem, choć jeszcze ciężko dyszał i w oczach tlił mu się czerwony błysk szaleństwa. Krwawił z rany na boku, ale poruszał się o własnych siłach, nie było więc z nim tak źle.

- Nie ma straży bez skarbu - Wymarc przerwał milczenie. - Ciekawe, czego pilnowali ci tutaj?

Yevele skończyła wycierać ostrze o poję płaszcz, odcięła ją i rzuciła na drgający zwal pociętych przeciwników. Rozejrzała się uważnie i stwierdziła:

- Wiążący ich czar prawie wygasł, inaczej nie poradzilibyśmy sobie tak łatwo.

- Albo nauczyliśmy się wykorzystywać szanse, o których mówił Hystaspes - wtrącił Milo. - Bo trudno zawsze mieć szczęście, prawda?

Przyświadczyli hałaśliwym pomrukiem. Z otwartego luku wyleciała Afreeta i z piskiem okrążyła nogę berserker, z której ciekła strużka krwi. Naile chrząknął i powiedział nadzwyczaj pogodnie:

- Spokojnie, to tylko zadrapanie. No i mamy przecież bieglego w leczeniu ran, nie? - Wskazał na nadburcie, przy którym stał Deav Dyne, jak zwykle pograżony w modlitwie. - Chodźmy sprawdzić, cośmy znaleźli prócz czaru jakiegoś dawno umarłego maga.

Kuśtykając, podszedł do luku, a Milo badawczo spojrzął na kapłana. Deav był najlepiej przygotowany do wykrywania wpływów Chaosu i wszelkiego zła starszego, niż można się było domyślić. Dyne jednak z zamkniętymi oczami skupił się na modlitwie albo tym, co chciał przez nią osiągnąć. Milo poprawił więc pas z mieczem i ruszył za berserkerem. Nieznacznie wahając się, ruszyła w jego ślady Yevele, a za nią

pozostali. Do ładowni zeskoczył sam Milo, żeby niepotrzebnie nie ryzykować.

Woń rozkładu była tu silniejsza. Ingrge zapalił pochodnię ze szmaty i strzały i wbił ją w jedną ze skrzyń, która stała na tyle wysoko, że światło rozjaśniało cały luk. Wzdłuż burt stały starannie umocowane potężne, dorównujące wysokością dorosłemu mężczyźnie dzbany o solidnych i nienaruszonych zamknięciach. W jednym kącie piętrzyła się sterta skrzyń, a środkiem prowadziło wąskie przejście. Afreeta przysiadła na pieczęci zamykającej jeden z dzbanów i zasyczała z przejęcia.

- Znalazła, o co prosiliśmy - roześmiał się Naile. - Tu z pewnością jest coś do picia.

Milo mocno w to wątpił - po niezliczonych wiekach, które minęły od zatonięcia statku, woda musiała wyparować. Zszedł ostrożnie i zbliżył się do dzbana, na którym siedziała Afreeta, gotów do walki na najłżejszy dźwięk z mroków spod ścian. Mimo czaru obronnego część obrońców mogła pozostać w zasadzce pod pokładem. Ponieważ nie było słyhać nic podejrzanego, schował do pochwy miecz i wyjął sztylet. Dzban zapieczętowany był czymś czarnym i twardym jak skała, więc otwarcie nie było proste. Długo mozolił się, używając sztyletu jako dłuta, a miecza jako młota, wreszcie odłupał pierwszy kawałek. Reszta poszła już łatwiej i wnet uchyliwszy pokrywę, ostrożnie powąchał zawartość.

- I cóż tam mamy? - niecierpliwił się Naile. Dzban był niemal po brzegi wypełniony różowym płynem o nieznanym zapachu. Chcąc pokosztować zawartości dzbana, Milo zanurzył palec. Ledwie zdążył go wyjąć, a już Afreeta wylizła go do czysta.

- Nalej trochę do tego. - Naile podał mu manierkę. Milo posłusznie ją napełnił, podał mu i rozejrzał się. Dzbanów było z pół setki i żaden nie był uszkodzony - wszystkie stały prosto na swoich miejscach i były szczelnie zamknięte, tak jak przed wiekami, w dniu wyruszenia z portu. Podobnie skrzynie, choć ich zawartość zmieniła się w tak zbitą i zapleśniałą masę, iż trudno było powiedzieć, czy wypełniała je żywność czy tkaniny. Nie było śladu obrońców, a Milo też nie kwapił się, by ich poszukiwać.

Na pokład wydostał się po sznurowej drabince przewieszzonej tu przez kogoś z burty. Ingrge i Yevele tarczami i mieczami spychali za burtę resztki obrońców, zaś przykucnięty pod mostkiem Gulth oglądał ostrze kościanego miecza. Naile leżał na pokładzie, Deav Dyne lał na jego ranę płyn z manierki napełnionej przez Milo.

- Naprawdę mieli czego bronić - powitał go Naile, biorąc od kapłana manierkę

i pociągając tęgi łyk.

- Jeśli się nie mylę - uśmiechnął się Dyne - to w samej rzeczy znaleźliśmy skarb: ładownię pełną słynnego wina z Pardos, które leczy ciało i zaostrza umysł. Był to przysmak imperatorów Królestwa, jeszcze zanim Południowe Góry wypłuły potęgę ognia. Naruszyliśmy jednak panującą tu od wieków równowagę i nikt nie może przewidzieć, co z tego wyniknie.

- Kogo to martwi? - Naile pociągnął kolejny łyk. - Piłem wino z Wielkiego Królestwa i dwakroć ze złupionych karawan z Paynim, którego mieszkańcy uważają się za najlepszych kiperów świata. Żadne nie było tak dobre jak to, obojętne czy to wino z Pardos, czy nie, ale, na Głos Gandanga, znów jestem cały i czuję się znakomicie!

Ponieważ Deav Dyne uznał ładunek za bardzo pożyteczny, wykorzystali go godnie. Napelnili wszystkie worki i manierki, a w nowym dzbanie wykapali Gultha i porządnie zmoczyli jego płaszcz.

Obozowali na pokładzie, zastanawiając się, co też mogło wydobyć okręt z głębin akurat w chwili ich przybycia. Nie ulegało wątpliwości, że obrońcy i statek byli zaczarowani. Pytanie, dlaczego czar objawił się w tej jednej chwili. Elf i kapłan sprawdzili, czy na pokładzie nie kryje się inny czar. Nie znaleźli śladów Wielkiej Magii, ale i tak nie rozwiązywało to zagadki. Milo był przekonany, że obrońcy nie tylko mieli bronić rzeczywiście cennego ładunku; nie umiałby wszakże powiedzieć, po co jeszcze byli potrzebni.

Wino doprawdy było skuteczne - goiło rany błyskawicznie i odświeżało lepiej niż źródłana woda. Podzielili warty. Milo objąwszy swoją, stwierdził, że noc jest wyjątkowo cicha i spokojna. Zupełnie jakby wszystko zastygło w oczekiwaniu. Szkoda było pozostawiać całkiem dobry statek, który by im znacznie zaoszczędził wysiłku, ale nie było na nim śladu żagla ani rei i nie sposób było go uruchomić. Nie miał bowiem innego napędu, a żaden z nich nie znał dość silnego zaklęcia, żeby go poruszyć.

Co prawda, nie obejrzeliby całego statku, ale nie było im spieszno po takim powitaniu. Tym bardziej dlatego, że drzwi do kabiny rufowej nie poddały się nawet nieludzkiej sile berserkera. Milo zrobił kolejny obchód i zatrzymał się na dziobie. Wydało mu się, iż oprócz normalnego śpiewu piasku słyszy jeszcze prawdziwy ni to śpiew, ni to szept, ale nie wiedział, skąd mógł by dobiegać. Bransoleta pozostała

martwa, nic się nie poruszyło na piaskach, niczego też nie było przy burtach, bo i to starannie sprawdził. Resztki obrońców pochłonał piasek i nic nie wskazywało na to, że kiedyś istnieli. A mimo to przysięgłby, że nie jest sam na pokładzie.

Postanowił wziąć się w garść i nie dać się ponieść wyobraźni - na pokładzie nie było nikogo poza nim i śpiącymi. Albo wino mąciło mu zmysły, albo cała przygoda zaczynała mu mącić w głowie. Pomimo to nadal przechadzał się nerwowo i nasłuchiwał. Jednakże nic się nie wydarzyło aż do zmiany, toteż obudził berserkera. Nie powiedział mu nic. Naile miał znacznie lepsze zmysły niż człowiek, więc gdy kogoś spostrzeże, to natychmiast podniesie alarm. A Milo nie chciał robić z siebie głupca i przyznawać się, że o mało co uległ przywidzeniom. Zasnął więc spokojnie.

Nigdy jeszcze nie miał tak dziwnego i wyrazistego snu. Śniło mu się bowiem, że jest na pokładzie statku Nieumarłych. Wszystko widział, choć nie mógł się poruszyć ani odezwać. Była noc, wartę trzymał Naile. Nieznacznie tylko kulejąc, obchodził powoli pokład. Dotarł po raz drugi na dziób i znieruchomiał wpatrzony na południe. Stał tak dłuższą chwilę, toteż i Milo spojrział w tym kierunku.

To było prawie tak jak spotkanie ciemnych plam prześladowających ich na równinach - nie tyle sam ruch, ile jego wrażenie. Nie mógłby powiedzieć, że coś widzi. Był tylko pewien, że Naile wyraźnie to widział i poznawał, owinął się bowiem płaszczem, ujął topór i zszedł po sznurowej drabince za burtę (było ich kilka, jak odkryli, pobieżnie oglądając statek).

Milo stracił go z oczu, ale nadal nie mógł się ruszyć, mimo że chciał powstrzymać bersekera lub też mu pomóc. Nie wątpił, że coś złego wabi go do siebie, chcąc, by znalazł się jak najdalej od pozostałych. Co więcej, wysiłki te wcale go nie obudziły. Śnił więc dalej, że Naile założył rakiety i dziarsko maszeruje, nie oglądając się za siebie, jakby nikogo nie zostawiał. Posuwał się szybko po zdradliwym terenie. Tak mógłby spieszyć na spotkanie dawno nie widzianego przyjaciela. Kierując się szybko na południe, szybko też zginął z oczu bezsilnego obserwatora. Gdy Naile znikł, Milo przestał śnić i zapadł w mroczną nicość.

- Milo! - ryk przedarł się przez nicość i Milo obudził się.

Obok niego klęczał Wymarc wyjątkowo bez uśmiechu, za nim stała Yevele z gołą głową i bardzo podejrzliwym wyrazem twarzy.

- Co?

- Gdzie Naile? - spytał Wymarc.

Milo siadł. Przypomniał mu się dziwny sen me sen. Zanim pomyślał, że to mogło być jedynie marzenie senne, powiedział:

- Poszedł na południe!

Wiedział, że to prawda.

14. Rockna - Bezczelny Smok

Milo czym prędzej streścił swój sen, który - jak się okazało - nie był wcale snem. Zanim skończył, Deav Dyne smętnie pokiwał głową i odszedł na dziób, tam, gdzie Milo widział nieruchomego berserkera. Pochylił się do przodu, spoglądając w tym samym kierunku co Naile, i zamarł w bezruchu. Po paru chwilach Milo podszedł do niego i spojrzał kapłanowi przez ramię - nie dostrzegł nic prócz widocznego w poranny szarym blasku morza wydm.

- Co widzisz? - spytał.

- Nic - odparł Dyne, nie odwracając głowy - ale tam jest coś groźnego; magia ma swój zapach i ktoś posiadający wiedzę może go wyczuć, tak jak ty mogłeś wyczuć zło otaczające obrońców tego statku.

Gdy mówił, nozdrza rozszerzyły mu się jak u gończego psa, który trafił na świeży trop.

- Chaos - powiedział cicho Ingrge, stając obok nich jak duch - ale nie tylko...

- Właśnie - przytaknął Dyne. - Nowe zło albo stare zmieszane z nowym...

Nasz towarzysz poszedł go poszukać, i to nie kierując się własnym rozumem.

- Co chcesz powiedzieć? - Milo zaczął się gubić.

- To, że ktoś rzucił na niego czar, bo *were* mają własną, wcale nie słabą magię. Naile Fangtooth nie panuje teraz nad własnym ciałem, a być może i umysłem - odparł powoli i dobitnie kapłan.

- To już wiemy, gdzie teraz iść - stwierdził Wymarc.

Milo zgodził się z nim i dopiero teraz pojął, co postanowił. Nie był krewnym berserkera, nie był jego towarzyszem z wyboru, a jednak byli razem i nie mógł iść dalej, zostawiwszy go na łasce zła, które go dopadło. Zerknąwszy na pierścień, zauważył, że kamień zakurzył się, więc starannie go wytarł. Nic to nie zmieniło: linie i punkty mocno wyblakły, co nie zdarzyło się od początku podróży. Dziwne było i to, że we śnie - wizji Afreeta spokojnie otaczała szyję Naile'a. Czyżby jeden czar opanował oboje? Przez wydmy prowadził coraz mniej wyraźny, ale jeszcze rozpoznawalny ślad rakiet, więc wiedzieli, gdzie mają iść. Tylko dokąd dojdą? Mogli odnaleźć berserkera, mogli sami się zgubić i wpaść w jakąś mroczną zasadzkę bez wyjścia... Niewielka pociecha; tak czy owak muszą iść na południowy wschód, tam gdzie poszedł Naile.

Zebraли się błyskawicznie, Gulth założył nasiąknięty winem płaszcz i po kolei

zeszli na niepewną powierzchnię Morza Pyłu. Prowadzenie objął elf, ruszając bez cienia wahania, jakby domyślał się, dokąd zmierzają.

Powoli wzeszło słońce i pojawiły się gnane wiatrem wielkie chmury pyłu, ograniczając widoczność. Osłonili twarze, czym kto mógł, pozostawiając jedynie odsłonięte oczy, i szli za Inrgem z nadzieją, że elf wie, dokąd zmierza, i nie będą chodzić w kółko, póki nie padną z pragnienia i wyczerpania. Milo co jakiś czas spoglądał na pierścień-mapę. Ten nie ożył ani na chwilę i nadal Ingrge był ich jedynym przewodnikiem.

Podczas jednej z regularnych, lecz na szczęście częstych przerw w atakach pylistego wiatru elf stanął i uniośł dłoń. Gulth nie zauważył tego i z siłą mogącą zwalić z nóg wpadł na idącego przed nim Milo.

- Co? - wychrypiła Yevele i zamilkła, widząc pełen zniecierpliwienia gest Ingrgego.

Wymarc poprawił harfę, nasłuchując, wyraźnie pochwycił to, co przed chwilą usłyszał elf. Milo również zamienił się w słuch i po sekundzie też słyszał cichy (gdyż odległy) syczący ryk, który nie mógł się wydobyć z ludzkiego gardła. - Smok - głos Gultha zabrzmiał dość podobnie. Powtórnie rozległ się ów niesamowity okrzyk wezwania, bo nikt nie wątpił, że to jest wezwanie. Bransoleta ożyła, nim Milo pojął, co się dzieje, toteż spróbował siłą woli sprawić, żeby kostki wyrzuciły jak najwięcej punktów. Wątpił, by wynik był znaczący; nie mógł się skupić, gdyż wciąż myślał o smoku... O rozwścieczonym smoku, jeśli go słuch nie mylił. Nie ulegało wątpliwości, że przed nimi toczy się walka. Nie miało znaczenia, czy smok zaatakował Naile'a, czy Naile smoka, bo nawet berserker *were* nie mógł mieć nadziei nie tylko na wygraną w takim pojedynku, ale nawet na przeżycie.

Nie zwlekając, ruszyli najszybciej, jak mogli. Starali się iść między wydmami, nie ryzykując wspinaczki, która mogła zakończyć się obsunięciem wraz z lawiną pyłu, co, choć niegroźne - opóźniłoby marsz. Znowu, teraz już znacznie wyraźniej, usłyszeli głos smoka. Nadal nie był to ryk tryumfu, co znaczyło, że Naile jeszcze żył i walczył. Kości znieruchomiały i Milo z niechęcią potrząsnął głową: zwycięstwo w walce z rozzłoszczonym smokiem graniczyło z cudem. Mimo to nie zwolnił, poprawił tylko tarczę na ramieniu i dobył miecza.

Wyszli na coś w rodzaju areny: kapryśny wiatr stworzył tu niewielką kolistą równinę, gładką i równą płaszczyznę piaszczystego pyłu. Pośrodku rozwścieczony smok bił powietrze dziwnie małymi skrzydłami, niezdolnymi unieść jego cielsko w

powietrze. Wzbijał chmurę pyłu, w której błyskał jego pancerz o barwie starej miedzi. Był zdecydowanie mniejszy niż Lichis, ale to wcale nie oznaczało jego klęski. Odrzuciwszy łeb, otworzył uzbrojoną w imponujące zębiska paszczę do kolejnego ryku i wtedy dostrzegł nowych przeciwników. Czerwone oczy błysnęły wściekle i z zaskakującą przy tych rozmiarach szybkością uzbrojony w dwa rogi łeb strzelił ku nim zgodnie z obyczajem węży. Milo poczuł ostry zapach spływającego ze spiczastego języka jadu, zdolnego w ciągu paru chwil rozpuścić ludzkie ciało do kości. Żadne czary czy magiczne leki nie skutkowały przeciwko niemu ani też nie mogły spowolnić jego działania.

Atak był tak błyskawiczny, że Milo nic nie zdążył zrobić, choć był pewien, że to właśnie on jest celem. Kątem oka zauważył ruch i w polu widzenia pojawiła się wściekle sycząca Afreeta. Niby-smok był tak mały, że mógłby odpoczywać na czubku smoczego języka. Mimo to, nie bacząc na jad, rozpostarł szeroko łapy i ruszył do ataku, celując właśnie w czerwono-żółty jęzor. Wielki smok zwinął język, po czym wyrzucił go, starając się pochwycić małego napastnika tak, jak żaby łapią muchy. Afreeta była szybsza. Nagłym skrętem ciała umknęła niebezpieczeństwu, zniknęła w chmurze pyłu i pojawiła się ponownie, czekając na okazję. Ponieważ smok schował język, nie miała celu dla siebie, ale przynajmniej umożliwiła atak nowo przybyłym.

Z wzbitej przez nieustannie poruszające się skrzydła chmury pyłu wypadł znajomy kształt wściekłego odyńca, zadrżał i po trzech krokach stał się człowiekiem; po dalszych dwóch znów dzikiem. Naile nie potrafił utrzymać ani kontrolować przemiany, toteż po parunastu krokach poddał się i wrócił do ludzkiej postaci. Z uniesionym oburącz toporem stanął naprzeciw smoka.

Człowiek i smok zwarli się w serii uników i ataków, ale szalę przeważyła Afreeta, nie pozwalając smokowi skutecznie uderzyć. Dwukrotnie omal znalazła się w śmiertelnym zasięgu smoczego języka, ale osiągnęła swój cel, ciągle atakując łeb i jęzor, rozproszyła uwagę smoka i Naile przeżył to starcie.

Coś jeszcze mignęło w chmurze pyłu i od szerokiej, kostnej narośli, chroniącej czerwone ślepia niczym brew, odskoczyła długa strzała i opadła opodal na piasek. Ingrge próbował trafić w oko, najczulsze miejsce przeciwnika, ale kurz i szybkie ruchy łba sprawiły, że Milo pierwszy raz w życiu zwątpił w legendarną celność elfów, ponoć urodzonych z łukiem w dłoni. Kurz wzbijany przez skrzydła powodował łzawienie, dając wrażenie, że każdy sam walczy z ryczącym i syczącym potworem.

Milo ocknął się - wokół majaczyły inne kształty: nie był sam, choć co chwilę

musiał sobie o tym przypominać. Dostrzegł błysk miedzianego brzucha i zdecydował, że jest to budzący nadzieję cel. Dwa dość szybkie kroki, zamach i cięcie, w które włożył wszystkie siły. Omal nie wypuścił miecza, który zadrżał, jakby uderzył w skałę. Pokryty łuskami brzuch był cały, a z góry szybko opadała pełna zębów paszcza. Od wzmagającego się kwaśnego odoru trucizny zakręciło mu się w głowie.

Coś przemknęło ze świstem obok jego głowy i strzała przebiła na wylot smoczy język. Smok bezskutecznie próbował ją wytrząsnąć, gorączkowo kręcąc językiem i rzucając łbem. Z chmury pyłu uniosła się potężna łapa ze szponami jak nogi dorosłego człowieka. Pazury zaciskały się i prostowały, próbując chwycić strzałę. Ten ruch odsłonił nie chronioną łuską pachwinę. Milo skoczył ku niej z wyciągniętym mieczem. Potknął się, gdyż zapomniał o raketach, ale dzięki temu pchnął znacznie silniej, bo z impetem całego ciała.

Natychmiast uskoczył w bok, czując, jak obok przewala się coś wielkiego. Podmuch obrócił go w locie i cisnął twarzą w pył. Zapadł się, czekając na miażdżący cios pazurów, ale cios nie nastąpił. Milo zagrzebał się więc, jak potrafił w pyle, który dotąd był śmiertelnym zagrożeniem, i znieruchomiał. Powietrze przeszył pełen wściekłości i bólu ryk, od którego zadzwoniło mu w uszach. Zdawał się wypełniać cały świat. Po chwili ktoś pociągnął go za ramię. Milo przestał się więc daremnie zastanawiać, dlaczego jeszcze żyje, i spróbował pomóc temu, który wyciągał go z pyłowego uścisku. Inna dłoń wczepiła się w jego drugie ramię. Przy wtórze nieco cichszego i odleglejszego ryku smoka Milo znalazł się na powierzchni. Deav Dyne i Gulth pomogli mu w ostatniej chwili - gardło i nos pełne miał pyłu i niewiele brakowało, by zaczął się dusić. Długo pluł i kaszlał, a wreszcie pozbawiwszy się resztek kurzu, rozejrzał się po polu bitwy.

Walka przesunęła się w bok i teraz cały jej ciężar wzięli na siebie Naile i Yevele. Dziewczyna osłaniała się tarczą i fechtowała z wprawą wskazującą na długie doświadczenie. Wystająca w prawego ślepia smoka pierzasta strzała dowodziła, że celność elfów jednak dorównuje legendzie. Smok zdołał pozbyć się strzały z języka. Mocno go przy tym poszarpał, a ból musiał go silnie zamroczyć, gdyż atakował miecz Yevele, jakby to był żywy przeciwnik.

Nawet smoczy język nie mógł sprostać stali. Skutek łatwo było przewidzieć: Yevele okręciła się w uniku i zgrabnie odcięła połowę gadziego ozora, który opadł na piach, wijąc się niczym ranny wąż. Z pyska smoka trysnęła brunatna krew i jad; nie zdążył nawet ryknąć, gdy Naile oburącz i ze wszystkich sił ciął toporem w

opuszczony nad dziewczyną łeb. Trafił w kość pomiędzy ślepiami.

Smok targnął łbem, wyrывая mu drzewce z dłoni i wyprostował się zniechęca. Naile silnym pchnięciem obalił Yevele w pył, który zamknął się nad nią niczym morskie fale, a sam przekoziółkował, próbując uniknąć nowego natarcia zakrwawionego łba. Ryk smoka wszystko zagłuszył. Bezgłośna strzała utkwiała w jego lewym oku. Potwór targnął się gwałtownie i omijając nieznacznie berserkera, upadł tak ciężko, aż zafalowała powierzchnia.

Z obłoku kurzu rozniecanego ciągle poruszającymi się skrzydłami wyłonił się oślepy łeb, celując pyskiem w niebo. Zawył tak ogłuszająco, że Milo - choć zatkał uszy - padł na kolana, jakby dostał obuchem w głowę. Dwakroć jeszcze smok ryknął z bólu i bezsilnej złości, teraz już ciszej; a potem łeb opadł i nastąpiła pełna napięcia zaklęta cisza.

Milo z trudem wstał i spojrzał z niedowierzaniem na wolno zapadające się w pył cielsko. Zabili smoka! Pojął nareszcie, iż dokonali rzeczy uważanej za niemożliwą.

Naile pozbierał się, otrzepał z pyłu i zbliżył do nieruchomego łba. Chwycił oburącz stylisko topora i potężnym szarpnięciem uwolnił stal ze smoczego czerepu. Milo spojrzał na stojącego opodal Ingrgego.

- Nigdy nie zwątpię w opowieści o celności elfów - powiedział przez zaciśnięte od kurzu gardło.

- Ani ja w sławę twojego miecza - odparł elf. - Twój sztych i cios berserkera zabiły smoka.

- Mój sztych? - Milo spostrzegł, że ma puste dłonie i zdumiony rozejrzał się, szukając tarczy i miecza.

- Jeśli chcesz odzyskać miecz, to zrób to, póki można go jeszcze odkopać. - Dyne wskazał wciąż zapadające się ciało smoka.

Korpus był do połowy pograżony. Kurz opadł na znieruchomiałe wreszcie skrzydła i można już było widzieć otoczenie jako tako wyraźnie, mniej więcej tak, jak przez rzednącą mgłę. Wyszły z niej dwie zakurzone od stóp do głów postacie. Większa pomogła oczyścić twarz mniejszej, w której dało się rozpoznać Yevele. Większa niosła na plecach harfę, a więc to był Wymarc.

- To była bitwa! - oznajmił z uznaniem, słysząc słowa kapłana. - Nic, tylko pieśni o niej układać! Ingrge ma rację: ty i Naile zabiliście smoka, choć przy wydatnej pomocy jego i Yevele. Wszyscy zasługujecie na miano Pogromcy Smoka. Nikt by

sam nie pokonał miedzianego smoka zwanego też Bezczelną Rockną. Tak naprawdę bowiem moi mili, to była smoczyca, a te są najgorsze.

- Rzeczywiście Bezczelna Rockna - zgodził się Naile, podrzucając topór i łapiąc go za stylisko. - Jeśli chcemy wydostać twój miecz, Milo, to lepiej bierzmy się do roboty.

Milo ruszył za nim, próbując sobie przypomnieć to pchnięcie, o którym wszyscy mówili. Pamiętał doskonale całą walkę, prócz tej jednej chwili. Naile bez słowa jął kopać przy boku smoka, toteż czym prędzej poszedł za jego przykładem, tak jak poprzednio używając rakiety zamiast łopaty. Po raz pierwszy przekonał się też, jak potężny jest z bliska smoczy odór. Dyne i Wymarc przyłączyli się do nich bez ociągania - strata miecza w takich warunkach i w takiej okolicy byłaby dla wszystkich niebezpieczna.

We czterech szybko dotarli do łapy, pod którą tkwił miecz. Naile uniósł ją, jak mógł, a Milo pochylił się i oburącz szarpnął wystającą z ciała rękojeść. Miecz był tak mocno wbity, że musiał ciągnąć go ze wszystkich sił, a oswobodziwszy, nie zdołał powstrzymać impetu i upadł na plecy. Wymarc pomógł mu wstać. Uwagę wszystkich przykuł głośny okrzyk:

- Hej! Uwaga!

Ingrge słusznie pomyślał, że jako piąty kopacz nie przyda się na nic, postanowił więc rozejrzeć się po okolicy. Wspiął się na jedną z otaczających arenę wydmy i najwyraźniej dostrzegłszy na północy coś interesującego, wymachiwał rękoma. Milo nic z tych gestów nie zrozumiał, ale Dyne zaklął półgłosem, co było zgoła niezwykle.

- Nasze tarapaty jeszcze się nie skończyły - oznajmił ponuro i sięgnął po różaniec.

- Co znowu? - zdziwił się Naile. - Po Liche i smoku reszta to pestka.

Wymarc i Milo obserwowali elfa schodzącego z wydmy ostrożnie i tak szybko, że nie mogli wyjść z podziwu.

- Wichura - wyjaśnił Ingrge. - Właśnie zbiera pył i nadciąga w naszą stronę. To będzie prawdziwa burza!

Milo jedynie słyszał, co działo się podczas burz piaskowych. Nie umiał wyobrazić sobie, co tu się będzie działo, gdy zamiast piasku wiatr poniesie mniejsze i lżejsze drobiny pyłu. Wymarc bez słowa odwrócił się i w zamyśleniu przyjrzał martwemu smokowi.

- Z północy, powiadasz? - mruknął. - No to nasz niedoszły zabójca może stać się naszym wybawicielem.

Ingrge skinął głową, spoglądając na martwego smoka.

- Chcesz powiedzieć... Ryzykowne, ale to nasza jedyna szansa. - Deav Dyne schował różaniec. - Podobnie postępują zaskoczeni burzą piaskową Oszarmeni.

Zdjął rakiety i zaczął kopać z zapalem. Milo wątpił, by ściervo smoka mogło być skuteczną zaporą dla niesionego przez wiatr pyłu, ale nie zdążyliby znaleźć na czas żadnej innej osłony. Ruszył więc do pomocy.

- Zobaczcie - odezwała się nagle Yevele - krew smoka mocno zlepiła płyty piasku. Jeśli jeszcze poświęcimy wino, możemy tym wzmocnić boki i dno wykopu. Mamy do czynienia z pyłem, nie z piaskiem. Pył jest lżejszy!

- Niezła myśl - mruknął Milo, starając się zarazem dociec, co jest groźniejsze: przysypanie pyłem czy zmarnowanie zapasów i śmierć z pragnienia.

- Do zastosowania natychmiast - poparł dziewczynę Wymarc. - Śmierć w pyle grozi nam teraz, więc nie ma na co oszczędzać.

Zdecydowali poświęcić zawartość dwóch bukłaków. Deav i bard ostrożnie rozlali wino na wykopany spod smoczego boku pył, a Ingrge i Yevele płytami z piasku i smoczej krwi umocnili ściany wykopu i ułożyli podłogę. Płyty naprawdę były twarde, toteż Milo zaczął ufniej spoglądać w najbliższą przyszłość.

Pracowali jak szaleni, poganiani widokiem ciemniejącego na północy nieba. Ledwie skończyli, znaleźli się w wykopie. Okryli się płaszczami, by mieć czym oddychać. Powietrze śmierdziało okrutnie, ale nadawało się do oddychania, a to było najważniejsze. Jak mogli najwygodniej, oparli się o pokryty twardą łuską bok i zamarli w oczekiwaniu ataku lekkiego, lecz przez to jeszcze groźniejszego przeciwnika.

15. Śpiewający cień

Milo ocknął się przygnieciony jakimś ciężarem. Musiał stracić przytomność podczas burzy, bo pod czaszką kołatały się otepiałe i mało wyraźne myśli. Opierał się o coś twardego, a w nosie wiercił przejmujący fetor zła. Uznał więc, że najważniejsze to wydostać się na świeże powietrze. Było w dodatku ciemno, a dłonie zapadały się w nie dającym żadnego oparcia miękkim pyłu. Wczepił się więc w to, co uwierało go w ramię, i chwyt za chwyt wyprostował się. Odepchnął się od szorstkiej powierzchni, zrobił dwa niepewne kroki i otrząsnął, wznecając małą lawinę pyłu.

Teraz mógł się rozejrzeć. Niewiele to dało, gdyż była noc. Noc? Potrząsnął głową, próbując uporządkować myśli, co wywołało nową chmurę pyłu, tym razem z włosów. Dlaczego tak trudno było zebrać myśli... Czyżby...

Słyszając coś znajomego, odwrócił się tak, iż oparcie, dzięki któremu wstał, miał za plecami. Poczuł ruch na prawym nadgarstku i ze zdziwieniem spostrzegł obracające się kostki w bransolecie. Pomyślał obojętnie, że właściwie to powinien coś zrobić, gdy one wirują, ale nie bardzo pamiętał co. Tym bardziej, że spomiędzy wydym ponownie dobiegł słodki dźwięk nie tyle muzyki, ile śpiewu. Śpiewu bez słów, niosącego przynaglenie i obietnicę, którym nie sposób się oprzeć.

Ramię z bransoletą opadło bezwładnie - śpiew koił wątpliwości i bez przerwy przywoływał. Ledwie pamiętał, żeby zawiązać na butach rakiety, tak silna była potrzeba odnalezienia wzywającego go śpiewaka. Milo najszybciej, jak potrafił, obszedł najbliższą wydymę. Księżyc rzucał na pył dziwne cienie; zrobiło się też przenikliwie zimno, przynajmniej nie było wiatru, a poruszony jego krokami pył szybko opadał i nie zasłaniał widoczności. Oprócz księżycowego blasku dostrzegł i inne światło, równie zimne jak srebrzysta poświata księżycy, ale silniejsze.

Zatrzymał się raptownie. Tyłem do niego stała z wyciągniętymi do księżycy rękoma znajoma postać.

Yevele!

Nie miała hełmu, rozpuszczone włosy spływały na jej ramiona niczym płaszcz. Trzymała łańcuszek z dyskiem błyszczącym jak miniaturka księżycy i opromieniającym ją srebrzystym blaskiem. Milo zawahał się: był świadkiem, że dziewczyna rzucała czar unieruchamiający; jakie jeszcze czary znała, tego nie wiedział. Kobiety miały swoje tajemnice, których nawet magowie nie potrafili zgłębić, a wszyscy; wiedzieli, że były szczególnie związane z księżycem. Potrząsnął

głową, próbując pozbyć się mgły okrywającej umysł jak pył włosy. Bezskutecznie. To, co robiła Yevele, było dlań równie obce jak logika smoka czy myśli Liche (jeśli Liche w ogóle myślały). Mimo to nie mógł się odwrócić i odejść, gdyż śpiew nadal rozbrzmiewał i przyciągał go. Nie odwracając się przemówiła, jakby wiedząc, że to musi być on. Być może dlatego, że to właśnie jego przywoływała swą księżycową magią. Jej głos był odmieniony, bez zwykłej twardości i pewności siebie.

- A więc usłyszałeś mnie, Milo? - ton doskonale harmonizował z zapachem.

Zapachem? Jakim znów zapachem? Dopiero teraz zauważył, że nie czuje już odoru smoka, lecz aromat wiosennej łąki, pełnej świeżo rozkwitłych ziół i kwiatów.

- Słyszałem - szepnął zmieszany.

Znał wiele kobiet - był normalnym, zdrowym mężczyzną, a wokół zbrojnych zawsze sporo ich się kręciło. Yevele była jednak inna i nie dlatego, że kolczuga skutecznie ukrywała jej wdzięki. Takiej jak ona dotąd nie spotkał. Powoli wyciągnął rękę, chcąc jej dotknąć; w srebrzystym blasku zalśniła bransoleta. Może któraś z kości poruszyła się... Myśl zgasła, a ręka opadła, ledwie dziewczyna odezwała się znowu.

- My, czcicielki Rogatej Pani, mamy swoją moc, która pojawia się od czasu do czasu jak dar jasnowidzenia. Teraz właśnie go doświadczyłam i wiem, że nasze życia są splecione w jedno. Przez to oboje jesteśmy silniejsi i mamy także obowiązek do wypełnienia.

Odwrócił się i ujrzał jej twarz, poważną jak u kapłanki głoszącej przepowiednię. Coś błysnęło w jej oczach i zniknęło, zanim dobrze to zauważył.

- Jaki obowiązek? - spytał tępo.

- Mamy być przednią strażą drużyny, ponieważ tak naprawdę jesteśmy silniejsi niż każde z osobna. A siła powinna iść w przedniej straży, prawda?

Nagle rozjaśniło mu się w głowie. Pewnie, że prawda; aż dziwne, że sam na to wcześniej nie wpadł. Naprawdę byli idealną przednią strażą.

- Rozumiesz? - Zbliżyła się o krok. - Każde z nas ma własne umiejętności.

Razem tworzymy groźną broń. Teraz czas zrobić to, co do nas należy.

- Gdzie i jak? - Ogarnęły go lekkie wątpliwości, sam nie wiedział dlaczego.

- Tam! - odparła, pewnie wskazując kierunek księżycowym dyskiem. - Tam musimy iść! - Dysk zapłonął zimnym, srebrzystym blaskiem. - Przyniosłam rakiety, żebyśmy nie musieli tracić czasu - dodała niecierpliwie. - Księżyc świeci jasno. Burza się skończyła i nie należy marnować nocnego chłodu.

Dotknęła lekko jego ręki ponad bransoletą i - choć skąpana w srebrzystej

poświęcie zdawała się chłodna i obojętna - od jej dotknięcia zrobiło mu się gorąco. W jej oczach dostrzegł polecenie i zapewnienie, ale coś wciąż nie dawało mu spokoju.

- Gdzie? - powołał pytanie.

- Tam, gdzie leży to, czego szukamy, Milo. I nie będziesz zdany tylko na swój pierścień z dawno zapomnianą magią. Pani odpowiedziała na wszystkie moje prośby. Patrz! - Zakręciła nad głową łańcuszkiem i puściła dysk niczym procę.

Zamiast spaść i zniknąć w pyle, metal rozbłysł i zatrzymał się o parę kroków przed dziewczyną, na wysokości jej oczu.

- Księżycowa magia! - roześmiała się, widząc jego minę. - Każdy ma coś specjalnego. Nie jestem biegła w mądrości, wiem jedynie, że ten dysk żywi się mocą. Jest mu obojętne, czy moc jest stara, nowa, dobra czy obca. Najsilniejszym źródłem mocy w okolicy jest to, którego szukamy; możemy więc spokojnie za nim iść, bo właśnie ku niemu podążamy.

Milo chrząknął i przyklęknął, by mocniej zasznurować rakiety. Magia była zawsze ryzykowna, a on nigdy nią nie władał ani jej nie ufał. Był jednakże pewien, że żaden sługa Chaosu nie mógłby tak długo ukrywać się przed kapłanem czy elfem. Gdyby Yevele była sługą Chaosu, Dyne prawdopodobnie rozpoznałby to przy pierwszym spotkaniu.

- Pozostali? - Spytał zwięźle, wstając.

Yevele już oddaliła się nieco. Trzymała w ręku hełm i była najwyraźniej zniecierpliwiona, ale nie próbowała zapleść włosów, co znaczyło, iż nie spodziewa się rychłego niebezpieczeństwa.

- Pójdą za nami, ale noc nie jest wieczna, a nasz przewodnik działa tylko przy księżycu, gdyż w jego blasku powstał. Musimy ruszać zaraz!

Księżycowy medalion błyszczał, drżąc lekko, a gdy Yevele zrobiła krok w jego stronę, odpłynął, utrzymując stałą odległość od właścicielki.

Wszystkie pasma wydm są takie same. Dwakroć Milo próbował sprawdzić kierunek na pierścieniu, lecz blask księżycowego dysku tłumiał słabą poświatę klejnotu. W dodatku dziewczyna zaczęła znów nucić tę pozbawioną słów melodię, więc szybko o wszystkim, również o pierścieniu, zapomniał.

Morze Pyłu rozciągało się jednostajnie - wydmy i wydmy niczym morskie fale. Nie zostawiali śladów, gdyż w nocy pył zasypywał odciski rakiet błyskawicznie. Milo stracił nawet rozeznanie miejsca, w którym pozostał trup smoka i reszta grupy.

Niepokoilo go to nieco, ale śpiew szybko uspokajał wątpliwości. Czas stracił znaczenie; to było tak, jakby wędrował we śnie, wpatrzony w płynący przodem dysk i zasłuchany w śpiew otulonej srebrzystymi włosami Yevele.

Czar został złamany przez przypadek: jeśli to możliwe przy działaniu magii. Kapłani Om wierzyli, że każde zdarzenie, choćby drobne i nieistotne, jest częścią większej całości wyznaczonej przez Moce, których istnienia ludzie nie mogą nawet podejrzewać. Wspominając to, co nastąpiło, Milo sam nie wiedział, czy nie przyznać im racji.

Rozluźniło się wiązanie rakiety, więc przyklęknął, by je poprawić. Przypadkiem spojrział na drugi pierścień, ten zawsze matowy. Teraz, choć zakurzony, lekko błyszczał. Milo wytarł go czym prędzej połą płaszczą i przyjrzał mu się uważniej. W szarym i czystym klejnocie jarzyło się światło i coś się poruszało. Uniósł dłoń ku oczom i wpatrzył się w kamień jeszcze baczniej, aż usłyszał prawie nad uchem:

- Milo! - Yevele wróciła i stała o krok od niego.

Kierowany impulsem, którego ani wtedy, ani potem nie potrafił wytłumaczyć, chwycił ją za rękę tą dłonią, na której nosił nagle ożywiony pierścień, i spojrział na klejnot. W jego głębi widoczna było kobieca postać, niewielka, lecz bardzo wyraźna. Zgrabna i urodziwa niewiasta, ale z całą pewnością nie Yevele!

Co więcej: pod palcami nie czuł kolczugi ani mocnego, wyćwiczonego w walce ciała. Nie zwalnając uchwytu, spojrział na tę, którą wziął za Yevele i za którą poszedł...

Włosy miała naprawdę srebrne jak blask księżycy; w białej twarzy zielono lśniły skośne oczy. Szczeki były wyraźnie zarysowane, podbródek, ostry, a zęby przypominały drapieznika. Była ładna, ale obca - nieludzka i nie z tego świata. Wyrwało go to całkowicie spod wpływu zaklęcia. Zerwał się, ale nie zwolnił chwytu. Ona także, poza pierwszym odruchowym szarpnięciem, stała nieruchomo.

- Kim jesteś? - warknął rozeźlony.

Przez chwilę przyglądała mu się z namysłem i wyraźnym zaskoczeniem.

- Yevele - odparła zdziwiona.

Imitorka! Świadomość uwolniona od zaklęcia rozpoznała ją natychmiast. Może i nie z tego świata, ale takie jak ona były i tutaj, toteż Milo nie był nadmiernie wstrząśnięty.

- Imitorka! - powtórzył głośno. - Tak samo próbowałaś z berserkerem?

Byli zbyt zajęci, by dowiedzieć się, co przeżył Naile, a gdy nadeszła burza, nie dało się już rozmawiać. Takie przypuszczenie było wszak całkiem wiarygodne.

Z coraz wścieklejszym grymasem wyostrzającym jej rysy spróbowała się uwolnić. Milo trzymał jednak mocno i nie zdał się na nic nawet księżycowy dysk atakujący jego twarz niczym oszalały komar. Krążek ominął rękę osłaniającą twarz i przykleił się do nadgarstka drugiej, którą trzymał imitatorkę. Milo krzyknął, poczuwszy, że cała ręka płonie, i odruchowo zwolnił uścisk. Kobieta natychmiast skorzystała i zręcznie odskoczyła. Roześmiała się, na chwilę stając się Yevele. Natychmiast jednak przestała trwonić siły i wróciła do własnej postaci - nie mogła powtórnie rzucić na niego czar. Odwróciła się, zrzuciła rakiety z nóg i pomknęła, ślizgając się po powierzchni pyłu, nie zostawiając nawet najmniejszego śladu. Inny czar, najwyraźniej była wszechstronniejsza od swoich tutejszych pobratymców. Księżycowy medalion wirował wokół niej, chroniąc ją świetlistą siecią.

Milo wiedział, że pościg jest beznadziejny, ale nic innego mu nie pozostało - nie wiedział, gdzie jest i w którą stronę powinien zawrócić do swoich. Musiał iść za nią, jak długo, mógł ją dostrzec - gdzieś z pewnością zdążyła. Zniknęła za wydumą, toteż przyspieszył kroku, starając się pamiętać, gdzie zniknęła.

Dostrzegł ją ponownie tak daleko, że była świetlistym punktem na równej powierzchni; wydmy skończyły się jak nożem ucięte, tak jak na miejscu walki z Rockną. Jednak tu powierzchnia była rozleglejsza i tuż przed nim dochodziła do czegoś ciemnego i splątanego, co nie odbijało nawet księżycowego blasku. Milo nie musiał mieć żadnych magicznych uzdolnień, by zorientować się, co to takiego. Wystarczyło wciągnąć powietrze, żeby rozpoznać jak zawsze wyraźny i charakterystyczny zapach bagna. Pojęcia nie miał, jakim cudem w tej okolicy pojawiły się moczary, ale nie wątpił, że są to moczary. Zdwoił ostrożność i powoli ruszył ku bagnisku, nadal obserwując ledwie widoczną teraz imitatorkę.

Sądząc z tego, jak szybko zniknęła mu z oczu, przebiegła przez moczary równie łatwo jak po Morzu Pyłu.

Milo ostrożnie pokonał ostatni odcinek, pewien, że dotarł do poszukiwanego miejsca. To musiał być właśnie ów ciemny kleks na mapie Lichisa. W sercu bagna najprawdopodobniej leżała siedziba tego kogoś lub czegoś, którego szukali, jednak nie miał zamiaru zapuszczać się tam samotnie po ciemku, bo to byłaby pewna śmierć. Być może taki los gotowała mu imitatorka: zwabić na bagna i zostawić, by utonął.

Szary klejnot zmatowiał, a Milo rozejrzał się wokół. Nie wiedział, jak dotrzeć do pozostałych ani jak długo musi czekać na świt, toteż sporządziwszy siedzisko z rakiet, zaczął przyglądać się granicy bagna. Teren kipiał życiem, jak się zdawało, nader bujnym. Ponad wszystkim niósł się silny odór zgnilizny. Nawet nie próbował się domyślać, co leżało w sercu tego obszaru, nawet nie próbował się domyślać. Niektóre odgłosy jeżyły mu włosy na głowie; wrzaski, skrzeki i kumkania nie raz były głosami śmierci, choć nie widział nic, gdyż żadne ze stworzeń nie zbliżyło się do prostej, jak uciętej, granicy między pyłem i bagnem. Także roślinność, choć obfita, nie zarastała piasku. Tak doskonała granica nie mogła być naturalna. Musiała stworzyć ją nieznana magia, bo żadne czary tego świata nie mogły przenieść tu rozległych moczarów wraz z ich mieszkańcami. Za wiele tego dla prostego wojownika...

Niewyraźnie przypomniał sobie, że gdy się ocknął, kości wirowały, ostrzegając o niebezpieczeństwie. Potem był zaczarowany i nic nie mógł zrobić. Dotknął ich teraz, ale tkwiły nieruchomo. Pierścienie także były ciemne i matowe. Skąd, do licha, je miał?

Rozmyślenia przerwał mu nagły ruch i błysk księżyca odbijającego się w czymś wiszącym przed jego oczyma. Tym razem nie był to księżycowy medalion - medaliony nie syczą i nie mają języków.

- Afreeta!

Niby-smok syknął wściekle jak najprawdziwszy smok. Najwidoczniej wypowiedzenie jej imienia musiało być formą rozkazu, gdyż równie szybko, jak przybyła, odleciała w noc. Milo uspokoił się - mieli swego przewodnika i wkrótce przybędą. Siedział więc, czekając cierpliwie i rozmyślając o bransolecie, pierścieniach, uroku i magu zwanym Hystaspes. Oraz o tym innym, z którego świadomości miał jedynie oderwane obrazy. Uspokajało go, że jako wojownik biegły w sztuce miecza nie mógł służyć Chaosowi nawet pośrednio - zbyt silne przysięgi wiązały go z Prawem. Nie przeszkadzało mu to złościć się; wojownicy to wolne bractwo i każdemu burzyłyby się krew, gdyby był zmuszony coś robić, bo rzucono na niego czar. Nieco pomagała myśl, iż ten ktoś ma siedzibę niedaleko miejsca, w którym on, Milo Jagon, był teraz. Gdy tam dotrze...

Przerwał, słysząc głosy. Wstał, odruchowo ujął miecz spojrzawszy na wydmy. Spoza ostatniej wyłaniało się z wolna, i gęsiego kilka postaci. Czyżby znów imitatorzy?

Pierścień nie ożył, ale Milo nie wiedział, jaki jest zasięg działania klejnotu, to znaczy, jak blisko imitator musi podejść, by klejnot ukazał jego prawdziwą postać. Spoglądając co chwila na kamień, Milo czym prędzej zawiązał rakiety i czekał gotów do walki.

Przygotowania okazały się niepotrzebne - gdy nowo przybyli podeszli bliżej, rozpoznał ich sylwetki, choć twarze mieli zasłonięte kapturami. Mimo to nie przestał obserwować pierścienia.

- Hej! - rozległ się głos prowadzącego drużynę berserkera.

Nad nim kołowała Afreeta, a za nią szła najdrobniejsza postać. Ku niej też Milo skierował pierścień i kroki. Być może pierścień działał, dopiero gdy stało się tuż obok i dotykało podejrzanego. Wymarc podszedł z drugiej strony, wyczuwając, że coś nie jest w porządku.

- Śmierdzi tu magią - odezwał się cicho. - Co cię tu przywiodło?

- Już mówiłem, że tak jak ja szedł za kimś, kogo znał - wtrącił Naile. - Przez te przeklęte czary zobaczyłem martwego od trzech lat towarzysza broni. Ty też, Milo?

- Szedłem za kimś, kto wyglądał jak Yevele - odparł Milo i podszedł do niej tak blisko, że ręką z szarym pierścieniem złapał ją za ramię.

- Precz z łapami albo pożałujesz! - wychrypiła, cofając się o krok. - Co ty o mnie wygadujesz?

W jej głosie nie było śladu miękkości i ciepła, właściwych głosowi tamtej.

- O tobie nic, czego właśnie dowiodłem - odparł Milo i zwięźle streścił wydarzenia.

- Imitatorka. - Dyne potarł w zamyśleniu czoło. - A mimo wszystko doprowadziła cię tu, gdzie od początku chcieliśmy dotrzeć.

- Jak się nas nie udało utopić w pyle, to próbują w bagnie. - Splunął z obrzydzeniem Naile. - Taka okolica jak ta to jedna wielka pułapka. Dobrze zrobiłeś, nie wchodząc tam samemu. Te twoje świecełka rzeczywiście są wiele warte.

Przerwało mu dochodzące z bagna głośnie skrzeczenie, zagłuszone niezwłocznie sykiem idącego jak zwykle na końcu Gultha. W następnej chwili Jaszczur zrzucił sztywny od pyłu płaszcz i pomaszerował prosto ku temu, co Naile, całkiem zresztą słusznie, nazwał „jedną wielką pułapką”.

16. Na mokradłach

Świt nadszedł niechętnie, jakby słońce jedynie z musu oświetlało tę dziwnie rozdzieloną ziemię. Mogli się wreszcie rozejrzeć po okolicy. Roślinność była zgniłozielona i rdzawobrunatna, pokręcona, zbita w większe i mniejsze kępy czy chaszczki przetykane czarno - brunatnymi błotnistymi kałużami, sadzawkami i jeziorkami śmierdzącymi rozkładem. Po wodzie pływały rozmaite szczątki, a na jej powierzchni raz po raz pękały bąble gazu, rozsiewając wokół jeszcze gorszy fetor.

Większe kałuże zarastały trzciny i inne wodne rośliny, a ponad tym wszystkim unosiły się chmary owadów. Niektóre z nich osiągnęły prawdziwie monstrualne rozmiary. W wodzie i szuwarach trwały poranne łowy, na co dobitnie wskazywały dochodzące stamtąd rozpaczliwe głosy.

Granica pomiędzy bagnem a pyłem, choć niewidzialna, musiała być wyraźna, gdyż nawet ścigana ofiara nie przekraczała jej. Nie była jednakże barierą fizyczną - Gulth przeszedł ją, nie napotykając oporu. Natychmiast z rozkoszą zanurzył się w najbliższej większej kałuży, nie martwiąc się poruszonym z dna mułem ani tym, że w zmaconej wodzie coś mogło zbliżyć się doń we wrogich zamiarach. Afreeta podzielała jego upodobanie do tego miejsca, choć nie o kąpiel jej szło, a o posiłek. Urządziła na trzęsawisku rzeź jego latających mieszkańców. Z obcego świata czy nie, ale byli jadalni.

Reszta natomiast, im bardziej się rozwidniało i im więcej było widać, zbijała się w gromadę, w której łatwiej się bronić w razie niespodziewanej napaści. Milo obejrzał bagno i doszedł do słusznego wniosku, że imitatorka musiała znać mocne zaklęcia, by prześlizgnąć się po tej zdradzieckiej i nierównej powierzchni. Rakiety, tak przydatne na Morzu Pyłu, tu były całkiem bezużyteczne. Nie było gdzie nogi postawić; szuwary rosły gęsto i nierówno, a po trzęsawisku nie chodzi się nawet w raketach.

Gulth wynurzył się, parsknął, otarł muł z ramion i torsu i wyciągnął na powierzchnię jakieś sinozielone, wzdęte ścierwo, z którego sporo już zdążył uszczknąć pod wodą. Nie dało się powiedzieć, co to takiego, za to po żarłoczności Jaszczura można było sądzić, że musiał to być dla niego nie lada smakołyk.

Skończył posiłek, przeczłapał do brzegu i przestępując z nogi na nogę, spoglądał ku środkowi tego błotno-wodnego dziwu natury, który zaczynała skrywać mgła. Unosiła się powoli znad bagnistych kałuż, zmniejszając wolno, aczkolwiek

stale widoczność. Jeśli poprzednio trzęsawisko zdawało się nie do przebycia, to teraz, gdy spowijał je coraz gęstszy opar, nie można było postąpić ani kroku. Chyba, że ktoś pragnął pewnej, choć powolnej i raczej nieprzyjemnej śmierci.

Gulth wrócił do nich, nim skryła go mgła. Nie wszedł jednak na Morze Pyłu, zdecydowanie wolał stać w płytkiej kałuży. Przyjrzał się temu, w czym stał, potem towarzyszom i wskazując kłębiącą się mgłę, oznajmił:

- Musimy iść.

- Nie przejdę po tym - sprzeciwił się wsparty na toporze Naile. - Dwa, trzy kroki i wciągnie mnie bagno. Pokaż mi, jak zdołam przez nie przejść, to pójdę.

- To dotyczy nas wszystkich - dodał Wymarc. - Zna ktoś zakłęcie latania? Albo zakłęcie pozwalające choć na krótko osuszyć ścieżkę przez bagno? Nie? Szkoda. Milo, czy twój pierścień mówi, co jest przed nami? Ten z mapą, naturalnie.

Zielony owal był równie pozbawiony blasku jak zakurzona kolumna. Milo z rezygnacją uniósł wzrok i przyjrzał się spowitemu przez mgłę trzęsawisku. Naile miał rację: pokonała ich sama natura tego miejsca.

- Zrobię drogę - oznajmił niespodziewanie Gulth.

- Z czego? - zdziwiła się Yevele.

Odkąd Milo opisał spotkanie z imitatorką, nie odezwała się ani słowem i trzymała od niego najdalej, jak mogła. Gdy czekali na świt, siadła tak, by między nimi znaleźli się Naile, elf i bard. Milo stopniowo zaczął mieć o to do niej pretensje, co było tak niemądre, jak i jej zachowanie. Chyba nie sądziła, że wini ją za to, co się stało?

- Masz jakiś plan, Gulth? - spytał Dyne. - Wiesz coś, o czym my nie wiemy?

Z naturalnych przyczyn wyraz pyska Jaszczura nie mógł ulec zmianie. Gulth namyślał się przez chwilę, co już wiele znaczyło, i w końcu oznajmił rozkazująco:

- Czekać!

I nie tracąc czasu na dalsze gadanie, pomaszerował z miłą dla oka pewnością siebie w głąb bagna. Mgła otuliła go błyskawicznie i zniknął im z oczu. Podeszli do granicy obu terenów. W dziennym świetle jej nienaturalność była jeszcze bardziej widoczna.

- Tu zniknęła? - spytał kapłan.

- Albo jej medalion - sprecyzował Milo. - W tej okolicy ostatni raz widziałem jego błysk.

- To mogła być kolejna iluzja - zauważył Wymarc. - Celowe wprowadzenie w

błąd, by zwabić cię w bagno.

Elf i Dyne przytaknęli w zgodnym milczeniu.

- W takim razie gdzie się podziała? - Milo nie miał zamiaru ustąpić.

- Jeśli kiedykolwiek istniała - mruknęła cicho, lecz wyraźnie Yevele.

- Istniała, istniała - syknął dotknięty. - Trzymałem ją za ramię, ale uciekła.

- Kiedy czar został przełamany, nie mogła go natychmiast powtórzyć. - Deav Dyne pokiwał głową. - Mogła natomiast użyć innego.

Naile nagle przyklęknął najwyraźniej zainteresowany czymś, co właśnie dostrzegł. Przechylił się nieco i spomiędzy gałązek jakiegoś brunatnego krzewu wypłatał długie na dwa palce pasmo żółtej tkaniny.

- Ktoś tu zostawił znak - oznajmił. - To się przypadkiem nie mogło wplatać. - Położył ostrożnie topór koło krzaka - broń natychmiast zaczęła grzęznąć, więc podniósł ją pospiesznie. - Jeśli to prawdziwy znak, to oznacza miejsce, w którym nie należy wchodzić w bagno - stwierdził - a to znaczy, że istnieją też miejsca, w których można to zrobić.

- I mogą być bardzo podobne do tego - wtrącił Ingrge, uważnie przyglądając się miejscu wokół krzewu, w którym tkwiła tkanina, by wprowadzić nas w błąd.

- Albo żeby sprawdzić, czy wierzymy w to, co właśnie powiedziałeś, podczas gdy w rzeczywistości jest inaczej - zauważył Wymarc. - Magowie są przewrotni, a to może być podwójna pułapka.

- Ktoś idzie! - Yevele wskazała na mleczną mgłę. Milo nie był jedynym, który zaraz dobył miecza ale tym razem alarm był fałszywy. Z oparu wyłonił się Gulth obładowany nareczem czegoś jaskrawo zielonego. Pierwszą z tych zielonych rzeczy rzucił na miejsce, które Naile sprawdzał toporem, i owo coś samo się rozłożyło. Był to wielki okrągły liść, gruby i mięsisty, który leżał na powierzchni spokojnie, jakby nic nie ważył.

- Idziemy! - Zajęty rozkładaniem pomostu z liści Gulth nawet się nie obejrzał, czy posłuchali.

Szybko też zniknął we mgle po następny ładunek.

- I on myśli, że człowiek powierzy czemuś takiemu życie? - zdziwił się Naile.

- To jest jakaś magia, że te liście nie toną. To nie utrzyma człowieka. Nie znamy ani tej magii, ani tych liści.

Ingrge bez słowa nacisnął liść końcem łuku.

- Nie tonie - oznajmił.

- Co znaczy łuk i siła twego ramienia wobec ciężaru każdego z nas? - spytał spokojnie Naile. - Zatonie nawet pod Yevele.

- Naprawdę? - Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna wybiła się i wskoczyła na najbliższy liść. Zielona tarcza zakotłosała się, lecz ani nie zaczęła tonąć, ani nie załamała się. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Amazonka przeszła na drugi. Nie było to rozważne, ale skuteczne; dowiodła, że Gulth wiedział, co robi. Czy była to magia Jaszczurów, czy niedostępna ludziom wiedza, to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie sposób okazał się skuteczny.

Za nią ruszył niepozorny Ingrge. Ważył więcej niż dziewczyna, ale mniej niż inni. Liść pod nim zachował się dokładnie tak samo.

- Wydaje się solidny - poinformował ich elf, zanim ruszył za Yevele i zagłębił się w mgłę.

Deav Dyne obciągnął szaty i wkroczył na liść - inne określenie byłoby niestosowne, gdyż kapłan - stapał jak po solidnym, kamiennym moście.

- No, cóż... - mruknął jak zwykle z ironicznym uśmiechem Wymarc i poszedł w jego ślady.

Milo i Naile zostali sami. Widać było, że berserker nie ufa zielonemu pomostowi, co było zrozumiałe - był najcięższy nawet bez topora i zbroi, a wiadomo było, że ich nie zostawi. Przestąpił z nogi na nogę, przyglądając się podejrzliwie liściom, w końcu wzruszył ramionami i stwierdził:

- Będzie, co ma być. Jeśli pisane mi utonąć w tym błocie, to i tak tego nie uniknę.

W jego głosie było zdecydowanie i rezygnacja jak u kogoś ruszającego do bitwy skazanej na przegranie. Milo zdjął płaszcz, zrolował go i podał jeden koniec berserkerowi.

- Niewiele to pomoże, ale zawsze - powiedział, przyznając mu w duchu rację i szczerze wątpiąc, że potrafiłby wyciągnąć go w razie wypadku.

Widać było, że Naile był tego samego zdania, ale ujął płaszcz i wkroczył na liść. Ten zanurzył się nieco, ale pozostał na powierzchni, więc Naile pospiesznie ruszył dalej, ciągnąc za koniec płaszcza. Wobec tego Milo nie miał już wyjścia. Zacisnął zęby i wkroczył na chybotałą powierzchnię z nadzieją, że osłabiona przejściem pozostałych nie podda się pod jego ciężarem. Ponieważ nie zatonęła, uspokoił, jak mógł, nie nawykły do kołyszącego się podłoża żołądek, a spostrzegłszy, że płaszcz zwisa luźno, czym prędzej ściągnął go do siebie. Naile musiał albo nabrać

pewności siebie, albo dojść do wniosku, że szkoda czasu na taką dziecinadę.

Milo wszedł na drugi liść, obserwując, jak wokół otacza go mgła. Widział jedynie część następnego liścia, toteż poczekał sekundę, dając czas berserkerowi na przejście na następny. Jakimś cudem liście utrzymywały zbrojnego, ale wołał nie sprawdzać, czy utrzymają dwóch naraz, w tym jednego berserkera.

Poruszył się wolno i ostrożnie, choć liście poukładane zostały nie przez środek, a przy brzegach co większych kałuż. Mgła nie pozwalała nikogo zobaczyć i tłumiła dźwięki, przez co chwilami miał wrażenie, że jest sam i chodzi w kółko.

- Czekać! - dobiegło z przodu, toteż posłusznie zatrzymał się na przedostatnim liściu, umożliwiającym przejście po niewielkim jezioru.

Zmuszenie się do bezruchu było trudniejsze niż wejście na pierwszy liść. Pilnując własnych stóp, Milo mógł nie dostrzec miejscowych owadów. Tkwiąc nieruchomo, czuł, że każdy fragment odsłoniętej skóry jest obiektem zażartego gryzienia i żądlenia krwiożerczych napastników. Co gorsza, z mulistej toni wyłoniła się szponiasta łapa i wczepiła się w brzeg liścia. Zaraz dołączyła do niej druga, a pomiędzy nimi pojawił się prawie żabi łeb. Jak dotąd Milo nie widział żaby wielkiej jak kot z zębami drapieznika. Stworzenie nie było samo - obok pojawiła się jeszcze jedna łapa.

Ostrożnie wysunął miecz z pochwy, nadal obawiając się gwałtownych ruchów. Pierwszy stwór był już na brzegu liścia i przyglądał mu się złośliwymi oczkami. Nie było na co czekać - błyskawiczny sztych przeszył potwora, który krzyknął raczej, niż zaskrzeczał. Milo odrzucił go łukiem w mroczną toń i ciął po trzymających liść łapach. Liść zatrzęsł się, gdy kolejne istoty złapały jego brzeg.

Były inteligentne - po śmierci pierwszych dwóch nie próbowały wdrapać się na górę, lecz przechylić zieloną platformę w dół, żeby ofiara trafiła do nich. Wprawdzie były małe, ale gdyby znalazł się w wodzie, zdołałyby go pożreć; toteż Milo szybko i płytko ciął po wodzie, broniąc zagrożonego krańca liścia. Na powierzchni pojawiły się obcięte kończyny, ale na miejsce zabitych zjawiali się nowi napastnicy; musiał więc przykleknąć, na zmianę tnąc i kłując, a i tak liść zaczął się przechylać.

- Idziemy! - dobiegło z mgły.

Milo zerknął ku następnemu liściowi - droga była czysta i żadna uzębiona żaba nań nie czekała, ale dostać się tam mógł, jedynie skacząc z chybotliwej platformy, na której stał. Teraz jednak zmienił się atak. Stwory nie próbowały już

przechylić liścia, lecz rwały go pazurami i zębami od spodu. Atakujące zgromadziły się pod powierzchnią liścia, gdzie nie mógł ich dosięgnąć, a reszta czekała w bezpiecznej odległości. Nie było na co dłużej czekać - Milo zebrał się w sobie i skoczył z przysiadu.

Niedokładnie trafił - jeden obcas zanurzył się w wodzie, a zielony krąg zatrząsł się od tego raczej twardego lądowania. Gdy próbował odzyskać równowagę, jeden z potworków złapał go zębami za obcas. Na szczęście but był zrobiony z dobrej skóry wzmocnionej stalowymi okuciami. Bliski paniki Milo trzasnął na odlew napastnika nabijaną ćwiekami rękawicą, ponieważ przed skokiem miecz wsunął do pochwy.

Napęczniałe ciało rozprysło się jak balon, ale łeb z zaciśniętymi szczękami pozostał i nawet sztyletem nie udało się go odczepić od buta.

Milo dał za wygraną, a słysząc, że wołają go po imieniu, pospiesznie ruszył w dalszą drogę. Odkrzyknął wołającym, mając nadzieję, że głos mu nie drży; trudno powiedzieć, czemu te zębate żaby napełniły go nieopisanym obrzydzeniem. Dopiero po dłuższej chwili zapanował nad przyspieszonym oddechem i przypomniał sobie coś istotnego: bransoleta nie dała najmniejszego ostrzeżenia o zbliżającym się ataku. Była na swoim miejscu, a kostki jak zwykle pozostawały nieruchome. Czyżby to znaczyło, że stracili i tę niewielką przewagę?

Rozmyślając, nie zatrzymywał się, toteż zdążył minąć dwa jeziora, zanim z kurtyny mgły dobiegło ostrzeżenie:

- Ostrożnie. Skręć w prawo!

Następny liść leżał na wprost tego, na którym stał. Milo zawahał się i spojrzał na bransoletę. Pozostała ciemna i nieruchoma, co o niczym nie musiało świadczyć. Pozostał dylemat: czy to było ostrzeżenie, czy pułapka?

- Naile? - spytał zdecydowany rozpoznać rozmówcę, nim podejmie decyzję.

- Wymarc. - Mgła musiała zniekształcić głos, gdyż mógł to powiedzieć każdy.

Milo dobył miecza i postanowił zaryzykować. Jeśli było to ostrzeżenie, to nie słuchając go, ściągał zagrożenie nie tylko na siebie, ale i na pozostałych. Przeszedł na następny liść i skoczył w prawo, niebezpiecznie go przechylając.

Wylądował na ułożonych w półkolu liściach, gdzie zgromadzili się pozostali. Przed nimi rozciągała się duża powierzchnia gładkiej czarnej wody - najprawdopodobniej jezioro, którego fragment był widoczny, nim uniosła się mgła. Najbliżej jego liścia naprawdę stał Wymarc.

- Gulth? - spytał zwięźle Milo.

- Nie było go, gdy tu dotarliśmy - wyjaśnił bard - ale popatrz, nie myśmy pierwsi tu zawędrowali.

We mgle nie było wyraźnie widać, ale tam, gdzie wskazywał Wymarc, można było dostrzec drewniany słup wystający z wody. Część nad powierzchnią pokryta była jakąś lepką gumowatą substancją, pokrytą kobiercem martwych owadów. Do słupa były zamocowane nieco już przerdzewiałe, ale nadal zdatne do użytku metalowe pierścienie.

- Do wiązania łódki - mruknął Milo.

A skoro coś tu kiedyś cumowało... Cóż, to wcale nie znaczy, że musi nadal nadawać się do pływania.

- Coś się zbliża! - ostrzegł berserker.

Poza denerwującym brzęczeniem Milo nic nie słyszał, ale dawno już pogodził się z tym, że Naile ma lepsze uszy. Rzeczywiście, we mgle przed nimi zamajaczył jakiś ciemny kształt kierujący się w stronę przystani, koło której stali. Afreeta, po sutym posiłku odpoczywająca dotąd na ramieniu berserkera, uniosła się w górę i poleciała na spotkanie płynącego obiektu.

Była to najdziwniejsza łódź, jaką Milo w życiu widział. Aż dziw brał, że w ogóle potrafiła pływać. Wyglądała jak dryfująca ku nim kupa wyrwanego z korzeniami sitowia. Coś takiego nie dałoby rady płynąć ze stałą prędkością po martwej wodzie. Całość dotarła do mulistego brzegu u ich stóp.

To było sitowie. Powiązane w pęki i związane razem tworzyło burty, dno zrobione było ze związanych łykiem pni i wyłożone trzcina. Całość bardziej przypominała tratwę niż łódź, lecz nie było tak stabilne jak tratwa. Spoza niej wypłynął Gulth i z sitowia zabrał pas z bronią.

- Chodźcie - polecił, pokazując szerokim gestem łódź.

Tym razem Yevele jakoś nie kwapiła się z pierwszeństwem, więc stojący najbliżej Milo nie miał wyjścia. Skoczył, uderzył obiema nogami w dno i odetchnął, bo łódka wprawdzie zachybotała, ale nawet się nie zanurzyła. Kolejno wszyscy poszli w jego ślady, rozmieszczając się zgodnie z poleceniami Gultha. Ostatni był Naile. Teraz łódź zanurzyła się mocno, trochę wody wlało się na pokład, ale można było płynąć. Jaszczur odłożył pas na nadburcie i wrócił do wody. Po chwili cała konstrukcja wolno odbiła od brzegu.

- Przecież nie może nas sam pchać?! - zdziwił się Milo. To już nie była magia,

to zaczynało zakrawać na cuda!

- I nie pcha - odparł elf. - Kieruje innymi, którzy pchają. Jego lud ma pomocników i przyjaciół na bagnach i moczarach całego świata, najwidoczniej znalazł takich i tutaj. Płyną teraz pod powierzchnią i ciągną nas niczym konie tam, gdzie Gulth im każe.

Podróżowali wolno, lecz nieprzerwanie. Mgła otuliła ich tak szczelnie, że nie mogli dostrzec - także tego, kto ich pchał i ciągnął. Miło nawet przyklęknął i wychylił się za nadburcie, lecz wszystko, co zobaczył, to napięte liny łączące tratwę z ciągnącymi. Gdyby nie one i wychylający się od czasu do czasu ponad powierzchnię łeb Gultha sprawdzającego, czy wszystko w porządku, nic nie wskazywałoby, że w okolicy jest ktoś prócz siedzących na tratwie.

17. Serce moczarów

Jak długo płynęli otoczeni mgłą i chmurami owadów, których nawet polowania niby-smoka nie zdołały przerzedzić, nie potrafili powiedzieć. Byli tylko pewni, że tratwa się porusza, a ponieważ kierował nią Gulth, należało założyć, iż wie, dokąd zmierzają.

- Zastanawiam się... - zaczęła Yevele niepewnie. - Skoro o nas wiedzą i oczekują... Ilu jest wśród nich zdolnych do zmiany kształtu jak ta, którą spotkał Milo.

- Ona nie potrafi zmieniać swego kształtu - przerwał jej Naile. - To imitatorka, nie kameleon. Tworzy iluzję opartą na wspomnieniu i obrazie wziętych z umysłu ofiary. Można przerwać taki czar, jeśli ofiara zorientuje się, w czym rzecz.

- Zastanawia mnie co innego. - Wymarc potrząsnął energicznie głową, próbując zniechęcić latające coś rozmiarów kciuka do siadania na niej. - Dlaczego się w ogóle zjawiła? Skoro zostaliśmy odkryci, lepiej było nas nie uprzedzać takim atakiem, tylko poczekać; gdybyśmy nie potopili się w bagnie, to byłaby niespodzianka potęgująca zaskoczenie i ich szansę na sukces.

- Podobnie jak obecność innego smoka! - parsknął Naile. - Zresztą te wszystkie próby...

- ...jakby były nie do końca przemyślane - przyznał bard. - Każda miała jakiś błąd, który mogliśmy wykorzystać.

- Albo też polecenia były niedokładne - Ingrge odezwał się pierwszy raz od dłuższej chwili - lub niezbyt jasne dla wykonawców. Pozostaje też pytanie, jaki wpływ na nasze losy mają teraz bransolety?

- Raczej niewielki - wypowiedź Milo zwróciła uwagę wszystkich, więc pospiesznie opowiedział o braku ostrzeżenia przed spotkaniem z zębategościami.

- Może dlatego, że jesteśmy blisko miejsca, w którym powstały, a mogą działać tylko w naszym świecie - powiedziała powoli Yevele, głaszcząc bransoletę. - Jeśli tak, to znaczy...

- ...że nie będzie żadnego ostrzeżenia i żadnych dodatkowych punktów za skupienie - dokończył Deav Dyne. - Tak na marginesie, czy czujesz, by urok zelżał?

Przez chwilę milczeli i każde z osobna próbowało, jak wielka jest siła prowadząca ich od samego Greyhawk. Milo stwierdził, że taka sama jak na początku i powiedział to głośno. Reszta niechętnie przyznała mu rację.

- A więc część magii nadal tu sięga - stwierdził kapłan. - Część zaś nie. Co

można z tego wywnioskować?

- Jest wiele rodzajów magii, być może pełny adept potrafi wykryć wszystkie - zastanowiła się Yevele. - Te moczary są magiczne. Pytanie, jaka magia je stworzyła. Śmierdzi tu potwornie, ale jak dotąd nie wyczułam śladu Chaosu. Obca magia?

- Tak twierdził Hystaspes - mruknął Milo.

- Zwalniamy - poinformował ich elf. - Ci, którzy nas ciągną, nie chcą płynąć dalej. Gulth próbuje ich przekonać.

- Ilu może być przeciw nam, a ilu możemy uznać za sprzymierzeńców? - spytał Naile. - Żaden nie odpowiedział na moje wezwanie.

- Kto to wie? - Ingrge wzruszył ramionami. - Nie mogę się porozumieć z żadną tutejszą istotą, choć aż się tu od nich roi. W niektórych umysłach znalazłem gorące wspomnienia życia gdzie indziej, u większości jedynie to, co jest tu i teraz.

- Część terenu przeniesiono z mieszkańcami - mruknął Dyne. - To magia, o której nigdy nawet nie słyszałem. Choć naturalnie jest to możliwe: wiedza nie ma granic...

- Tam coś jest! - przerwał mu Milo, wskazując miejsce przed dziobem, o ile tak można było nazwać przód ich pojazdu.

- Gulth przekonał ich - zameldował elf. - Protestują, ale zgodzili się dociągnąć nas do tego czegoś, co zauważyłeś.

Mający we mgle kształt okazał się wąskim rumowiskiem kamieni wcinającym się w jezioro. Kiedyś mogło to być kamienne molo, teraz była to ruina, ale także stałe oparcie dla nóg - nie pył i nie bagno. A to budziło nadzieję. Z drugiej zaś strony stały ład miał swoje niebezpieczeństwa.

- Tu wchodzimy - poinformował ich Gulth, włączając ostrożnie na pokład i wskazując kamienną ruinę.

Wnet delikatnie dotknęli obrośniętych zielonkawą pleśnią kamieni.

- Pchać! - polecił Jaszczur, wbijając pazury w najbliższą szczelinę. - Albo ciągnąć!

Tylko Naile, Milo i Wymarc mogli mu pomóc w tej ciasnocie. Kamienie były śliskie, toteż posuwali się równie żwawo jak tłuste ślimaki, od których roiło się w szczelinach. Zdołali jednak odpłynąć do położonej wewnątrz kamiennego wału zatoki, skąd prowadziły w górę kamienne schody. Widoczność nadal była ograniczona, co nie przeszkadzało berserkerowi - po krótkiej wymianie syknień Afreeta pofrunęła w górę i znikła w spowijającej stopnie mgle. Milo i Gulth

przytrzymali tratwę, a Naile jako pierwszy stanął na stałym gruncie i natychmiast ruszył po schodach. Poszli za nim. Ostatni był Gulth; wcześniej silnie odepchnął tratwę od stopni.

Im wyżej, tym mgła była gęstsza. Opar nie zagłuszał jednakże dźwięków, toteż Milo wyraźnie słyszał krzyk i brzęk stali uderzającej o stal. Kostki pozostały nieruchome, więc z mieczem w dłoni runął na górę.

Po paru stopniach minął go Gulth, który, odkąd znalazł się może nie w rodzinnym, ale zawsze bagnie, poruszał się najzwinniej z nich wszystkich. Przebywszy kilkanaście stopni, Milo zauważył, że mgła została w dole. Niebo było szare, widoczność w miarę dobra. Zobaczył scenę tyleż malowniczą, co mało prawdopodobną. Naile zamierzał się na niego toporem, a nieco dalej drugi Naile walczył z górskim trollem.

Nie ulegało wątpliwości, że było o jednego berserkera za dużo, czyli że pojawiła się magia imitatorki. Milo uniósł dłoń z szarym pierścieniem w nadziei, że nie stracił on magicznych właściwości. Nie stracił; dotknięty pierścieniem atakujący ich Naile błyskawicznie stał się starym znajomym Helagretem, uzbrojonym nie w topór, lecz w kordelas z ostrzem pokrytym zielonkawą mazią.

Milo uśmiechnął się i zaatakował, mierząc w trzymające broń ramię. Trafił, lecz ostrze napotkało na niespodziewany opór - pod czarną skórzaną tuniką znajdowała się kolczuga.

Cios był jednak na tyle silny i niespodziewany, iż wytrącił mu broń i pozbawił równowagi. Milo przerzucił miecz do drugiej ręki, łapiąc za ostrze i rękojeścią trzasnął przeciwnika na odlew w skroń. Cios okazał się niezawodny, wart godzin spędzonych na jego trenowaniu, coś chrupnęło i Helagret runął jak kłoda, nie wydając głosu.

Znalazł się w ten sposób pod nogami na drodze prawdziwego berserkera, cofającego się przed atakiem trolla. Obojętne bowiem czego by Naile próbował, jego oburęczny topór nie trafiał tam, gdzie celował. Milo przemknął pod jego ramieniem i dotknął boku atakującego trolla.

Pierścień błysnął i zamiast mierzącego osiem stóp potwora, berserker zobaczył wykrzywioną wściekłym grymasem znajomą twarz Knyshawa. Rzeczywiście, wyciągał on ręce okryte rękawicami uzbrojonymi w stalowe pazury. Była to ulubiona broń zawodowych zabójców z Południa. Czubki szponów pokryte były taką samą, piorunującą trucizną, co ostrze korda. Tak więc Knyshaw nie był, jak sądzili,

złodziejem - był mordercą.

Widząc to, Naile krzyknął radośnie i zawiązał toporem, który tym razem nie mógł chybić. Teraz wrzask dobył się z gardła przeciwnika, gdy jego odrąbane dłonie spadły na ziemię. Naile uderzył ponownie, rozcinając mu głowę. Krzyk się urwał, a skurczone ciało znieruchomiało.

Milo przeskoczył trupa i ruszył przed siebie szukać pozostałych. Najpierw znalazł kapłana, skulonego przy skalnym załomie. Dyne trzymał w jednej dłoni nóż, drugą zaś przesuwając paciorki, kończąc czar i nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Był to żywy koszmar - łuskowaty i pokryty skorupą. Na węzowej szyi tkwiła głowa krokodyla o czerwonych wściekłych oczkach i ociekających jadem zębach. Dotknięcie pierścieniem skorupy nic nie dało. Potworek strzyknął żółtą śliną. Chybił, choć kilka kropel padło na skraj szaty kapłana, natychmiast wyzerając w niej poszarpaną dziurę. W samą porę zjawił się Naile i szerokim ciosem z półobrotu odciął gadzinie łeb wraz z połową szyi. Potem zaklął brzydko i pognął dalej.

Następnie spotkali wspartych o siebie plecami barda i elfa. Otaczał ich rój czerwonych diablików o czerwonych, płonących ślepiach i złośliwych gębach. Dźgały ich krótkimi włóczniami, a oni, choć uzbrojeni i lekko ranni, nawet nie próbowali się bronić. W pewnej odległości krążył Carl, mrużąc coś od czasu do czasu.

Naile skoczył z krzykiem i ciął na odlew dwa najbliższe demony. Stał przeszła przez nie jak przez powietrze, nie czyniąc im najmniejszej szkody. Zrozumieli bezczynność obu poszkodowanych - po co daremnie tracić siły? Druid nawet nie spojrzął na nowo przybyłych; napięta twarz świadczyła, że ledwie utrzymywał zaklęcie wiążące demony, które sprowadził. Żaden diablik nie zaatakował berserkera ani Milo, co dowodziło ograniczonych możliwości Carlvolsa. Coraz bezczelniej jednak zaczepiały obie ofiary.

- Odsuńcie się! - krzyknął nadbiegający Deav Dyne.

Zakręcił różańcem nad głową i zdzielił najbliższego demona, który odskoczył z piskiem. Milo zostawił obu duchownych, toczących zmagania w sztuce magii i jął szukać Yevele.

Znalazł dwie Amazonki zażarcie z sobą walczące, a tak doskonale podobne, że wyglądało to jak pojedynek z lustrem. Zanim Milo zdołał dokładnie im się przyjrzeć, zza skał wypadł zbrojny z maczugą i osłupiał, nie wiedząc, którą ma zaatakować. Milo skoczył ku niemu i dopiero z bliska spostrzegł, że ma do czynienia z wściekle wykrzywionym orkiem. Ten, widząc nowego przeciwnika, zwrócił się ku

niemu, biorąc szeroki zamach maczugą. Gdyby cios trafił, zmiażdżyłby biodro, ale Milo uskoczył, a ponieważ pierścień niczego nie pokazywał, ciął na odlew. Hełm i pancerz orka były stare, lecz solidne. Miecz z brzękiem odbił się od hełmu, znacząc go widocznym wgłębieniem. Trafiony potrząsnął głową, w której musiało mu mocno dzwonić, i zaatakował ponownie. Orki robią wrażenie nieruchawych, ale w walce są doskonałe, zwinne, wprost niesamowicie wytrzymałe. Niezdrowo jest je lekceważyć, zwłaszcza że zawsze służą Chaosowi. Z drugiej strony żaden ork nie może wygrać z przeciwnikiem, który właśnie nadciągał.

Tym razem nie był to wywijający siekierą berserker, lecz rozwścieczony dzik, sięgający orkowi do ramion. Wściekłość mogła ukoić jedynie czyjaś śmierć, toteż Milo czym prędzej odskoczył, nie chcąc znaleźć się na drodze odyńca. Berserkerzy w szale z trudem rozpoznawali wrogów i przyjaciół, zwłaszcza gdy dochodziło do starcia wręcz. W tym pojedynku byłby i tak zbędny, a pozostała jeszcze Yevele walcząca z samą sobą. Toteż czym prędzej odwrócił się ku nim.

Sytuacja uległa pewnej zmianie: jedna z Amazonek została zmuszona do cofnięcia się; teraz opierała się plecami o ścianę, którą dotąd skrywała mgła. Milo dotknął pierścieniem jej przeciwniczkę; dziewczyna nie zmieniła się, więc zgrabnie rozdzielił ostrza obu walczących, całkowicie zaskoczonych jego pojawieniem się.

- Wystarczy! - polecił Yevele. - Ta tu może wiedzieć coś, co i nam się przyda.

Przez moment wydawało się, że dziewczyna nie posłucha, ale w końcu opuściła miecz, choć nie oderwała oczu od przeciwniczki. Ta nieoczekiwanie wykorzystwała okazję i pchnęła Milo. Wojownik sparował jej cios z siłą, od której omdlało nie nawykłe do miecza ramię, i kopnął w goleń okutym butem. Cofnęła się z krzykiem i osunęła po kamiennej ścianie, tracąc przy tym hełm. Milo dotknął ją pierścieniem i w słabym błysku ujrzał znajomą, wąską twarz o spiczastych ząbkach, okoloną srebrzystymi włosami. Splunęła wściekle i próbowała go pchnąć znowu, lecz tym razem kopniak Yevele wytrącił jej miecz z dłoni. Kobieta z wściekłością wykrzyczała w jakimś nieznanym języku przekleństwo lub zaklęcie. Nie zdążyła go dokończyć, gdyż Yevele z wielką wprawą przerzuciła miecz do drugiej ręki, chwyciła za ostrze i zdzieliła ją w skroń rękojeścią. Krzyk zamarł, a nieprzytomna imitatorka osunęła się na ziemię.

- Winna ci jestem przeprosiny - nie patrząc na niego, odezwała się ze smutnym uśmiechem Yevele. - Sądziłam, że zmyśliłeś tę historię z ostatniej nocy. Zaraz ją zaknebluję, żeby nie było dalszych czarów i iluzji.

Wprawnie skrepowała ręce leżącej jej własnym pasem, związała je na plecach i wepchnęła w usta knebel z części płaszcza.

- Tak - stwierdziła, spoglądając z zadowoleniem na własne dzieło - trzeba przyznać, że potężna taka owaka dokładnie skopiowała moją tarczę i resztę; nawet uszkodzenia są tam, gdzie powinny. Powiedziałabym, że ktoś nas długo i bacznie obserwował, używając nader subtelnej magii.

Mówiła prawdę - przeciwniczka była ubrana i uzbrojona dokładnie tak jak ona. Strój i broń były rzeczywiste i nie zniknęły, gdy Milo przełamał czar pierścieniem.

- Nie patrz jej w oczy, jeśli się ocknie - ostrzegła Yevele. - W ten sposób czerpią wzory do imitacji. Być może uważała, że ogłupi mnie na tyle, że dam się zabić bez walki. Przekonała się, że takie sztuczki na nic się nie zdadzą. Zdaje się, że nieźle sobie poradziłyśmy. Tylko gdzie jest Gulth?

Milo także się rozejrzył, dzik stał nad trupem orka z kawałkiem kolczugi zwisającym z kła. Po czerwonych diablkach nie było śladu, a Ingrge, Wymarc i Dyne (z różańcem w ręku zamiast bata) zagnali w róg placu druida, tak że nie mógł ani uciec, ani sprowadzić innych pomocników. Każdy czar wymaga czasu i skupienia, a tego nie miał. Yevele miała rację. Nigdzie nie było śladu Gultha, a co więcej, Milo ostatni raz widział go na schodach, zanim włączył się do walki.

- Gulth! Hej, Gulth! - ryknął, przykładając dłonie do ust.

Żadnej odpowiedzi i żadnej zmiany prócz tej, że Naile znów stał się człowiekiem.

- Gulth?

Afreeta nadleciała nad berserkera, okrążyła go i siadła mu na ramieniu. Jaszczura wciąż nie było. Deav podszedł wreszcie tak blisko do Carlvolsa, że zdołał przeciągnąć go różańcem po ramieniu. Druid padł na kolana i wstrząsany konwulsjami osłonił usta dłońmi.

- Dzięki łasce Rozkazującego Wiatrom i Porom Roku ten tu jest nasz, przynajmniej na jakiś czas - oznajmił kapłan, odsuwając się o krok. - Zwiążcie go tak, by nie mógł sięgnąć po żaden amulet czy talizman. Zabierzcie mu też sakwę, którą ma przy pasie, tylko jej nie otwierajcie: może być magicznie zapieczętowana i zawierać coś, co jest przeznaczone tylko dla jego ręki. Wyrzucicie ją, najlepiej w bagno. Dobrze byłoby też poszukać Gultha. Bądźcie gotowi na niespodzianki, bo najważniejsza część zadania dopiero przed nami.

Elf i bard w mig wykonali jego polecenie; związali ręce druida na plecach, w nadgarstkach i łokciach. Zabrali mu również sakwę; Wymarc cisnął ją w mgłę, mając nadzieję, że trafi do wody i zatonie. Milo związał na wszelki wypadek Helagreta, choć wątpił, by ten kiedykolwiek odzyskał przytomność - jednak oddychał jeszcze, więc lepiej było nie ryzykować.

I tak mieli dwójkę jeńców, i to najgroźniejszych z dotychczasowych przeciwników, gdyż ich główną bronią nie było ostrze ani siła lub zręczność. Imitatorka była zakneblowana, a druid mimo rozpaczliwych wysiłków nie mógł otworzyć ust. Oboje byli przynajmniej chwilowo niegroźni.

- Lepiej ich ze sobą nie ciągnąć - odezwał się Wymarc. - Myślę, że czas jest teraz najważniejszy, a oni na pewno nie przyspieszą naszego marszu.

- Też racja - zgodził się Naile. - Odsuńcie się, to zaraz załatwię ich na dobre i nie będziemy sobie więcej głów zaprzętać.

- Mogą się jeszcze przydać, choć sam nie wiem na co - sprzeciwił się Milo. Nie miał ochoty zabijać jeńców. - Jak ich zarżniemy, to na pewno nie będzie z nich żadnych korzyści.

18. Rzut kośćmi

Ruszyli wzdłuż masywnej ściany z czarnych kamieni. Jej wierzchołek skrywały niskie chmury. Głazy były nie obrobione, ale tak dopasowane, że zaprawa była zupełnie zbędna. Mgła zaczęła się podnosić, otaczając ich powoli, lecz nieustannie. Gdy po kilkunastu krokach Milo obejrzał się, zamiast pola niedawnej potyczki dostrzegł już tylko mlecznobiałą ścianę. Poruszali się jakby w bąblu czystego powietrza, a wszystko, co mogli zobaczyć, to ciemne skały i wilgotna, czarna ściana. W pewnej chwili Ingrge przyklęknęła i dokładnie przyjrzał się powierzchni miejscami pokrytej szarozielonymi porostami. Tam, gdzie wskazał, porosty były zmiażdżone.

- Gulth tędy szedł - oznajmił.

- Skąd wiesz, że akurat Gulth? - zdziwiła się Yevele.

Elf zdawał się jej nie słyszeć; Milo bez słowa wskazał zadrapanie skały tuż obok matowych porostów; mogły pochodzić jedynie od pazurów. Nie rozwiązywało to jednak zagadki, dlaczego Gulth nie wziął udziału w walce tylko pognął do przodu.

- Mówiłem! - warknął Naile. - Ufać padalcowi! On nas sprowadził jak kupiec zamówiony towar, a teraz pognął po zapłatę.

Afreeta syknęła wściekła; Naile ujął mocniej topór i przyspieszył kroku, posuwając się zadziwiająco szybko jak na kogoś o takiej posturze.

W końcu stanęli przed bramą czy też wyjściem, co trudno było określić, gdyż nie było żadnych drzwi, jedynie ciemny jak najczarniejsza noc otwór w murze, przez który nie sposób było nic dojrzeć. Naile przeciął toporem powietrze w otworze. Nie napotkał najmniejszego nawet oporu, tylko ostrze wewnątrz zniknęło, jakby pogrzyzło się w mrocznej wodzie. Berserker spiesznie cofnął broń. W tejże chwili rozległo się ostrzeżenie barda:

- Bransolety!

Równocześnie wszyscy poczuli rosnące ciepło miedzianych obręczy, które oślepiająco rozbłysły. Kości pozostały jednak nieruchome, mimo wielkiego skupienia. Magia bransolety ożyła w sobie tylko znanym celu, lecz nie było nim wyznaczenie wyniku kolejnej walki.

- Moc wraca do mocy - oznajmił Dyne - a przecież nie ma tu nic, co by odpowiedziało na moje pytania.

Potrząsnął znacząco różańcem.

- Urok wszakże nie ustąpił - zauważył Wymarc. - Nadal pcha nas do przodu.

Była to prawda - siła pchająca ich na Południe od chwili opuszczenia Greyhawk wzrosła, zamiast osłabnąć, i skutecznie zwalczała chęć zawrócenia. Moce, które wykorzystał Hystaspes dla zbudowania tego czaru, zdawały się jak płomień, na który wylano oliwę; nieważne, co czekało ich za tą rozpiętą w wejściu kurtyną mroku, musieli iść dalej. Bez słowa ruszyli naprzód, czując większy żar promieniujący z bransolet, i zanurzyli się w czerń doskonałą - nie było w niej śladu światła.

Milo ostrożnie stąpał przed siebie, kierując się wyłącznie słuchem, bo wzrok w tych warunkach był całkowicie nieprzydatny. Był sam w mroku, w którym nawet oddychało się ciężko, choć powietrze nie miało żadnego zapachu. Bransoleta parzyła, ale nie mógł dostrzec nawet najlżejszego jej połysku. Jeśli to była pułapka, to pułapka doskonała - każdy mógł czekać wszędzie i zrobić, co by zechciał, a Milo dowiedziałby się o tym za późno, to znaczy, gdy cios by go dosięgnął.

Naturalnie, ten ktoś musiałby widzieć w absolutnym mroku...

Na domiar złego zauważył, że coraz trudniej mu skupić myśli - zupełnie jakby umysł też znalazł się w mroku. Znow na powierzchnię świadomości zaczął się przebijać Martin Jefferson... w panice złapał się za głowę, ale to nic nie pomogło: Martin... Milo... Martin... Szedł bezwiednie, rozdarty między dwiema osobowościami.

Ciemność jak nagle się wokół nich pojawiła, tak i nagle zniknęła. Milo zamknął oczy przed oślepiającym blaskiem, zamrugał gwałtownie, a gdy wzrok przyzwyczaił się do światła, mógł się rozejrzeć.

Był w sali o kamiennej posadzce i litych kamiennych ścianach. Sufit z czarnoszarych płyt wspierał się na drewnianych podporach. W ścianie naprzeciwko był ślad drzwi, dawno temu zamurowanych drobnymi, szczelnie dopasowanymi kamieniami. Stał przed nimi Gulth, toteż Milo podszedł doń, a raczej chciał podejść. Zrobił dwa kroki; zauważył, że światło płynie wprost ze ścian, a nie z lampy czy łuczywa; a potem, choć bardzo się starał, nie mógł iść dalej. Jakby wrósł w podłogę.

- Magia! - prychnął z prawej Naile. - Jeden mag nas tu wysłał, a drugi złapał.

Berserker też próbował uwolnić stopy przywarte do podłogi. Z podobnym skutkiem.

- To nie jest czar z tego świata. - Deav stał spokojnie. Różaniec okręcił wokół nadgarstka, tak żeby nie dotknąć rozjarzonej bransolety.

- Co robimy? - spytała Yevele. - Będziemy czekać, jak barany na rzeź?

Milo zwilżył wargi i powiedział, mając nadzieję, że głos nie zdradzi

targających nim obaw i niepewności:

- Kim jesteśmy?

Wszyscy odwrócili głowy; pewnie i Gulth, choć stał za daleko, żeby go widzieć.

- Co masz na myśli? - spytała Yevele. Dodała po małej zwłóce. - Tak... Kim naprawdę jesteśmy? Czy ktoś to wie?

Nie odpowiedział nikt - każdy próbował, ale nie było wcale łatwo rozróżnić wspomnienia.

- W tym jest największe niebezpieczeństwo - odezwał się po chwili Wymarc. - Może to właśnie nas osłabia i przeraża. Tu i teraz musimy być sobą, a nie połączeniem dwóch...

Bard miał rację, jednak wciąż trudno było się pozbyć obcych wspomnień i obcej obecności. Milo spojrzął na bransoletę. Magia, powiedział Naile... Czyżby więc można było użyć jednej magii przeciwko innej w tej ostatniej rozgrywce?

- Wybierzcie tych z tego świata - powiedział głośno, zdając się na instynkt.

- Doskonale - poparł go wolno i z namysłem Dyne. - Podzieleni jesteśmy wspaniałymi ofiarami tej obcej siły. Połączmy się w jedno z tym światem, a powinniśmy stać się od nich mocniejsi.

Podobnie jak podczas ruchu kostek każdy milczał i skupiał się najlepiej jak potrafił. Milo... Milo Jagon... Wojownik i fechmistrz Milo Jagon! Reszta była nieważna i trzeba było usunąć ją z pamięci... Milo Jagon i nikt inny!

Bransoleta... Wyciągnął rękę i spojrzął na nią uważnie, kości... Nie, o kościach nie trzeba myśleć. Chciał opuścić rękę, ale stwierdził, że nie może, podobnie jak nie może oderwać stóp od podłogi. Mógł jednak poruszyć głowę, choć aż się spocił od tego wysiłku. Przestał jednak spoglądać na bransoletę.

- Doskonale - Deav Dyne odezwał się tonem kogoś, kto spotykał różne rodzaje magii i przez żaden nie został pokonany.

Milo spojrzął w bok - wszyscy mieli sztywno wyprostowane prawe ręce, ale każdy zdołał przełamać czar na tyle, by nie spoglądać nadal na nieruchome kostki.

- To jest magia tego miejsca i tego czasu - dodał wyjaśniająco kapłan. - Milo poradził nam, byśmy wybrali siebie z Greyhawk. Użyjmy przeciwko tej obcej sile broni i umiejętności, jakie mamy. Każdy z nas ma jakąś wiedzę magiczną lub posiada czar albo przedmiot magiczny. Użyjmy tych talentów i mocy tych przedmiotów, a powinniśmy przełamać więzy narzucone naszej woli przez obcą moc.

Rada była słuszna, choć Milo sądził, że opierała się na wątej nadziei. Mimo wszystko pierścienie spełniły swą rolę, a ten, który pozwalał rozpoznać imitacje, działał na zewnątrz. Złączył więc dłonie tak, by pierścienie się zetknęły i wpatrzył się w nie ze skupieniem zalecanym przez kapłana. Nie miał pojęcia, jakie jeszcze moce kryły dla kogoś bieglego w magii. Nie znał się na magii, a przecież korzystał z klejnotów. Była więc nadzieja... Magowie potrafili przesuwać głązy samą siłą woli; on był wojownikiem, nie adeptem, ale też nie zamierzał poruszać skał, tylko samego siebie.

Wpatrywał się w oba klejnoty tak intensywnie, że przesłoniły mu wszystko. Widział tylko dwa owalne kamienie, a w nich szukał gorączkowo mocy, które mogłyby wykorzystać. Najpierw musiał ją odnaleźć. Poczul, że coś powstaje na to wezwanie... Przewycięzył strach przed nieznanym, powtarzając sobie, że musi i że wygra. Kamienie ożyły, nie na swój zwykły sposób, ale nie były też nieruchome i ciemne - jakby objawiały swą moc...

Poruszył się wcześniej, niż o tym pomyślał. Powolny krok, jakby tkwił po kolana w bagnie, ale zawsze krok. Przystawienie każdej stopy było męczące; minął jednak Gultha i stanął przed zamurowanym wejściem. Ledwie spostrzegł, że obok stanęła Yevele. Wyciągnął dłonie i dotknął kamieni zagrażających dalszą drogę, a wnet oparł się o nie. Obok zobaczył szpony Gultha i drobne dłonie dziewczyny.

Skupić się! To było najważniejsze i najtrudniejsze zarazem. I nagle...

Kamienna ściana zaczęła z trzaskiem pękać, kamienie zmieniły się w gruz i pył, który osypywał się na podłogę.

Przez otwór wpadło światło najjaśniejsze, jakie mieli okazję zobaczyć. Milo za wszelką cenę próbował o tym nie myśleć i nie rozpraszać się.

Kamienie zniknęły - dłonie nie napotykały żadnego oporu, a bransolety zaczęły parzyć. Yevele jęknęła. Milo zaklął i stwierdził, że już może się normalnie poruszać. Nie zastanawiając się nawet, co robi, wszedł do tego nowo odkrytego i jasno oświetlonego pomieszczenia. Pozostali prawie deptali mu po piętach.

Pokój był pusty i najwyraźniej nie miał kamiennych ścian. Jeśli to była iluzja, to najdoskonalsza, jaką w życiu widział, bo odtworzona aż do najdrobniejszych szczegółów. Podłoga była drewniana, w połowie przykryta ciemnozielonym dywanem, na środku którego stał stół zarzucony stertami książek. Nie książek, nie zwojów pergaminu, a książek, tak dobrze znajomych drugiemu ja Milo. Obok najwyższej sterty leżał otwarty notes z metalowymi kółkami, a obok niego na barwnie

pokratkowanej kartce stał rząd metalowych statuetek. Na ścianie nad stołem wisiała spora mapa.

- To nasz świat - stwierdził sucho Deav Dyne, wskazując na mapę.

Milo podszedł do stołu i przyjrzał się doskonale pomalowanym i doskonale wiernym figurkom. Kiedyś, dawno trzymał podobną do nich... Nie były to figury szachowe, ale figury z całą pewnością. Był wśród nich smok i druid, ale nie było tych, których podświadomie się spodziewał: wojownika, elfa, Amazonki, Jaszczura i berserkera...

Weszli jedynie przez drzwi, ale Milo był wyjątkowo pewien, że niedługo pozostaną sami. Ten, który ustawił tu figurki i zostawił otwarty notes, lada chwila wróci.

- Znam to. - Yevele również podeszła do stołu i zainteresowała się papierami.

- To karty postaci... To gra!

Jej słowa poskutkowały jak hasło otwierające pamięć, a raczej dopuszczające wszystkie wspomnienia z tego drugiego świata. Milo przypomniał sobie w jednej chwili pokój, Ecksterna, przygotowania do rozpoczęcia gry, która nigdy nie nastąpiła, i całą resztę wspomnień Jeffersona.

- My jesteśmy pionkami w grze! - wybuchnął. - Co wam się teraz przypomniało? Mówcie!

- Pionki - Deav Dyne powoli skinął głową. - Nowe figurki do gry... Wziąłem jedną, żeby się jej lepiej przyjrzeć i znalazłem się w Greyhawk jako Deav Dyne. Z wami było podobnie?

Odpowiedziały mu potakiwania, lecz Milo zadał już następne pytanie.

- Dlaczego?

- Zapomniałeś, co mówił Hystaspes? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Yevele. - Złączenie dwóch światów w jedno, do tego jesteśmy tutaj potrzebni.

- Co byłoby katastrofą dla obu - dodał Wymarc. - A więc i dla...

Nie zdążył dokończyć, gdyż coś zamigotało w przeciwnym kącie pokoju i zmaterializował się tam mężczyzna w spodniach i bufiastej koszuli. Jego twarz zdradzała całkowite osłupienie. Natychmiast jednak zmieniło się w mieszaninę złości i strachu. Zanim nowo przybyły zdążył się ruszyć, Milo płynnie dobył miecza i ruszył ku niemu, nie myśląc, co robi. Yevele poruszyła się równie szybko, ale w innym celu: porwała ze stołu otwarty notes.

- Zostaw to! - zawołał wściekle obcy. Złość zwyciężyła strach i zaskoczenie.

- To klucz do twoich matactw, prawda? - spytała słodko. - Ten notes i figurki... To twoi przyszli przymusowi gracze?

- Nie wiesz, co robisz! - warknął i zamilkł. - Nie należycie tutaj! Elwira! Elwira, gdzie jesteś, do cholery?! Nie oszukasz mnie iluzjami!

- Iluzjami? - tym razem warknął rozeźlony Naile i ruszył ku niemu. - Niech no cię dorwę, konusie, a zobaczysz, co potrafi rozwścieczona iluzja!

Obcy cofnął się pod ścianę.

- Nie możesz mnie dotknąć! - jęknął. - Nie macie prawa tu być! Elwira powinna wiedzieć, czym grozi robienie mi takich głupich dowcipów.

Yevele, nie zwracając na niego uwagi, pospiesznie kartkowała notes.

- Poczekaj, Naile! - poleciła nagle. - To ważne dla nas wszystkich. Posłuchajcie: „Pierwsza dostawa figurek w drodze. Robimy próbę z okresową kontrolą. Jeśli formuła zadziała, to będzie Gra Doskonała!”

- Tak myśleliśmy. - Milo z trudem panował nad sobą. - Pionki w twojej grze, spryciarzu? Pojęcia nie mam, po cholere to zrobiłeś ani jakim cudem ci się udało i przyznam szczerze, że gównu mnie to obchodzi. Daję ci słowo, że przetrzęcę ci kark jak szczurowi. Chyba, że odeślesz nas z powrotem na Ziemię.

- Mam gdzieś twoje groźby - przerwał mu obcy. - Wy nie jesteście realni. Jestem Mistrzem Gry, to ja o wszystkim decyduję. Jasna cholera, z czym ja dyskutuję? Po co się wygłupiam przed kimś, kogo tak naprawdę wcale nie ma?!

- Bo tak naprawdę to jesteśmy! - poinformował go dziwnie łagodnie Naile i złapał za szyję.

A raczej chciał złapać, gdyż o cal od celu jego palce trafiły na niewidzialną barierę. Obcy nawet nie spojrzał, przyglądając się podejrzliwie Yevele.

- Przestań! - wrzasnął nagle. - Co ty wyprawiasz?

I skoczył ku niej. Trudno było mu się dziwić, gdyż dziewczyna pracowicie darła na strzępy wyrwane z notesu kartki i rozrzucała je po podłodze. Jego wysiłek poszedł jednak na marne, bo tak jak Naile nie mógł go złapać, tak on nie mógł dosięgnąć Yevele. A ona spokojnie darła dalej, ignorując jego wysiłki. Nagle gość przestał się rzucać i parsknął śmiechem:

- Teraz możecie być już tylko sobą. Zafundowaliście sobie przejażdżkę w jedną stronę.

- Ale ty nie, prawda? - spytał spokojnie Deav Dyne.

- Mnie tak naprawdę wcale tu nie ma. Można to nazwać magią, łatwiej

zrozumiecie. Tu jest tylko część mojej osobowości, w domu mam coś, nazwijmy to „kotwicą”, dzięki czemu ta część zawsze tam wraca. Wy nie macie takich kotwic, bo nie były mi potrzebne. Wręcz przeciwnie. Teraz zniszczyliście jedyną waszą możliwość powrotu. Jego formuła była zapisana w notesie. Nie pamiętam jej, więc jej nie odtworzę. I bardzo dobrze: potrzebni mi jesteście tutaj, a im więcej was będzie, tym lepiej. A będzie was więcej, zapewniam! Te figurki zawierają coś, co przyciąga ludzi podobnych do was z charakteru.

- Dzięki za informacje. - Wymarc jednym ruchem zmiotł figurki na podłogę i po kolei obcasem przerobił je na bezkształtne bryłki metalu.

- Wiesz, tak między nami: to niczego nie zmienia - poinformował go z uśmiechem obcy. - Takich figurek jest dużo, dużo więcej. Wystarczy je tylko tu dostarczyć, połączyć, a reszta toczy się sama.

- Przypuszczam, że wątpię. - Zza okładki notesu Yevele wyjęła pożółkłą kartkę zapisaną drobno i dokładnie.

- Jasna cholera! - zdenerwował się obcy. - Jak to się tu, do diabła, znalazło!

Ponownie spróbował odebrać łup dziewczynie i znowu przeszkodziła temu otaczająca każdego niewidzialna bariera. Yevele podała kartkę kapłanowi. On zaś zwinął ją, okręcił różańcem i wsunął w rękaw.

- Ten, kto pierwszy zgarnie leżące tu przedmioty, staje się ich właścicielem - powiedziała Yevele swobodnie. - Zapomniałeś jeszcze o czymś: Milo, łap kości ze stołu.

Milo skoczył niemal wraz z gospodarzem, który potknął się jednakże i wyrócił stół. Błat ledwie chybił stóp Jagona, a kostki, książki i papier utworzyły na dywanie jeden wielki rozgardiasz. Milo wziął trzy wielościenne kostki, resztą podzielili się Ingrge i Wymarc.

- Milo, zbierz od nich kostki i rzuć! - poleciła dziewczyna. - Zobaczymy, co to zmieni.

- Nie! - po raz pierwszy w głosie obcego pojawił się strach.

- A co, to działa w obie strony? - spytał Milo, nie oczekując zresztą odpowiedzi.

Zebrał od elfa i barda ich łupy, potrząsnął i rzucił.

Rezultat w samej rzeczy zapierał dech: obcy, stół, papiery i dywan zniknęły; cały pokój zawirował i powiało przejmująco lodowatym powietrzem.

Po chwili wszystko się uspokoiło. Odzyskali równowagę. Stali w kamiennej

sali, a zamiast sufitu było widać szare chmury, gdyż ściany zamieniły się w poszarpane rumowisko.

- Zniknął i myślę, że mogę przysiąc na Wysoki Ołtarz Astrah, że nie potrafi powrócić - oznajmił z satysfakcją Deav Dyne.

- Ale my zostaliśmy tutaj - powiedziała cicho Yevele.

- Może miał rację i powrót był niemożliwy. - Milo spojrzał jej w oczy. - Tu jest wiele zapomnianej wiedzy i dziwnych mocy. Jeśli będziemy mieli szczęście, może zdołamy wrócić za ich pomocą. Mamy jego kostki; kto wie, do czego mogą się jeszcze przydać?

- Dobrze mówisz - ucieszył się Wymarc. - No i ten przeklęty urok wreszcie zniknął!

Była to prawda; choć Milo jeszcze tego nie zauważył, wszechobecny przymus przestał mu dokuczać.

- Wreszcie możemy robić, co chcemy, a nie, co nam każą - mruknął Naile.

- I co z tego? - wpadła mu w słowo Yevele. - Chcesz, żeby każdy z nas ruszył własną drogą?

Naile podrapał się po brodzie, pomyślał i powiedział wolno:

- Człowiek zwykle wybiera kompanów i towarzyszy walk. Teraz ja, Naile Fangtooth powiem inaczej: jeśli chcecie mnie mieć za towarzysza, będę zaszczycony. Do ciebie też mówię, Gulth. Nie wiąże mnie żadna przysięga, misja czy zobowiązanie: mogę iść, dokąd chcę, i robić to, na co mam ochotę.

- No to załatwione. - Wymarc poprawił harfę na ramieniu. - Nie ma się co spieszyć z rozstaniem. Dowiedliśmy, że potrafimy więcej, niż myśleliśmy. Nie wiadomo, co się jeszcze może zdarzyć.

Elf i kapłan przytaknęli w milczeniu, Gulth zaś rozejrzał się uważnie po twarzach obecnych i oznajmił:

- Jeśli chcecie, Gulth pójdzie waszą drogą.

- Chcemy - stwierdziła Yevele. - Tylko gdzie mamy iść i po co? Poza pokrzyżowaniem planów tego cwaniaka niewiele zyskaliśmy na tej wyprawie.

- Mamy kości, więc niech one nam podpowiedzą. - Milo był wreszcie sobą: wojownikiem Jagonem, bez rozterek duchowych i wątpliwości.

- No i pozostały bransolety - zauważył Ingrge, próbując zdjąć swoją. - Dlatego proponuję strzec tych kostek. A poza tym rzucaj, Milo; zobaczymy, co los nam ześle.

Milo chwilę ważył kostki w dłoni; przyklęknął i rzucił je na kamienną

posadzkę zrujnowanej twierdzy, zastanawiając się, co z tego wyniknie.